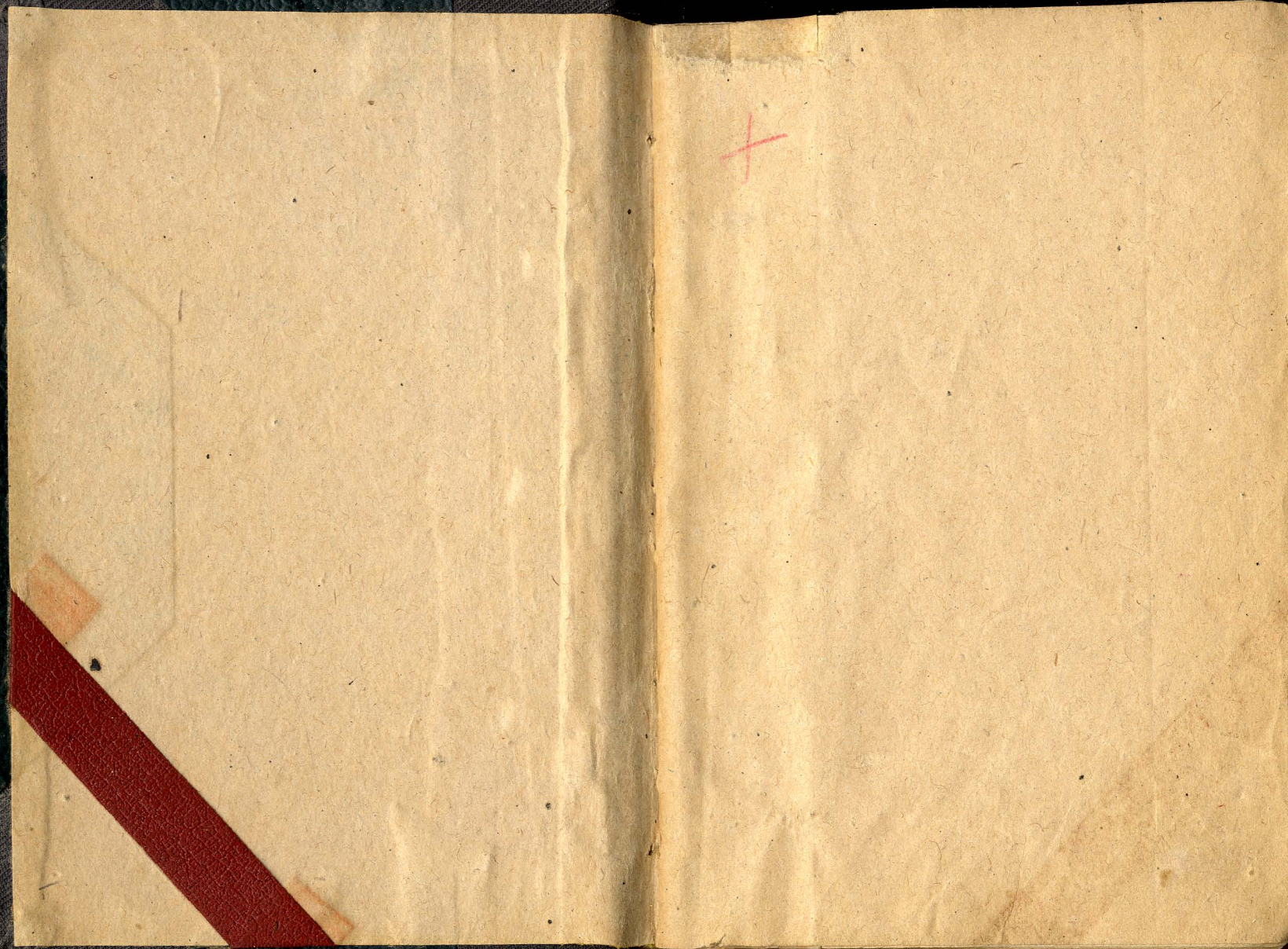






Lewentala.

TANIE

ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI

ELIZY ORZESZKOWEJ.

Tom XXVI.

Pompalińscy.

WARSZAWA.

Wydruk i druk S. Lewentala.

Nowy Świat Nr. 41.

1886.

El. Orzeszkowa
ELIZA ORZESZKOWA.

POMPALIŃSCY.

POWIEŚĆ

w dwóch częściach.

Część druga.

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy Świat Nr. 41.

1886.



KOMPLUTER

884-3

821.1621-2



Доводено цензурою.

Варшава, 20 Января 1886 года.

CZĘŚĆ II.



wp.

H



8.215.6.45

Mn.

ROZDZIAŁ I.

Po powrocie z Odrzenia, pani *Žulietta* wbiegła do ładnego, z doskonałym w istocie smakiem urządzonego, salonu swego, drżącemi trochę rękoma zaczęła zdejmować z siebie futro i kapelusz i, zwrócona ku drzwiom przyległej sali jadalnej, wołała:

— Delicyo! Delisiu! Delciu!

A gdy na wołanie to Delicya, kończąc jeszcze rozwiązywanie wstążek od kapelusza, śpiesznie weszła do salonu, pani *Žulietta*, z gorączkową porywczością ruchów, chwyciła ją w swe ramiona, posadziła obok siebie na kozetce i głowę jej, z której kapelusz spadł na ziemię, do piersi swych przyciskając, a czoło, włosy i policzki młodej dziewczyny namiętnemi pocałunkami okrywając, przerywanym mówiła głosem:

— Moje ty dziecko drogie, kochane! moja ty perło najpiękniejsza! mój ty klejnocie! bracia twoi

jechali z nami, nie miałam czasu popieścić cię, ani rozmówić się z tobą! jakaś ty była dziś śliczna i rozumna! jakaś ty posłuszna swój matce! O! bo ty wiesz, że ja cię kocham nad wszystko na świecie! że ja cię życzę lepij, niż ktokolwiek pod słońcem życzyć ci może! że cała myśl moja, wszystkie moje pragnienia, zwrócone są tylko ku temu, abyś ty, perelko moja, szczęśliwą była! Cóż? czy rada jesteś z dzisiejszego zwyczajstwa swego? pokaż mi swoje oczka, czy błyszczą one do tego pięknego świata, który dziś, zdaje się, że otworzył się przed tobą? No, podnieś głowę, Delciu, spójrz na mnie! czemuż tak pochylasz się nisko? nie wstydź się! Matka to przyjaciółka twoja najlepsza, najbliższa! przed nią można i trzeba powiedzieć wszystko!...

Mówiąc to, pani *Žulietta*, z łagodną i pełną czułości pieśczętą, usiłowała podnieść ku sobie głowę i spojrzeć w twarz swjej córki, która, nisko w istocie pochylona, całowała jej ręce i tuliła się do jej piersi.

— Co to? — zawołała po chwili z nieudany wcale żalem i przestachem — ty płaczesz, Delicyo?

W istocie, błękitne oczy pięknej dziewczyny perliły się łzami, a na twarzy jej, zamiast radośnego uśmiechu, o którym mówiła jej matka, rozlewał się wyraz smutku.

— Co ci jest? — powtarzała *Žulietta* — wyglądasz mi tak smutnie jakoś! czy może coś się stało, o czém ja nie wiem? czy przed pożegnaniem może

powiedziałaś coś hrabiemu, co mu się niepodobać mogło, i lękaś się teraz, aby się tém nie zraził? powiedź! powiedź! wszystko jeszcze da się naprawić! od tego ja jestem! może on, pomagając ci wsiadać do karety, powiedział coś, z czego złe wnioski snujesz?..

Delicya mocniej przytuliła się do piersi swjej matki i, z za łez patrząc na nią, więcej jeszcze zmieszanym niż smutnym wzrokiem, szepnęła:

— Nie, mameczko najdroższa, nie! tylko... on... taki brzydki i taki jakiś... śmieszny!

Pani *Žulietta* uśmiechała się z widocznym uczuciem ulgi i końcami białych swych palców, bledszy niż wprzód, policzek córki swjej popieściła.

— Nastraszyłaś mię, Delciu! myślałam, że zaszło coś ważnego! Czyż doprawdy znalazłaś hrabiego tak brzydkim!

— Ach! tak, moja mam, tak! — szeptem potwierdziła Delicya.

— Mnie bo on się wcale takim nie wydał... wzrost ma ładny... uśmiech przyjemny, a gdy ożywił się, rozmawiając z tobą, oczy jego nabrały blasku i wyrazu i stały się nawet wcale pięknymi... Zresztą, aniele mój kochany, alboż tu o to idzie, czy hrabia jest wzorem piękności, czy nie?

Wyprostowała się pani *Žulietta*, i zatrzymując w dłoniach swych ręce córki, nie z uniesieniem już, jak wprzód, ale z namysłem i powagą, prawdziwie macierzyńską mówił, zaczęła:

— Droga moja Delicyo! młode osoby, jak ty, bywają zwykle skłonnemi do zapatrywania się na małżeństwo ze strony zbyt lekkiej... wybac mi, moje dziecko, ale powiem... płochęj nawet i nierozsądnęj. Wyobrażają one sobie, że wszystko tu zależy na wzajemnym podobaniu się, lub niepodobaniu, na więcej lub mniej miłym wrażeniu, jakie sprawia im widok człowieka, mającego rozstrzygać o szczęściu lub nie-
szczęściu całego ich życia... Tymczasem, dziecko moje, jest to kwestya bardzo ważna i opierająca się na wcale innych, daleko trwalszych, daleko realniejszych warunkach...

Tu pani *Żulietta* milczała chwilę, zbierając jakby myśli swe dla jaśniejszego ich wypowiedzenia, potem zaczęła znowu:

— Nie pierwszy to już raz mówimy o tém z tobą, jedyne dziecko moje, ale teraz... teraz, jeśli nie mylę się, nadchodzi dla ciebie chwila, w której przejąć się cała powinnaś wszystkiém, coś kiedykolwiek ode mnie słyszała, a także przypomnieć sobie wszystkie smutne widoki, które miałaś przed oczyma swemi, a które powinny były nauczyć cię wiele... wiele... Mówię to o sobie... drogie dziecię! Ja, wychodząc za ojca twego, kochałam go... był to w istocie piękny bardzo mężczyzna, twój ojciec mógł się bardzo podobać każdej młodej pannie... Posiadał on do tego najlepszą opinią, nikt powiedzieć o nim nie mógł inaczej, jak, że był człowiekiem nadzwyczaj rozumnym i nadzwy-

czaj prawym... Mogłam więc, zdaje się, posiadać pewność, że będę z nim szczęśliwą... nie prawdaż? I w istocie, szczęśliwą byłam przez pierwszych lat parę, to jest póty, dopóki nie rozwiął się czar pierwszych złudzeń i wzruszeń... dopóki miłość nasza trwała w całej świeżości swęj i, powiem prawdę, w całej swęj ślepotcie. Taki jednak czar, taka ślepotą, nigdy, dziecię moje, długo trwać nie może na biednym świecie naszym, a gdy rozwieje ją czas nieubłagany, trzeba nam wtedy do szczęścia życia codziennego, czegoś innego już... czego ojciec twój dać mi i nie mógł i nie chciał...

Delicya, która dotąd słuchała mowy matki swęj z wielkiém natężeniem uwagi, uczyniła lekkie poruszenie i z cicha przerwała:

— Ojciec był jednak tak czułym... tak dobrym dla nas wszystkich... Wszak miałam już lat trzynaście, kiedy... stało się z nim to... nieszczęście, i pamiętam dobrze, jak nas sam uczył... jak nas pieścił...

Na czole pani *Żulietty* legła przy tych słowach córki chmurka niezadowolenia. Smutnie wstrząsając głową, łagodnie jednak odpowiedziała:

— Prawda, prawda, Delicyo! ojciec twój był bardzo... dobrym... kochał go zawsze i teraz jeszcze kochasz... nie mam ci tego za złe wcale, jakkolwiek posiadam wszelkie prawo żądać pierwszeństwa dla siebie... jam matka... jam to, nie kto inny, noce bę-

senne nad twém łóžeczkiem spędzała, kiedyś, małeńką jeszcze będąc, chorowała nieraz ciężko... jam to, nie kto inny, pielegnowała piękność twą i uczyła cię stawiać pierwsze kroki, gdy dorosłaś... od iluż to już lat, gdy nieszczęście to zaszło z twoim ojcem... ja sama... słaba kobieta, myślę o losie moich dzieci, troszczę się szczególnie o twoję przyszłość, Delicyo!

Delicya, wzruszona widocznie słowami matki, całowała znowu jój ręce i tuliła się do jój piersi.

— Widzisz więc — ciągnęła pani *Zulietta*, — że, pomimo nawet dobroci twego ojca, o której mówisz, i która cię tak do niego przywiązała... pomimo, że pięknym on był i, jak powiadam, rozumnym człowiekiem, ja nie byłam wcale szczęśliwą... Wychowana w domu rodziców moich w zbytkach i pieszczotach, nie posiadałam bynajmniej po zameżczeniu tego wszystkiego, do czego byłam przyzwyczajoną... o czém marzyłam i czego spodziewać się miałam prawo... Aby mi dać te wszystkie przyjemności i ośłody życia, charakter twego ojca był zbyt surowym, majątek niewystarczającym... Nie był on wcale ubogim, o! nie! gdyby bowiem tak było, nie wydali-by mię z pewnością z niego najlepsi moi rodzice... Białowzgórze dawało sporą intratę i zdawało się być majątkiem nieledwie pańskim... Ale ojciec twój, dziecko moje, nie posiadał upodobań, odznaczających ludzi, którzy ze krwią swą wyssali umiejętność i zamiłowanie do szerokiego, prawdziwie przyjemnego życia... Znasz dobrze po-

chodzenie ojca twego... był on synem niezamożnego bardzo szlachcica, który, w późnym dopiero wieku, ciężką pracą, szczęśliwemi spekulacyami dobił się znaczniejszej nieco fortuny. Ojciec twój tedy miał przyzwyczajenia małoszlacheckie, kierunek myśli i gustów nadzwyczaj... poważny... że nie powiem... pedantyczny... Zakopał się więc na wsi i mnie tu młodą... spragnioną świata... zakopał. Zaledwie raz jeden powiózł mię za granicę... a i to dlatego, że, jak powiadał, potrzeba mu było przypatrzeć się gospodarstwu wiejskim w innych krajach... to téż podróż ta była bardzo nudną i nie pozostawiła mi po sobie żadnych prawie miłych wspomnień... Czy ty wiesz o tém, dziecię moje kochane, że przez dwadzieścia ośm lat, odkąd mężatką jestem, raz jeden tylko miesiąc cały przepędziłam w Warszawie, a i tam ojciec twój oddawać nie chciał żadnych wizyt, ani bywać na żadnych większych zebraniach, mówiąc, że ponieważ nie jesteśmy ani bardzo bogaci, ani bardzo wysoko urodzeni, nie mamy żadnej potrzeby piąć się do wielkiego świata stołecznego... Czy ty wiesz, moje dziecię, o tém, żem ja przez całe życie ani jednej sukni axamitnej nie miała, bo ojciec twój utrzymywał, że axamit niestosownym jest dla kobiety, żyjącej na wsi i nie bardzo majątnej... że te biedne mebelki w dwóch salonach naszych ja wywalczyć i wypłakać musiałam, zanim ojciec twój zgodził się sprowadzić je z Warszawy na miejsce tych obrzydliwych starych gratów,

które przecie pamiętać musisz, boś miała zaledwie lat dziesięć, gdy utrzymywałaś już, że są fatalnie brzydkie i niewygodne?... czy ty wiesz o tém, mój aniele, że kiedy parę razy do roku przyjmowaliśmy u siebie sąsiedztwo, przyjęcie nie kosztowało nas nigdy więcej nad wielce skromną sumkę, którą ojciec twój z góry na ten cel przeznaczał i od niej nigdy odstąpić nie chciał ani na jotę? Czy ty wiesz, złota ty moja pieszczoszko, że twoja mama przez długie lat kilkanaście nie jeździła inaczej, jak staroświeckim wysokim koczem, a dopiero to od czasu... nieszczęścia tego... zdobyła się już sama o własnych siłach na jaką taką karetkę, gorszą o wiele od tych, któremi jeżdżą od dawna sąsiadki jój, i starego kocza niewarte? Każda żywsza przyjemność, której w życiu używałam, wszystko, co tylko kiedy miałam piękniejszego, stosowniejszego dla siebie, wypłakaném było, wywalczoném od ojca twego... który... pomimo całej dobroci swój, miał w sobie wiele uporu i niedających się przełamać uprzedzeń. Cierpiało na tém i pożycie nasze domowe... inaczej być nie mogło. Jego przywiązanie do mnie stygło coraz bardziej z latami, ja także uniosłam się może nieraz zbyt mocno i zawińtałam przeciw niemu przykrém jakimś słowem lub gwałtowną sceną; a wszystko to razem, przyznaj sama, dziecko moje, nie stanowiło bynajmniej jasnej i wesołej doli, nie stanowiło szczęścia.

Wymawiając ostatnie słowa, pani *Zulietta*, miała łzy w oczach. Chyliła głowę córki swój do swych piersi, jakby chciała ukryć przed nią ogarniające ją bolesne wzruszenie, Delicya obu ramionami objęła kibić matki.

— Biedna, biedna mamol — szepnęła. — Wiem ja o tém wszystkiém, widziałam nieraz sama... słyszałam... pamiętam... Ależ, biedny ojciec pewno myślał, że to, co czynił, było dobrém...

— Z pewnością — potwierdziła pani *Zulietta* — mniemam nawet, że myśląc tak, nie mylił się wcale... Być może, iż, gdyby nie ta jego przezorność, nie te jego surowe przyzwyczajenia i upodobania, byłibysmy teraz zrujnowanymi majątkowo, jak tylu innych sąsiadów naszych... Oddaję ojcu twemu wszelką sprawiedliwość... przyznaję nawet, że ze względu na majątkowe położenie nasze, w sporach, które pomiędzy mną a nim zachodziły, on miewał najczęściej słuszość... ale... nie przeszkadza to temu, dziecko moje, że ja całą mą młodość spędziłam smutnie i monotennie, że mi w życiu brakowało mnóstwa przyjemnych, powiem nawet, niezbędnych rzeczy, i że podobnej przyszłości dla ciebie nie chciała-bym za nic... za nic...

Milczała chwilę, potem zaczęła znowu:

— Wśród smętnego, monotonnego, ze wszelkiego blasku, ze wszelkich żywszych uroków odartego życia, które wiodłam, wy tylko, dzieci moje, byliście mi

pociechą i... nadzieją dni jaśniejszych. Nikt na ziemi uczynić mi nie może zarzutu tego, abym była złą matką...

— O, nie! nie! — ze szczerym wybuchem zawołała Delicya — byłaś, mamo, zawsze dla nas wszystkich najlepszą, najczulszą, najukochańszą matką!

— Tak — potwierdziła z dumą pani *Zulietta* — z podniesioném czołem zdać mogę światu rachunek ze spełnionych przeze mnie obowiązków żony i matki. Jak przyjęte na siebie imię żony przechowałam nieposzlakowane żadnym nawet cieniem płochości i przeniiewierstwa, tak godnie i mężnie nosiłam imię i pełniłam obowiązki matki. Pielęgnowałam was w dzieciństwie i chorobach, otaczałam pieczęcią najczulszą, gdyście dorastali. Nie umiałam nic wam odmówić i, gdyby którekolwiek z was zażądało ode mnie gwiazdy z nieba wysokiego, poszła-bym była po nią, gdybym tylko mogła. Potém, ilóż-to ja walk stoczyłam z powodu wychowania i wykształcenia waszego! Ile łez, ile nocy bezsennych, spędzanych na obmyśleniu pretextów i wybiegów różnych, kosztowały mnie te bony i nauczycielki francuskie, któreście miały przy sobie tylko przeze mnie... tylko kosztem zdrowia i sił moich... ojciec wasz bowiem był im strasznie przeciwny. Ale, gdy szło o was, jam już lwicą stała, nie ustępowałam i zwyciężałam... Potém... gdy stało się to nieszczęście... miałam ręce rozwiązane, sa-

ma już, według własnego planu mego, dokończyłam waszego wychowania... Wyrzekłam się podróży, która jednak tak bardzo potrzebną mi była, dla zrujnowanego śród tylu nieprzyjemności zdrowia, aby bracia twoi mogli tak, jak i wszyscy porządni młodzi ludzie, parę lat przepędzić za granicą... Dla was sprostowałam metrów muzyki, angielskiego i tańców, słowem, czyniłam niepodobieństwa, wyrzekałam się sama wszystkiego, żeby tylko wykształcić was dla świata, a tym sposobem położyć podstawy przyszłego waszego szczęścia... Ale... droga Delicyo moja, i tu, jak wszędzie, ciążyły na mnie i ciężą konsekwencye nieuniknione pierwszego kroku uczynionego w życiu... zamaż pójsia mego... Nacóż się zdały wszystkie ofiary i starania moje, dla was dokonywane? Na cóż się zdało Sylwii i Romanii to wysokie wykształcenie, które im dałam? ten polor, ten wdzięk, którym, pomimo niezbyt awantazownej powierzchowności swój, odznaczały się one, dzięki naukom moim. Znasz swoich szwagrów. Woryłło jest dość mającym człowiekiem, ale parafianin to, gbur trochę, trochę skąpiec, i jedyne to tylko szczęście, że Sylwia umiė dotąd panować nad nim... ale czy długo to potrwa? Trzewikowski znowu... *très comme il faut*... ale zrujnowany, ostatkami goni tak, że... że drzę co chwila, myśląc o przyszłości, która czeka Romania... Ty także, perelko moja... skończyłaś już, *entre nous*, dwadzieścia

Miejska Biblioteka Publiczna

trzy lata... Dlaczegoż jednak jesteście wszystkie tak nieszczęśliwemi? oto zawsze dla jednej i téj saméj przyczyny, która mi przez życie całe we wszystkiém bruździła. Czy mogłam wywieźć was gdzieś na świat szerszy? pokazać ludziom takim, którzy-by dla was odpowiednimi byli? Nie! gdybyście miały wielkie posagi, zjeżdżał-by się świat do was i tutaj, ale... cóż macie? cóż mamy wszyscy? bracia twoi, podzieliwszy się Białowzgórzami, posiadać będą nie więcej, jak po czterdzieści tysięcy rubli funduszu, a cała ich na przyszłość nadzieja w pomyślnym mariażu... Posag każdej z was wynosi piętnaście tysięcy. Cóż to znaczy? szlachecki posażek wynoszący tyle, ile powinna-by kosztować sama tylko wyprawa takich panień, jak wy... moich córek... Doprawdy, winszować sobie jeszcze zmuszoną byłam, wydając w ten sposób uposażone, a w kącie chowane córki moje za takiego Woryllę, i takiego Trzewikowskiego...

Ostatnie słowa pani *Żulietta* wymówiła z goryczą nieopisaną w głosie i wyrazie twarzy. Delicya westchnęła także.

— Prawda, mamciu — rzekła — gdybyśmy były mogły choć jedną zimę w Warszawie spędzić... choć raz za granicę wyjechać...

Smutno i szydersko zarazem uśmiechnęła się pani *Żulietta*...

— Nie dla nas-to podobne szczęście i przyjemności — rzekła — nie dla nas! I cóż więc wynika je-

szcze z téj ciasnoty, z téj nędzy materyalnych środków? oto poniewierka moralna i grzech niejeden. Czy myślisz, Delicyo, że duma moja, że powiem nawet, sumienie moje i mój zmysł estetyczny, nie oburzają się na te niezdolne, upakarzające konkury, które stroić muszę do téj okropnej baby z Odrzenic... do generałowej? czyż nie widzę, że ona mną i mojami dziećmi poniewiera? czyż nie wiem, że źle jest ze wstrętem w duszy całować kogoś i przed kimś się uniażać? Ale cóż mam czynić? czegoż nie uczyniłabym dla dzieci moich? Ona bogata! bogata! w niej więc jedyna nadzieja nasza! Ona może braciom twoim udzielić środków do zawarcia pomyślnych mariaży, ona zapisem swym ułatwi, uprzyjemni pożycie z niezdolnym Woryllą biednej mojej Sylwii, i zapobieży ruinie majątkowej męża Romanii... O tobie niema co mówić... cały twój los prawie w jej ręku... Jeżdżę więc, całuję po rękach i kolanach starą tę sknerę... marznę w jej domu, zjadam obrzydliwe kartofle z łupinami, widzę, jak nieraz uśmiechają się ze mnie szydersko ludzie... znoszę od niej samą kpiny, docinki i te jej dyabelskie chichoty... cóż robić? cóż robić? nędzarką jestem!... żebraczką jestem!... muszę o kawałek lepszej doli, o odrobinę słońca, i radości, i życia żebrać... dla dzieci moich...

Tu pani *Żulietta* poniosła chustkę do oczu i zapłakała cicho, lecz rzewnie. Oczy Delicyi zrosiły się także łzami. Objęła ona matkę silnym, gorą-

cym uściskiem i, całując ręce jęj, twarz i oczy, szeptała:

— Biedna, biedna, najlepsza, najdroższa mamusiul!...

— Widzisz więc, droga moja — mówiła dalej pani *Żulietta* — co znaczą bogactwo i ubóstwo, i jaką rolę gra w życiu kobiety zamążpójście. Od tego cała przyszłość nasza zawisła... nie o większej więc, lub mniejszej przyjemności przemijających wrażeń myśleć powinniśmy, gdy krok ten czynimy...

Tu pani *Żulietta*, w przystępie gorączkowej prawie żulości, znowu córkę swą w ramiona ujęła.

— O! — zawołała — ja dla ciebie zawsze, zawsze spodziewałam się czegoś lepszego, świetniejszego, niż to, czego dostarczyć mogła nieznosna parafia nasza! Nie chciałam cię dać żadnym Tutunfowiczom, ani Kobylkowskim... nie dla nich bowiem stworzoną jesteś, ani dla takiego losu, który-by oni zapewnić ci mogli... Ty byłaś zawsze najmiłszą pieczętowaną, najkosztowniejszą perelką moją... byłaś... daj uszko... powiem ci pod sekretem... najukochańszém z pomiędzy wszystkich dzieci moich dziecięciem...

Delicya podniosła twarz rozkosznie uśmiechnioną, i z miną, z poruszeniem swawolnej pieśczochy, zawiesiła się ustami na ustach swęj matki.

— Tak — rzekła, uśmiechając się już swobodnie pani *Żulietta* — Pan Bóg wysłuchał prośb moich gorących i zmięczył dla nas serce tój staręj wiedzmy

Odrzynieckiej... Nie wiem, z kąd się to u nięj wzięło... ale zaczęła widocznie zajmować się twoim losem... sprowadziła do siebie hrabiego umyślnie, aby cię zobaczył i poznał... reszta będzie już naszém dziełem. Delciu moja! jakże w twém uszku brzmią następujące wyrazy: hrabina Delicya Pompalińska! prawda, że to brzmi wcale pięknie... do tego milionowa pani... i synowa hrabiny Wiktoryi, z domu księżniczki X. O! znam ja tę hrabinę Jarosławową. Spotkałam ją parę razy w życiu na zebraniach. Dumna kobieta, jak szatan... w jęj oczach, tacy, jak my, to robaki, na których spojrzeć nie warto... Otóż pokażemy jęj, co znaczymy. Przez małżeństwo twoje z jęj synem, staniesz z nią na równi, wejdiesz do tych wszystkich domów, które stanowią jęj towarzystwo... bo drzwi najpiérwszych salonów w kraju otworzą się przed moją Delicyą... przed milionową panią, hrabiną Pompalińską...

Delicya podniosła głowę, wyprostowała się i, wyciągając przed siebie obie swe splecione ręce, zawołała z uśmiechem:

— O, prawda, prawda mamusiul! że to będzie miło! bardzo wesoło...

— A widzisz! widzisz! — potwierdzała uradowana matka.

— Pojadę zaraz... dokąd? do Włoch... do Paryża... do Wiednia... wszędzie... takam ciekawa... ciekawa świata... I mamusia pojedzie z nami...

— Zbiorę ostatki, a pojedę, aby być świadkiem pierwszych tryumfów twoich i pierwszych chwil twojego szczęścia...

— Na zimę zamieszkamy w Warszawie... otworzę salony i pokażę pani hrabinie Jarosławowej, że potrafię tak dobrze przyjmować wielki świat u siebie, jak i ona...

— Jeszcze lepiej, mój ty klejnocie, jestem pewna, że jeszcze lepiej...

Delicya przestała nagle uśmiechać się. Chmurka smutku przyćmiła rozpromienione jęj czoło.

— Ach, mamusiu! — westchnęła — żeby tylko on był choć trochę mniej brzydki... Żeby to był nie on.. ale brat jego stryjeczny, hrabia Wilhelm!

— Zkąd-że ci znowu przyszedł do głowy hrabia Wilhelm?

— Najpiękniejszy to człowiek, jakiego kiedykolwiek w życiu widziałam...

— Zkąd-że wiesz? nie widziałas go nigdy!

— A fotografia jego?

Tu Delicya poskoczyła ku stołowi, wzięła jeden z leżących na nim albumów i, roztworzywszy go, pokazała matce fotografią, bardzo w istocie przystojnego i czupurną miną odznaczającego się, mężczyzny.

— A prawda! — zaśmiała się pani *Żulietta* — przypominam sobie... zainteresowała cię ta fotografia, i kupiłaś ją sobie w zakładzie fotograficznym w Warszawie.

— O, moje śliczności! — uśmiechając się figlar-
nie, na-pół smutnie, mówiła do fotografii Delicya —
co to za włosy! co za oczy! jakie usta! Ach mamusiu!
mamusiu!

Przypadła do kolan matki i, kryjąc w suknię jęj
twarz spłonioną, zawołała:

— Gdyby to na miejscu hrabiego Cezarego był...
hrabia Wilhelm... doprawdy, chyba-bym, mamusiu,
oszalała z radości!

— Przestań dziecinić się, Delicyo — wyrzekła
z powagą matka — hrabiego Wilhelma nie znasz,
i poznasz go wtedy chyba, gdy będziesz już hrabiną
Cesarową... Na świecie nie można posiadać wszyst-
kiego razem, a gdy szczęście przychodzi do nas, chwy-
tać je trzeba, choć jest niezupełnem.

Delicya westchnęła z cicha i położyła album na
stole. Do salonu weszli dwaj młodzi synowie pani
Żulietty. Jeden z nich, wchodząc, zawołał:

— Panie tu gawędzą sobie, a myśmy po sławnej
uczcie generałowej spragnieni i zgłodnieli. Mamciu!
kolacya na stole!

— Pójdźmy! — rzekła wesóło *Żulietta* — przy
stole pogawędzimy wspólnie o interesach naszych.

Wsparała się na ramieniu starszego syna, Delicya
pochwyciła swawolnie ramię młodszego, i przeszli tak
do sali jadalnej, również, jak salon, białemi rączkami
pani *Żulietty* bardzo smakownie urządzonój, ze sto-
łem pośrodku, którego politurowana tafla zastawioną

teraz była przyborami do herbaty, i półmiskami, zawierającymi dość wykwintną i obfitą kolacją. Pani *Żulietta* odprawiła służbę, składającą się z dwóch lokajów.

— Niech nikt tu nie wchodzi, dopóki nie zadzwonię! — rzekła.

Po odejściu służby, przez kilka minut panowało w sali jadalnej zupełne milczenie, przerywane tylko dzwonieniem noży i talerzy. Zgłodniali goście Odrzyńscy zapomnieli na chwilę o ważnych rodzinnych sprawach, a nawet pani *Żulietta* i Delicya, pomimo wzruszeń doznanych, zajęły się gorliwie woniejacemi na półmiskach potrawami.

Oprócz dźwięku stołowych naczyń, milczenie, panujące w sali jadalnej, przerywanem jeszcze było dochodzącemi z sąsiedniego pokoju odgłosami kroków męzkich, równych, powolnych, miarowych, ani na chwilę nieustających. Było coś dziwnie posępnego, rzec nawet można, tajemniczego w tych krokach, samotnie a niezmordowanie stąpających po pokoju, oddzielonym od reszty mieszkania ściśle zamkniętymi drzwiami.

Znajdujące się przecież w sali jadalnej osoby nie zdawały się zwracać na nie najlżejszej uwagi; przywykły snadź tak bardzo do tych posępnych odgłosów domu swego, że nie słyszały już ich wcale. Jedna Delicya tylko spoglądała od chwili do chwili ku drzwiom zamkniętym, i zdawała się niekiedy przysłu-

chywać stąpaniom samotnego za drzwiami wędrowca. Stała ona przy samowarze, nalewając herbatę matce i braciom, a gdy jednemu z tych ostatnich podała filiżankę ze starannie przyrządzonym napojem, pochwycił on ją za drobną, białą rączkę i, patrząc w spuszczone jej oczy, zapytał z uśmiechem:

— Cóż, siostrzyczko? czy mam ci powinszować? czy pewną już jesteś swego zwycięstwa?

Delicya uderzyła lekko brata po rękę i, poskoczywszy, schowała się znowu za samowar, pani *Żulietta* zaś rzekła z żartobliwym uśmiechem:

— Sesya zagajona przez Władysława... możemy teraz mówić wszyscy o tém, co nas wszystkich tak bardzo obchodzi. Władysławie! Henryku! wszak domyślacie się, o czém mówić ze sobą mamy?

— Naturalnie! — jednogłośnie ozwali się dwaj bracia.

— Jakże się wam wydał młody hrabia?

— Trochę... dziwny! ale oryginalność bywa często przybraną manierą wielkich panów. Zawsze to dla Delicyi świetna, niespodziewanie świetna partya!

— Nieprawdaż, moi drodzy? Ale ja powiem wam coś więcej jeszcze. Jeżeli ta prawdziwa łaska Bozka spłynie na nas, i maryaż ten dojdzie do skutku, Delicya moja stanie się prawdziwym aniołem pomocy dla nas wszystkich, dla braci swych szczególnie... Czy rozumiecie mnie? Wszak przez nią, przez jej dom,

otworzą się salony wielkiego świata i dla was, moi synowie, a wtedy, z waszą powierzchownością, z waszém wychowaniem, znajdziecie tam pewnie niejedną sposobność stosownego ożenienia się...

— Prawda! — potwierdził brat starszy, a młodszy dodał:

— Już bo téż mnie te nasze gąski parafialne obrzydły, doprawdy.

— Gąski te nie dla was i wy nie dla nich stworzeni jesteście — mówiła pani *Żulietta*, patrząc na synów swych z dumą i miłością. Władysław powinien znaleźć sobie żonę z dużym posagiem, aby mózł spłacić bratu połowę Białowzgórz, a Henryk ożeni się z jaką herytierą i, mając kapitał własny, osiadzie w dobrach swój żony.

— Śliczne projekta naszój mamusi! — zawołał, śmiejąc się, Władysław.

— Oby się spełniły! — dodał również wesoło Henryk.

— Spełnią się niezawodnie, jeśli nam, mnie i Delicyi, dopomódz zechcecie...

— Ależ z całego serca! choćby nawet nie było w tém interesu naszego... dla siostry przecież...

— Już dopomagamy — przerwał bratu Henryk — poznałem się z hrabią należycie i zaprosiliśmy się do niego na jutro na polowanie...

— Już to — z lekkim zamyśleniem zauważyła matka — stosowniej-by było, aby hrabia, jako nie

mieszkający stale w tych stronach, pierwszy wam oddał wizytę... ale pomiędzy młodymi ludźmi zachowywanie ściśle etykiety światowej może i niekonieczne.

— Naturalnie; szczególniej, że, jak mi się zdaje, hrabia Cezary nie jest ani zwolennikiem, ani wielkim znawcą etykietałnych ceregieli...

— Tém lepiej. Tém łatwiej pójdzie wszystko. Po odbytém polowaniu, przywieziecie nam tu naturalnie hrabiego na herbatę.

— Postaramy się o to, mamusi!

— Pójdźcie teraz wszyscy do mnie, kochane dzieci moje, niech was uścisknę!

Władysław i Henryk chętnie i wesoło powstali ze swych krzeseł i, pochyliwszy się przed matką, ponieśli do ust jej ręce.

— Już to mamusia nasza umie doskonale wszystko obmyślić! — rzekł jeden z braci.

— Niéma, *comme j'aime Dieu*, lepszój i mędrzój pod słońcem kobiety, jak nasza mamusia! — dodał brat drugi.

— A ty, Delicyo — rzekła *Żulietta*, rozpromienionym od pieszczot synowskich wzrokiem spoglądając ku córce.

Delicya lekko i szybko podbiegła, stanęła pomiędzy braćmi za krzesłem matki i, objąwszy ramionami jej szyję, a twarz swą do twarzy jej przyłożywszy, szepnęła jej na ucho:

— Mamusiul duszko! Aniele!

Grupa ta, złożona z matki, pięknie jeszcze i młodo wyglądającej, z dwóch młodych, urodziwych synów, i pięknej, jak róża majowa, dziewicy, malowniczo oświecona spuszczającą się od sufitu lampą, przedstawiała godny podziwu obraz miłości i zgody rodzinnej. I błogo, radośnie, rozkosznie było-by patrzeć na nią... gdyby...

W przyległym pokoju odzywały się wciąż, wciąż, za zamkniętymi drzwiami, jednostajne, nieustanne stapania męzkie. Rzekł-bys: niespokojny duch jakiś, pokutujący tam wśród ciszy i zamknięcia, lub więzień smutny, z niedającym mu spokoju robakiem w piersi.

— Ach! — zawołała Delicya, uwalniając z uścisku szyję matki — trzeba ojcu zanieść herbatę.

— Zawołaj Jakóba, niech zanieś — markotnie jakoś ozwała się pani *Žulietta*.

— Nie, mamciu, ja sama pójdę... jak zwykle — rzekła Delicya z miną i poruszeniem pieszczonego dziecka, któremu niczego wzbronąć nie można.

Nalała filiżankę herbaty, postawiła ją na małej srebrnej tacy, na której ułożyła też kilka najlepszych ciastek z pomiędzy znajdujących się na stole i, wzięwszy tacę w obie ręce, zgrabna, lekka, jak Sylfida, ale z twarzą zamyśloną trochę i poważniejszą, niż zwykle, skierowała się ku drzwiom zamkniętego pokoju. Władysław wyprzedził siostrę o parę kroków, aby przed

nią drzwi otworzyć, a gdy to uczynił, usuwając się jednak na stronę, aby dla osoby, znajdującej się w przyległym pokoju, niewidzialnym pozostać i jej wzajemnie nie ujrzyć, przez drzwi na-pół roztwierające się i przepuszczające śliczną postać Delicyi ukazała się obszerna komnata, słabo oświetlona przyćmionym płomieniem lampy, z wielkim, książkami zarzuconym stołem pośrodku, wkoło którego, ze schyloną głową i rękoma w tył założonemi, równym, miarowym krokiem chodził mężczyzna, wysoki, chudy, z długą siwiejącą brodą i oczyma głęboko zapadłemi pod wielkim, zbrudzonem czołem...

ROZDZIAŁ II.

A hrabia Cezary, wracając z Odrzenia leciuchnemi sankami, mknącemi chyżo po osrebrzonej księżycem powierzchni śniegu, milczał do połowy drogi, potem rozmarzonym wzrokiem spójrzał na towarzysza podróży swój, Pawełka, i zawołał:

— Pawełku! jaka ona śliczna! prawda?

Pawełek uśmiechnął się.

— Mógł-bym udawać, że nie domyślam się, o kim mówisz — rzekł — ale nie mam w tej chwili ochoty do żartów. Zebranie to w Odrzenicach nastroiło mnie dziwnie piołunowo, a przytém uważam, że zanosi się na coś bardzo ważnego dla ciebie, Cezary. Nie widziałem cię nigdy tak zachwyconym kobietą żadną, jak dziś panną Delicyą Kniksówną.

Cezary milczał chwilę zamyślony.

— Owszem, Pawełku — rzekł po chwili z cicha

i nieśmiało, kochałem już dawniej raz w życiu... raz jeden...

— Wiem, wiem, pamiętam! owę Dorotkę...

— Tak — ciszej jeszcze potwierdził Cezary — mama i stryjowie gniewali się wtedy bardzo na mnie, Mściśław mnie wyśmiewał... ale niech sobie co chcą mówią ludzie, ja i teraz powiem, że była to śliczna i dobra dziewczyna...

Westchnął z cicha, potem dodał:

— Wiész co, Pawełku, ja i teraz jeszcze nie mogę o nią wspomnieć obojętnie... była to sobie prosta dziewczyna, niskiego pochodzenia i nieuczona wcale, ale... mnie się zdaje, że ona mię prawdziwie kochała

Pawełek nie odpowiadał. Cezary, po dość długim milczeniu, mówił dalej:

— I czy wiész, Pawełku, dlaczego mi panna Delicya podobała się tak od razu... od pierwszego spójrzenia?... pamiętasz Dorotkę? jak panna Delicya podobna do niej! nie prawdaż?

— A prawda — potwierdził Pawełek — ten sam wzrost ma, co Dorotka, takie same włosy, i tak samo smiecha się prawie ciągle... dlatego zapewne, że również ładne ma zębki, jak miała Dorotka...

— Widzisz sam! — zawołał żywo Cezary — wiész, jakie to podobieństwo... jak tylko spójrzałem na nią, zaraz mi się tak smutno jakoś zrobiło koło serca... i tak mnie jakoś ciągnęło do niej...

O! gdyby pani *Żulietta* słyszeć mogła to porównanie, czynione przez dwóch *Pompalińskich* pomiędzy najulubieńszą, tak świetnie i salonowo wykształconą jej córką, a była garderobianą hrabiny *Wiktoryi*, która-to tak czule pieśni na gitarze wygrywać lubiła, przy otwartém oknie... garderoby siadając...

Dojeżdżali już do *Pompalina*, gdy *Cezary* znowu mówić zaczął do *Pawełka*:

— Prawda, *Pawełku*, jaka ona śliczna? Taka skromna, taka dobra! jestem pewny... jestem pewny, *Pawełku*, że... że umiała-by ona... kochać prawdziwie...

— Nie znam wcale panny *Delicyi Kniksówny* — odparł, uśmiechając się, *Pawełek* — nie mogę więc żadnym sposobem decydować o sile i doniosłości sercowych jej uzdolnień. Widzę tylko, mój *Cezary*, że jesteś niepospolicie wzruszonym i zajęтым, zatem ostrzegam cię... Będą cię tam łapać... łapać... na męża dla tego konterfektu twojej *Dorotki*...

Cezary zwrócił się ku mówiącemu z niezwykle żywym poruszeniem.

— *Pawełku*! — zawołał — jakiś ty niedobry!

— Dlaczego? — zapytał *Pawełek*.

— Ty myślisz, że wszyscy ludzie na świecie są źli... zepsuci... bez serca...

— Nie — odparł *Pawełek* — myślę tylko, że jesteś świetną partją, mój ty hrabio *Pompaliński* i dzieźdzu *Malewsczyzny*, z pięciu innemi folwarkami, i że

w naszych biednych czasach, mamy podobne do pani *Kniksowej*, i córunie takie, jak panna *Delicya*, bywają na świetne partye nadwyczaj łakome...

— Proszę cię, *Pawełku*, nie mów źle o niej przy mnie!

Wyrazy te *Cezary* wymówił głosem tak pewnym, i nieledwie rozkazującym, że *Pawełek* ze zdziwieniem na niego spojrział.

— A! — wyrzekł z uśmiechem — pierwsze strzały *Kupidynowe*, przenikając w serce twe, *Cezary*, wlały w nie, jak widzę, trochę już siły i męztwa... Wiesz ci... i cieszył-bym się bardzo szczerze, gdyby cokolwiek... kłopotliwie... niech-by już sobie i panna *Delicya* dokonała na tobie zjawy... metamorfozę, i przekształdziła cię z *Cezarka-dziecka* na *Cezarego* mężczyznę.

Cezary wyciągnął rękę ku towarzyszowi swemu.

— *Pawełku*! — rzekł z rozrzewnieniem — ty mnie lubisz trochę? prawda?

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć — odparł, śmiejąc się *Pawełek* — lubię cię nawet bardzo, *Cezarku*!

— Ty jeden tylko... ty jeden... — szepnął *Cezary*, ściskając z całej siły rękę towarzysza...

— Dlatego też — kończył *Pawełek* — choć-byś się miał rozgniewać, co zresztą uważam za rzecz nieprawdopodobną, powiem ci raz jeszcze, że w twojem

położeniu zostając, z ludźmi takimi, jak Kniksowie, trzeba być bardzo ostrożnym... Afekty ich dla takich utytułowanych i milionowych panów, jak ty, bywają zwykle bardzo podejrzanego gatunku.

— Mnie o nikogo więcj nie idzie, tylko o jedną pannę Delicyą — szepnął Pawełek.

— Ha! — westchnął Pawełek — o pannie Delicyi nie a nie nie wiem, ani dobrego, ani złego... mówiłem to tylko tak... z wniosków ogólnych...

Cezary zwrócił się do Pawełka i rzekł, ze szczególną stanowczością w głosie i żywym błyskiem w oczach:

— Mój Pawełku! ona wierzy w serce... powiedziała mi to sama... lubi wieść, ciszę... kwiaty... poezję... jestem pewny, że to istota, która by prawdziwie kochać umiała... nie wiem tylko... nie wiem, czy ja jęj się podobam... i...

Ta umilkł na chwilę, potem bardzo cicho dokończył:

— I czy mnie ktokolwiek na świecie kochać może...

Na tém skończyła się dnia tego rozmowa Cezarego z Pawełkiem.

Przybywszy do Pompalina, młody hrabia zasiadł w najgłębszym kącie jednego z wielkich salonów małego Watykanu, postawił przed sobą jedną tylko świecę i pogrążył się cały w czytaniu jakiejś książki. Tak, nie myślcie bowiem czytelnicy, aby *„ce pauvre*

César“ zupełnie już żadnych nie posiadał stosunków z wielkim wynalazkiem Guttenberga i wszystkimi jego wynalazkami!

Owszem, lubił on czytać i czytał wiele, po całych dniach i nocach niekiedy. Wprawdzie nie były to bynajmniej żadne uczone, ani zbyt poważnie kształcące dzieła, książki te, które czytywał i wszędzie ze sobą wozik, ten biedny Cezary, zgryzota i wstyd swęj rodziny. Powieści rozmaitej treści i wartości, poezye przeważnie polskie, kiedy niekiedy zbłąkane tu wypadkiem dziełko jakieś historyczne, wielce popularnie pisane — oto wszystko. W dodatku, Cezary nigdy nie rozprawiał, nie wspominał nawet o tém, co czytywał, nieledwie krył się z tém zamięłowaniem swém przed najbliższém swém otoczeniem. Kiedyś, dawniej, odzywał się on niekiedy o tych lub owych autorach, o tych lub tamtych książkach; ale zdarzało mu się to zawsze w tak niefortunny i nietrafny sposób, wrywał się wśród towarzystwa z temi literackimi zdaniem i wiadomościami tak bardzo nakszał Filipa z Konopi, że hrabina Wiktorya powiedziała mu:

— *Mon pauvre César!* daj już pokój tym rozmowom o literaturze! Mówisz o dzikich jakichś, nikomu nieznanych książkach, a mówiąc o nich, wypowiadasz prawdziwie téż dzikie zdania!

Mściław także udzielił, przy téj okoliczności, bratu małej nauczki:

— Daj pokój, Cezary, mówieniu o książkach. Aby rozmawiać o literaturze w salonach, trzeba mieć wiele dowcipu, werwy i przytomności umysłu, *et tu sais bien*, jak skąpo wszystkich przymiotów tych udzielił ci nasz wspólny Stworzyciel.

Cezary tedy dał pokój mówieniu o książkach, których jednak nie przestał czytać, pochłaniać nieledwie całemi tuzinami najróżnorodniejszych tomów. I tej nocy także, po dniu tak dla niego pełnym wzruszeń następującej, zasiadł nad książką i czytał wtedy jeszcze, gdy Pawełek usnął już snem głębokim, gdy wielki zegar, umieszczony na jednej z wież małego Watykanu, ogłosił już późną północną godzinę. Wprawdzie, stary, zaufany kamerdyner hrabiny Wiktoryi (jedna z nieodstępnych nianiek młodego hrabiego) zbliżał się parę razy do pupila swego i głosem, w którym uszanowanie łączyło się z wielką powagą, przypominał mu, iż jest już bardzo późno i że pani hrabina była-by bardzo niezadowolona, gdyby wiedziała, że pan hrabia tak długo czuwa i czyta swe książki psuje.

Ale w panu hrabi zaszła dnia tego widocznie mała jakaś rewolucya moralna. Na pierwsze wezwanie odpowiedział on łagodnie i trochę prosząco:

— Nie chce mi się jeszcze spać, mój Fryderyku!

Ale na drugie odrzekł:

— Mój Fryderyku, pójdę spać, kiedy zechcę, teraz jeszcze nie chcę.

A wymówił to tonem, tak zadziwiająco, jak na niego, stanowczym, że stary Fryderyk, nieposiadający w udzielonym mu przez panią hrabinę programacie zezwolenia na przymus cielesny, odszedł, szmerząc, i spać się położył.

Nazajutrz, o dość wczesnej południowej godzinie dwaj bracia Kniksowie zajechali niezmiernie eleganckimi sankami i bardzo pięknymi końmi przed wyniosły i ozdobny ganek pałacowy. Gdy przebywali wschody gankowe, na twarzach ich malowała się błogość niewypowiedziana. Otworzyły się nakoniec przed nimi wysokie progi budowy tej, która, niby pałac zaczarowany i im niedostępny, przesuwiała się tylko dotąd przed ich oczyma, ilekroć mijali ją, sąsiedniemi drogami, do równych sobie przyjaciół swych i rówieśników, Tutunfowiczów, Kobylkowskich, lub Trzewikowskich, dążąc.

Cezary przyjmował gości swych, zwyczajem zresztą u wielkich potentatów bardzo powszednim, przez pełnomocnika swego, którym na ten raz, jak w mnóstwie innych razów, był Pawełek. Nie znaczy to wcale, aby młody hrabia nie wyszedł na spotkanie braci Delicyi, serdecznie rąk ich nie uściśnął, i do salonów ich nie zaprosił, bardzo niezręcznym wprawdzie, nie hrabiowskim gościem. Owszem, uczynił on to wszystko; ale później Pawełek już zabawiał młodych Ki-

ksów rozmową i częstował ich myśliwskim śniadaniem, hrabia Cezary zaś oddawał się po większej części bardzo starannemu oglądaniu rąk własnych, a przemawiał w koniecznej chyba potrzebie, i to z namysłem wielkim, a większą jeszcze pewno nieśmiałością.

Widocznie młodzi Kniksowie, młodzieńcy będący *extrêmement bien*, żywością swą, dowcipem i doskonałą pewnością siebie, a może téż i tém, że byli braćmi Delicyi, imponowali niezmiernie młodemu hrabiemu i onieśmielali go więcej jeszcze, niż wszyscy inni śmiertelnicy, z pomiędzy których jednak, Bóg sam widział, jak drobna cząstka znajdowała się takich, którzy-by na młodego hrabiego nie wywierali onieśmielającego wpływu.

Po śniadaniu pomyślano o wyprawie myśliwskiej. Była to pora polowania z chartami, uganiania się więc po polach na koniach. Cezary pamiętał dobrze o swój *hebrajskiej* konnej jeździe, zbłądł trochę i wymówił się od udziału w wyprawie, a raczej wymówił go Pawełek. Kniksowie nie nalegali bynajmniej, ale, zapowiedziawszy tylko, że hrabia musi wynagrodzić im zawód, przez się zrzadzony, i tego samego dnia jeszcze z nimi razem do Białowzgórz pojechać, w towarzystwie Pawełka powsiadali na konie, puścili przed się charty i, zwinni, weseli, piękni w swych myśliwskich ubraniach, pomknęli w szerokie pola... ku lasom... Młody hrabia stał na ganku i patrzył za

odjeżdżającymi rozpromienionym wzrokiem. Radość widoczna malowała się na twarzy jego, a powodów do niej było trzy: 1^o wykreślił się od polowania, którego perspektywa świdrowała mu w sercu od wczoraj; 2^o bracia Delicyi przypadli mu bardzo do serca. Tacy weseli byli i piękni chłopcy, a Cezary, nie posiadając w upośledzonej naturze swój najdrobniejszych zarodków zazdrości, uczuwał zwykle pociąg szczególnie ku ludziom wesołym i pięknym; 3-ci powód i najważniejszy: panowie Władysław i Henryk zaprosili go na dziś do Białowzgórz.

Zobaczy więc dnia tego jeszcze Delicyą... a może... może to ona sama chciała, aby on był dziś w Białowzgórzach... może myślała o nim choćby chwilkę tak, jak on myślał o niej przez noc całą... może téż on nie bardzo się jój nie podobał! Myśli te wprawiały młodego hrabiego w niezwykle mu stan nerwowy.

— Taka śliczna — myślał, chodząc nieustannie po wielkich salonach swych — taka niewinna, skromna... i tak do mojej biednej, tak kochanej niegdyś Dorotki podobna!

Bracia Kniksowie, jak zapowiedzieli, tak uczynili. Wróciwszy z polowania i zjadłszy obiad, przy którym Cezary, pod wpływem wesołych a serdecznych towarzyszy swych, ośmielił się trochę i rozweselił znacznie, wzięli na eleganckie, obszerne sianie swe mło-

dego hrabiego, i pędem wiatru uwieźli go do Białowzgórz.

Pawełek, pozostawszy sam jeden, wysłał za hrabią saniem, któremi-by mógł do domu... a! przepraszam! do pałacu powrócić, sam zaś zamyślił się nad przyszłością i uczuciami pupila swego, długo i trochę smutnie.

— Biedny Cezary! — rzekł do siebie — gdybyż przynajmniej nie spotkał go tam zawód! gdybyż miłość kobiety téj dla niego była prawdziwą, i podnieść go, i zmęźnić, i człowieka z niego zrobić potrafiła!

Cezary wrócił z odwiedzin swych późno po północy. Przy pierwszém zaraz na niego spojrzaniu, Pawełek odgadł, że... było już po wszystkiém, to jest, że serce młodego hrabiego było już nader żywo zajęte, bezpowrotnie może przez Anioła z Białowzgórz na własność zabrane. Postawa jego wyglądała prostszą, jakoś, żywszą, śmielszą, niż zwykle, oczy mu błyszczały i promieniały. Gdy tylko pilnujący go wiernie stary Fryderyk oddalił się, rzucił się na szyję Pawełkowi i zawołał:

— Jaka ona śliczna! mój Pawełku, żebyś ty wiedział, jaka ona śliczna była! Piękniejsza jeszcze, miłsza... niewinniejsza, niż wczoraj, w Odrzenicach.

Następnie, po tym pierwszym wybuchu radości i zachwycenia, usiadłszy naprzeciw Pawełka, mówił

już ciszej daleko i powolniej, z rozmarzeniem na twarzy i łzawém okiem:

— Gdybyś wiedział, jacy oni tam wszyscy mili, serdeczni, poczeiwi... jak u nich tam dobrze, ciepło... Doprawdy, ani poczułem, że jestem pomiędzy obcymi ludźmi, których wczoraj dopiero poznałem... Władysław i Henryk polubili mnie... tak, czuję to dobrze, że polubili mnie szczerze... pani Kniksowa była także dla mnie bardzo dobrą... czy wiesz, że kilka razy omyliła się, mówiąc do mnie, i zamiast: panie hrabio! — powiedziała: panie Cezary! Tak mi to było przyjemnie, że nie uwierzyś! Nigdy bo, doprawdy, pojąc tego nie mogłem, poco to ciągle powtarzać: hrabio! hrabio! jakby to było coś szczególnie miłego. Ale, mój drogi, mnie się téż zdaje... nie śmię się tylko ze mnie, Pawełku... może ja się mylę... może jestem zbyt zarozumiały, ale zdaje mi się, że ja i jój... jój... podobałem się trochę... troszeczkę..

Pawełek słuchał tych zwierzeń się z miną, niezupełnie wesołą.

— Ależ spodziewam się, że nie oświadczyłeś się jeszcze o rękę panny Delicyi? — zapytał.

Młody hrabia spojrzał na niego szeroko roztwartemi oczyma.

— Nie — odpowiedział — nie pomyślałem o tém...

— To szczęście prawdziwe, żeś nie pomyślał, bo gdybyś był pomyślał, może-byś to już był i uczynił.

— Nie! nie! za nie! — zawołał Cezary z prawdziwym przerażeniem w głosie.

— Dlaczegoż tak bardzo nie!

— Lękał-bym się, mój drogi, lękał-bym się bardzo!.. a nuż-by mi panna Delicya odmówiła...

— Tobys' coprędzėj z harbuzem otrzymanym do Warszawy uciekał!

Cezary pobladł widocznie i na towarzysza swego spojrział ze smutnym, łagodnym wyrzutem:

— Nie mów tak, Pawełku — wymówił z cicha — nie żartuj z tego... Ja nie Mścisław... nikogo nigdy nie bałamucilem, i metres żadnych nigdy nie miałem... Jeżeli-bym pokochał... a nie miał wzajemności... ja nie wiem... ja nie wiem, coby się ze mną stało...

Mówiąc to, był tak blady i oczy mu tak gorączkowo błysnęły, że Pawełek przeląkł się prawie.

— Jeżeli tak, Cezary — zaczął bez cienia żartu w głosie — pakujmy się natychmiast i téjże nocy wyjeżdżajmy do Warszawy.... Masz, widzę, ogromną skłonność do pokochania panny Delicyi, a... nuż-by cię ona nie pokochała? Uciekaj tedy, póki czas...

Cezary uśmiechnął się dziwnie jakoś, powstał z krzesła i, stojąc przed towarzyszem, rzekł głosem, stłumionym od wzruszenia i od zmieszania:

— Mój Pawełku! ja za nic nie pojadę... nie mógł-bym... wiesz? jak ją kocham! ona taka śliczna i taka dobra, i taka miła!.. i wszystkich ich tam ja, mój Pa-

wełku, pokochałem... W jej matce znajdę matkę, w jej braciach... braci... bo, mój Pawełku, sam powiedz...

Tu zniżył głos i dodał raptem prawie:

— Powiedz! czy ja miałem matkę? czy ja miałem brata?... czy kiedykolwiek... ktokolwiek... był dla mnie...

Urwał i pochylił głowę, jakby sam zląkł się tego, co powiedział. Była to pierwsza w życiu skarga, pierwszy jęk głośny, który mu wyszedł z piersi, przeciw temu, co oddawna może a tajemnie, może nawet bezwiednie, pierś mu uciskało. Pawełek téż patrzył na niego z najwyższém zdumieniem, gdy, prostując się i do bladego czoła dłoń przyciskając, namiętnie niemal zawołał:

— Czyż tak już zawsze ma być, Pawełku! powiedz sam, czyż już inaczej być nie może? Nie, Pawełku, tak żyć nie można i nie warto! ja chcę rodziny! chcę być dla kogośkolwiek czém inném, niż panem hrabią, albo biednym Cezarym! ci ludzie polubili mnie... ja ich za to kocham, z całego serca kocham!

Po tym wybuchu uczuć hrabiego, obaj towarzysze milczeli dość długo; Pawełek ozwał się pierwszy:

— Wszystko to bardzo dobre — rzekł — żądania twoje, Cezary, są bardzo słuszne; ale pomyśl tylko, jaka-by to, na wypadek oświadczenia się twego pannie Delicyi... powstała burza tam... w Warszawie.

Cezary zmieszał się nagle.

— Dlaczego? — zapytał, jakby sam nie wiedząc, co mówi.

— A no, — rzekł Pawełek — jakże-by mogło być inaczej? Ojciec starego Kniksa, więc dziad panny Delicyi, był sobie podobno szaraczkowym szlachcicem, zanim dochrapał się Białowzgórz... pani Knikso-wa znowu jest córką rządcy... najwyraźniej rządcy majątków u książąt S., matka jej z domu Skórkowska... córka już nie wiem czyja... garbarza może jakiego, albo rymarza... wszystko to, mój drogi, trąci szalenie demokracją, parweniuszowstwem... a pani hrabina...

— Mój Pawełku — z błagającym na towarzysza wejrzeniem przerwał Cezary — dość już tego... dość... nie mów mi dziś o tém wszystkiém... nie truj mi tego dnia przyjemnego... ja nie wiem, co będzie... pewno, pewno okropna burza... ale dziś... ja nie chcę o tém myśleć... oto lepiej pomyślę, co jutro będzie... Wyobraź sobie, mój drogi, jacy oni tam wszyscy dobrzy! zaprosili mię znowu do siebie na jutro... na obiad.

— Prawda, że to dowód wielkiej dobroci, mój Cezary — z uśmiechem zauważył Pawełek. — Ale... — dodał — poco ja mam względem ciebie grać rolę puszczyka, czy dozorca więzienia... czyn, co ci się podobą, byle-by ci wyszło na szczęście, którego, wierz mi, szczerzę ci życzę...

Ucałowali się i młody hrabia zasiadł znowu nad

książką, której jednak téj nocy nie czytał, myśląc i marząc o czém inném.

Nazajutrz, o dość wczesnej przedobiedniej godzinie, toczył się w salonie Białowzgórskim lekki spór pomiędzy panią *Żuliettą* a najulubieńszą jej córką.

Naprzeciw matki swój, siedzącej na kanapie i wi-docznie gotowej już do przyjęcia oczekiwanego gościa, Delicya siedziała na fotelu z postawą i minką rozkaprzonego dziecka, którego woli ktoś się sprzeciwić, a które sprzeciwiania się tego znieść nie może.

— Moja mamciu — mówiła — jeżeli mamcia nie pozwoli mi tego uczynić, to ja mamci stanowczo zapowiadam, że jak hrabia oświadczy się o mnie, zreku-zuję mu formalnie i będzie po wszystkiém.

Pani *Żulietta* zbladła prawie z przestachu, którym napełniło ją to oświadczenie córki, bardzo stanowczym tonem wymówione:

— Ależ, Delciu... zaczęła...

Delicya nie dała jej dokończyć.

— Mamcia przecież wie bardzo dobrze, bo ja przed mamcią nie nigdy udać ani skłamać nie umiem, że ja do hrabiego nie mam żadnej, a żadnej sympatii i że jeśli zdecyduje się na ten mariaż, to tylko dlatego, że... cóż mam czynić?... wolę już przecież zostać jego żoną i wielką panią, niż wyjść za którego z pánów Tutunfowiczów lub im podobnych... zresztą wiem, że przez to sprawię wielką przyjemność mamie...

— Radość, moje dziecko, radość prawdziwą, nie przyjemność — przerwała pani *Żulietta*.

— I braciom także dopomogę w życiu i losie — kończyła Delicya. — Dlatego też zdecydowaną jestem i robię wszystko, co mogę, żeby hrabiemu podobać się; ale szczęśliwą nie czuję się wcale i mówię mamie otwarcie, że jeśli mama nie zgodzi się na to, aby hrabia zobaczył się z ojcem... to ja wcale za siebie nie ręczę.

— Ależ, moje dziecko kochane! — zawołała pani *Żulietta* — pomyśl tylko, jakie to wrażenie wywrzeć może na tak młodym i... niedoświadczonym człowieku... jak hrabia! Przełęknie się on twego ojca... i własnymi oczyma zobaczywszy... to nieszczęście, nie zechce może żenić się z córką...

— Z córką waryata — ze smutnym uśmiechem dokończyła Delicya. — Nie zechce, to nie zechce... cóż robić? ja pewno z rozpaczy po nim nie umrę... wiem zresztą dobrze, że zechce... jeszcze może więcej zechce... W każdym razie, moja mamciu, ja biednego ojca wstydić się nie myślę i znieść tego nie mogę, aby on był upośledzonym przez nas i tak już za nie zupełnie poczytywanym...

— Ależ, moja droga! co ci się dziś stało? któż kiedy myślał upośledzać ojca twego i poczytywać go za nic?...

— Było-by to w najwyższym stopniu upośledzeniem go, jeśli-bym mu ani razu nawet nie pokazała

człowieka, który stara się o mnie i którego żoną prawdopodobnie zostanę...

— Cóż z tego, że mu go pokażesz... skoro jest on nieprzytomnym...

— Niech sobie będzie nieprzytomnym... kiedy idzie o mnie, ojciec rozumie i pamięta wszystko... Mamciu — dodała ciszej — mamcia ani wie, jak my się rozumiemy z ojcem...

Pani *Żulietta* zadumała się smutnie.

— Wiem — rzekła w zamyśleniu i z lekką goryczą w głosie — wiem, że kochasz ojca daleko więcej... niż mnie!

— O nie! — żywo i z mocą zawołała Delicya — nie więcej, mamciu droga, nie więcej! sama wiesz, jak bardzo cię Kocham! ale mi ojca biednego taki żal... taki żal...

— A więc — złagodzona już żywem odezwaniem się córki, rzekła pani *Żulietta* — czyń, jak chcesz, moje dziecko, ale pomyśl tylko wprzód dobrze, aby ci to na złe nie wyszło...

— Niech mamcia będzie spokojną, już ja dobrze poznałam hrabiego i wiem doskonale, czém można go odstręczyć, a czém nie można...

Powstała z krzesła i stanęła przed lustrem. Przeciwnie dziś wyglądała w domowym ubraniu swém, które, z grubego zimowego materiału sporządzone i pod samą szyją skromnie zapięte, ciemną swą barwą lepiej jeszcze uwydatniało przejrzystą białosć

jěj cery i pyszny, popielaty odcień jěj włosów. Pani *Žulietta* patrzała na córkę z prawdziwém zachwyceniem.

— Szkoda, Delciu — ozwała się — ~~żeś nie przy-~~pięła do włosów ponsowěj kokardy, zamiast těj błękitnéj... jesteś dziś trochę bladą i lepiej-by ci było w kolorze ponsowym...

Delicya z figlarnym uśmiechem odwróciła się od zwierciadła.

— Moja mamciu — rzekła — hrabia lubi nade wszystko kolor błękitny, jako godło skromności, czy tam stałości, nie pamiętam już dobrze; a odkąd ja się o tём dowiedziałam, kochamy się w błękitach oboje...

Pani *Žulietta* zaśmiała się wesoło i, położywszy obie swe białe dłonie na ramionach córki, w czoło ją pocałowała.

— Oj ty, filutko — rzekła — jaka z ciebie rozumna dziecina!..

— Nie bardzo już dziecina! — na-pół uśmiechnęła się, na-pół westchnęła Delicya. — Ba! — dodała, patrząc w lustro i układając na śnieżném czole drobniuchne loczki — dwadzieścia trzy lata... gdyby nie to... kto wie? czy pan hrabia nie poszedł-by ode mnie z kwitkiem...

— Cicho! na miłość Boga cicho! — jęknęła pani *Žulietta*, spoglądając w okno, pod którym przesuwaly

się właśnie sanie, z siedzącym na nich hrabią Cezarym.

Władysław i Henryk byli już na ganku i z wesołemi, rozpromienionemi twarzami ściskali dłonie przybywającego gościa...

— Poczciwi, rozumni chłopcy! jak oni kochają siostrę i jak szczerze nam dopomagają! — z rozrzwinieniem szepnęła pani *Žulietta*.

Cezary wszedł do salonu, jak zwykle z nim bywało, zmieszany bardzo. Gdy jednak całował w rękę panią *Žuliettę* i witał Delicyą, po twarzy jego nieśmiały i zaleknioněj przebiegł promyk radości i czułości. Widać było, że czuł się bardzo szczęśliwym, panie te witając. Z tём wszystkiém, gdy usiadł już na fotelu obok Delicyi, a naprzeciw jěj matki, nie miał nic pilniejszego do uczynienia, jak zdjąć coprędzej rękawiczki i ze wszystkich stron, nadzwyczaj starannie obejrzeć swe ręce. Dłoniom swym szczególnie, szerokim i grubą skórą przyobleczonym, przypatrywał się tak długo i z tak głęboko skupioną uwagą, iż zdawać się mogło, jakoby był szczególnym zwolennikiem chiromancyi, a studia nad nią przeważnie na swěj własnej osobie odbywał.

Wszystko to jednak nie trwało długo. W salonie pani *Žulietty* panowała atmosfera tak ciepła, tak ja-koś serdecznie i mile poufała, rozmowa pomiędzy znajdującemi się w niěj osobami toczyła się w kierunkach tak prostych, łatwych, a dla młodego go-

ścia przystępnych i sympatycznych, że ręce hrabiego opuściły się na kolana znacznie prędzej, niż-by względnie do przyzwyczajęń jego spodziewać się należało, a powieki jego zato podniosły się i ukazały wzrok dziwnie łagodny i już spokojny, rozpromieniony bardzo ciepłą, jakkolwiek na dnie źrenicy chowaną, iskrą żywój sympatii, ku otaczającym osobom uczuwanój. Błogi ten nastrój ducha hrabiego wzrastał stopniowo, wzmagał się coraz pod wpływem przyjacielskich rozmów pani *Żulietty* i jój synów, a bardziej jeszcze łagodnych spójrzeń i wdzięcznych poruszeń Delicyi; przy obiedzie, mającym doskonały pozór wytwornego wprawdzie, ale zarazem przyjacielskiego, rodzinnego niemal obiadku, nastrój ten szczęśliwy wzmógł się tak dalece, że hrabia Cezary, zamiast, jak to zwykle bywało, ograniczyć się w rozmowie krótkimi odpowiedziami i krótkimi również, a częstokroć naiwnymi bardzo zapytaniami, jał solo już i zupełnie samodzielnie mówić współbiesiadnikom o rozmaitych epizodach stołecznego życia, jako to: o przedstawieniach teatralnych, koncertach, balach i t. d. Czynił to z razu powoli, nieśmiało, jākając się i niezupełnie trafnyel a jasnych dobierając wyrażęń; ale potém, pod wpływem bądź to bacznej, a widocznie przychylnój uwagi słowom jego przez otaczających udzielanej, bądź te własnych myśli, które, obficie niż kiedy, przyplýwały mu do głowy, ośmielił się i ożywił tak dalece, iż wyrażać się zaczął wcale płynnie i z łatwością, uczy-

w mowie kilka zwrotów bardzo zręcznych i uwag rzeczywście dowcipnych, przyczém zaśmiał się wesoło, prawdziwie młodzieńczo. Śmiechowi jego wtórowały tu również swobodne, wesołe śmiechy; opisy, które czynił, zajmowały widocznie wszystkich; jego zaś dowciple uwagi pozyskały ogólne zrozumienie i życzliwy oklask. Hrabia Cezary po raz piérwszy może w swém życiu uczuł, że w tém otoczeniu, pomiędzy tymi ludźmi, nie był „biednym” ale „kochanym,” niemal uwielbianym Cezarym; że z rąk i nóg jego opadły ciężkie dla niego zawsze kajdany ceremonialnej etykiety i ściśle przestrzeganego konwenansu. To téż przy końcu obiadu wymknęło mu się coś nawet z tak starannie dotąd ukrywanych wiadomości i zdań literackich, które posiadał. Wiadomości te i zdania, podchwyczone żywo przez Delicyą, dostarczyły młodej parze wątku do nader ożywionój rozmowy, która, gdy toczyła się jeszcze przy czarnej kawie, podanej w salonie, młodzi Kniksowie szepnęli matce bardzo cicho:

— Czy wié mama, że hrabia nie jest wcale takim głupcem ani oryginałem, za jakiegośmy go dotąd mieli...

— Wcale nie głupi!

— I jak ożywił się, zrobił się nawet wcale niebrzydki!

Pani *Żulietta* miała w oczach łzy rozrzewnienia, które ukrywała przed gościem, patrząc niby w okno.

— Tém lepij, moje dzieci — szepnęła synowi —
tém szczęśliwiej dla Delci i dla was! Wyrażna łaska
Bozka nad nami!...

W téjże chwili podniosła się z miejsca swego Delicya i, jakby przypominając hrabiemu rzecz dawniej już umówioną, rzekła z zupełną swobodą, acz z trochę smutku w głosie:

— Panie hrabio! pójdziemy może teraz do ojca...

Pani *Żulietta* pobladła trochę i szybko zwróciła się do hrabiego, który powstawał już z miejsca, aby udać się za zmierzającym ku drzwiom salonu Białowzgórskim aniołem.

— Panie hrabio! — przemówiła gospodyni domu.

— Niel — poprawiła się szybko i z rzewnym na ustach uśmiechem — po co względem najlepszych przyjaciół naszych używać tych smutnych, światowych tytułów? kochany panie Cezary...

Cezary zbliżył się szybko i rękę pani *Żulietty*, dziękując jęj jakby za coś, w milczeniu pocałował.

— Kochany panie Cezary — powtórzyła matka Delicyi, z widocznie uroczystą postawą na kanapie zasiadając — ponieważ pan jesteś tak dobrym, że chcesz wziąć udział w wielkiem rodzinném nieszczęściu naszym, trzeba koniecznie, abyś pan wprzód dowiedział się, jakiej jest ono natury i co je spowodowało...

Gdy pani *Żulietta* to mówiła, młodzi Kniksowie stanęli u okna obok siebie, w postawach poważnych

i smutnych, z ramionami na piersiach skrzyżowanymi i pochylonemi głowami, Delicya usiadła nieco opodal, z poważną także i zasmuconą twarzą, Cezary zaś wszystkimi władzami ducha swego zawisł na ustach matki Delicyi, która, po chwilowém milczeniu, w następujący sposób mówić zaczęła:

— Mąż mój, kochany panie Cezary, a ojciec Delicyi, był zawsze człowiekiem poważnym, nadzwyczaj poważnym... nie zajmowały go nigdy żadne zabawy... to, co wszyscy inni ludzie, z jego położeniem i stanowiskiem uważają zwykle za niezbędne prawie przyjemności życia, nie miało dla niego nigdy powabu żadnego... Oddawał się bardzo gorliwie gospodarstwu, interesom... łamał sobie głowę nad sposobami polepszania bytu i losu swych poddanych, czytywał z nadzwyczajném zajęciem różne poważne dzieła, słowem, panie hrabio, zapracowywał się, jak wyrobnik jaki, a miesiące całe z domu się nie ruszał, niby szlachcic zagrodowy, zmuszony do pilnowania swego zagonu... Może mylę się, ale doprawdy, to zapracowywanie się męża mego, to jego domatorstwo i ten wstręt do rozrywek wszelkich, uważam jako pierwszą przyczynę nieszczęścia, które go później dotknęło... Wszakże wyznać muszę, że w pierwszych latach pożycia naszego, charakter jego bardzo łatwym był i jednostajnym... mogę nawet powiedzieć wesołym... Trwało to jednak niedługo... Humor mego męża stopniowo zmieniać się zaczął... długie i częste zamy-

ślania się zastąpiły u niego miejsce uprzedniej wesołości... aż przyszło do tego, że zamykał się w swym pokoju przez całe dnie niekiedy, nikogo z domowych, mnie nawet, widzieć nie chcąc... Zkąd się wzięła ta zmiana nieszczęśliwa? jakimi były jej powody? nie wiem prawdziwie i odgadnąć nie mogę...

Mówiła prawdę: bardzo seryo nie wiedziała o niczym i zupełnie szczerze, nie poczuwając się do niczego na świecie, powtórzyła raz jeszcze:

— Zkąd wzięła się smutna ta zmiana, nie wiem prawdziwie i odgadnąć nie mogę... interesa nasze stały jak najlepší... dzieci wzrastały zdrowo i szczęśliwie... o sobie nie mówię... byłam zawsze taką, jaką dziś jestem! Cokolwiekby, mąż mój, chociaż smutniejszym był, niż wprzód, i więcej samotności szukającym, pracował zawsze wiele nad gospodarstwem i książkami, doskonale i bardzo energicznie... o! bardzo energicznie rządził majątkiem... słowem, nikt a nikt nie mógł posądzić go o najlżejszą nieprzytomność umysłową... Niekiedy tylko, rozmawiając w towarzystwach o pewnych przedmiotach, dotyczących się... dotyczących się spraw, jak wyrażał się, ogólnych, wpadał w dziwny jakiś, mogę nawet powiedzieć, nie-naturalny zapach... w szczególną, jak się później i pokazało, chorobliwą exaltacją... Przyszło nawet do tego, że o niczym inném już i mówić nie chciał... zakopał się w gazetach, dniami i nocami czytywał je, a wszystko, co działo się na świecie, obchodziło go tak

dalece, tak żywo, jakby to były własne jego, domowe interesa... Przyszło do tego nawet, panie hrabio! że, ach! domowe osoby... ja... dzieci... jakbyśmy nie istniały dla niego... jakby nas dla niego na świecie nie było...

Wymówiła to z niedającami się utaić żalem i gorzkością; mniemała, że bardzo szczerze i zupełnie szczerze, jakkolwiek ona nie ofiarowywała wyłącznie życia i myśli swych mężowi swemu, on przecież, dla niej tylko wyłącznie żyć i o niej myśleć był powinien. Zaledwie też mogąc poskromić gorzki żal swój, mówiła dalej:

— Tak, panie hrabio, przyszedł czas, w którym mój biedny Adam całą już duszą utonął w tych... sprawach ogólnych... zaczął nawet stopniowo zaniedbywać gospodarstwo i interesa, tak zajmowało go to, co działo się... na świecie... ale gdy źle dziać się zaczęło, z moim biednym Adamem stawało się też coraz gorzej... Przez cały rok pochmurny był tylko i jak grób milczący... trudno z niego było słowo wydobyć... dzieci pieścił jeszcze czasem, mianowicie najmłodszą córkę naszą, Delicią, ale zresztą nie go nie zajmowało... Zaczął doświadczać często okropnych bólów głowy, wychodził wtedy na przechadzki, z których wracał późną nocą, mówiąc coś niezrozumiałego do siebie, wstrząsając smutnie głową tak, jakby nad kimś niewidzialnym także litował się i bolał... Pewnego nakoniec wieczora, po bardzo długim milczą-

cém chodzeniu po pokoju, usiadł przy stole, wziął głowę w obie ręce i zaczął głośno mówić. Usiadłam przy nim i słuchałam. O, że ja przeżyłam tę chwilę, prawdziwy to cud Bożki! Nie zgadł-byś nigdy, panie hrabio, o czém mój biedny Adam mówił wtedy! Nie o mnie, nie o dzieciach, nie o interesach swych, nie! Wszystko to już nie istniało dla niego! Oto wyliczał rozmaite nieszczęścia, które działy się wtedy na świecie... jedno po drugim... całą długą, długą litanią... z tego to wyniknie, mówił, a z tamtego, mówił znowu, tamto... Mówił tak godzinę dobrą do samego siebie, mnie bowiem, chociaż siedziałam tuż przy nim, ani spostrzegali.. Nagle porwał się z krzesła, oczy mu w słup stanęły, twarz zbladła jak u trupa. Ścisnął głowę w obu dłoniach, okropnym jakimś głosem krzyknął: „Przepaść!” i upadł na ziemię. Rozesłałam natychmiast po doktorów... zjechali się, lecz jakże strasznym był ich wyrok! Mąż mój, kochany panie Cezary, ojciec moich dzieci, był obłąkanym!..

Wraz z ostatnimi wyrazami pani *Zulietta* poniosła chustkę do oczu. Dwaj stojący u okna bracia spoglądali na siebie i szeptali zeicha:

— Nie pojmuję, co się stało, mamie i Delci..

— Poco było przy obcym człowieku zagajać tę rozmowę...

Delicya powstała z krzesła.

— Panie hrabio! — rzekła, zwracając się do Cezarego, — ja chcę, aby mój biedny ojciec zobaczył pana...

— Ależ, Delciu! — zawołali jednogłośnie dwaj bracia — poco? dlaczego pan hrabia ma dzielić z nami...

Nie pozwolił im dokończyć Cezary. Bledszy trochę, niż wprzód, dziwnie jakoś poważny, podniósł się z krzesła i rzekł proszącym głosem:

— Uczynicie mi tę łaskę i pozwólcie, abym podzielił z wami boleść waszą... abym poznał ojca waszego, i chociaż nie zrozumie on mnie może, abym powiedział mu, jak go szanuje...

Oho! co za odkrycie! *Ce pauvre César* umiał widać czuć i uczucia swe we wcale przyzwoity, jakkolwiek całkiem prosty, sposób wyrażać!

Dwaj bracia skłonili się w milczeniu, Delicya rękę swą położyła na ramieniu hrabiego i, przez obszerną salę jadalną, powiodła go ku owym drzwiom, ściśle zamkniętym, za którymi słyhać było równe, nieustanne, niestrudzone jakby stąpanie mężkie.

W komnacie, znajdującej się za zamkniętymi drzwiami, zapadał już zmrok wieczorny, rozświetlony gdzieś tam czerwonymi błyskami palącego się na kominku ognia.

W migotliwém tém, niepewném oświetleniu, wokoło wielkiego, okrągłego stołu, przechadzał się równym, miarowym krokiem, wysoki, chudy mężczyzna, z wielkiém, mnóstwem fałd zbruzdzoneń, czołem, z zapadłą, szeroko roztwartą, żywo połyskującą żrenicą. Trzymał on w ręku książkę, z której powoli i ostro-

źnie wydierał kartkę po kartce, każdą z nich rzucając z kolei w płomienie kominka, około którego, nie zatrzymując się na chwilę, przechodził. Trwało to dość długo, Delicya, która z towarzyszem swym zatrzymała się u drzwi, szepnęła:

— Biedny ojciec! tak lubił dawniej książki, a teraz niszczy je tak ciągle... spalił już w ten sposób połowę swęj biblioteki, a gdy mu którego dnia książek nie położy na stole, staje się niespokojnym i chce spalić wszystko, co ma pod ręką..

Z ust obłąkanego tymczasem wychodziły cichym, urywanym głosem wymawiane wyrazy:

— Nacóż to potrzebne? — mówił — nacóż się to zdało? wszystko przepadło! wszystko zginęło! niczego już nie potrzeba! niczego! niczego!

Przy ostatnim wyrazie zatrzymał się przed kominkiem, i resztę książki, w rękę trzymanęj, rzucił w ogień. Papier zajął się wnet płomieniem i tylko tytułowa karta, oświetlona jaskrawo, wahała się czas jakiś w powietrzu, zanim wielkie czarne litery, składające uczoną nazwę jakąś, zaświeciły z kolei jaskrawo i opadły jedna po drugiej na stos nagromadzonych popiołów.

Adam Kniks patrzył na to dzieło zniszczenia uparcie i bez zmrużenia powieki. Czerwone błyski ognia igrały po gęstych, nieruchomych bruzdach wielkiego jego czoła, i przeglądały się w zapadłych, smutnych, szklitych źrenicach. Szeptał coś niedo-

słyszalnego i załamał ręce, gdy Delicya, mimowoli jakby, ujawszy rękę hrabiego, wraz z nim zbliżyła się ku kominkowi, i dłoń swą łagodnie na ramieniu ojca złożyła.

— Ojczulku! — szepnęła.

Z ciężkością jakby, oderwał wzrok od płomienia i zwrócił go na podniesioną ku niemu białą, łagodną, anielsko w istocie piękną w tęg chwili, twarz córki.

— Aha! — rzekł zwolna, i powiódł ręką po czołe, jakby sobie przypominał o czémś — to ty, Delciu! — mówił dalej i coraz już prędzej. — Przyszedłś znowu do mnie! to dobrze! tylko widzisz, u mnie tu smutno... ja jestem bardzo... bardzo smutny... wszędzie smutno! bieda!

Rzekłszy to, pochylił głowę, odwrócił się i miał już rozpocząć nanowo swą dokoła wędrówkę, gdy Delicya z łagodną pieśczołą otoczyła szyję jego ramieniem i, zwracając twarz jego w stronę, w którą stał młody hrabia, rzekła:

— Ojczulku! Oto jest pan hrabia Pompaliński, o którym ci wczoraj mówiłam... chciałam, koniecznie chciałam, abyś pana hrabiego zobaczył...

Cezary, nagłym, niespodziewanym ruchem, pochwycił rękę obłąkanego i, nie mówiąc ani słowa, uściśnął ją z całej siły w swych dłoniach. Adam Kniks zatrzymał jego rękę i patrzył mu w twarz długo uporeczywie, jakby z nięj wyczytać coś pragnął, jakby

z wysileniem niezmierném zbierał własne rozpięchłe myśli.

— Hrabia... Pompaliński... — zaczął nakoniec — wiem... wiem... słyszałem... jesteście wielkimi panami... macie miliony... ale nie warci jesteście niczego... niczego... nie nie czujecie... nie nie czynicie...

— Ojczulku! — z przestachem w głosie szepnęła Delicya.

Ale Adam Kniks nie przestawał uporeczywie wpaływać się w młodego człowieka, poczem mówił dalej:

— Bardzo mnie miło, bardzo dziękuję, że pan poznać mnie chciałeś... tylko, że ja nie już nie znacze i niczém nie jestem... mam, widzi pan, robaka w mózgu, który mnie tak gryzie... gryzie i... bardzo smutny jestem... Ale to nic nie szkodzi... jak Delcia przychodzi do mnie, trochę mi lżej... to najmłodsze dziecko moje... dobre dziecko...

Delicya wspięła się na palce, i usta swe do zapałyła policzka ojca przyłożyła.

— Pan jesteś młodym, bardzo młodym — zaczął — być może, iż pan będziesz jeszcze szczęśliwym... chociaż wątpię... teraz nie można być szczęśliwym... mnie bo, widzi pan, smutno, strasznie smutno...

Mówił to bardzo łagodnie; kończąc, westchnął z głębi piersi.

— Ach — dodał — żebyś pan wiedział, czego mi smutno? wszystko, wszystko minęło... zginęło... prze-

padło... prawda? i pan to pewno widziałeś! ale pan młody jesteś! zapomnisz...

Myślał chwilę; potem, wstrząsając przecząco głową, dodał:

— Nie! nie! o tém zapomnieć nie można! chcąc nawet, nie można! Robak tam siedzi w mózgu i gryzie mózg... gryzie... ale pan młody jesteś...

Stał znowu chwilę nieruchomy, z pochyloną głową, potem, podnosząc oczy na Cezarego, rzekł jeszcze:

— Wié pan co? gdybym miał miliony, jak pan, i tego robaka w mózgu nie miał, może-bym jeszcze żył... Z milionami można dużo, dużo zrobić, ale Pompalińscy nic nie robią, nie! wiem... pamiętam, że nie...

— Zresztą — dodał po chwili, czyniąc ręką giest głębokiego zniechęcenia — poco miliony! poco roboty! poco wszystko!...

Postąpił parę kroków ku stołowi, wziął jedną z leżących tam książek i, rozpoczynając na nowo powolną przechadzkę swą dokoła stołu, wydierał z książki kartkę po kartce, i cichym, przejmującym głosem, niby zwrotkę jakąś, do myśli mu nieustannie wracającą, powtarzał:

— Nacóż to potrzebne? nacóż się to zdało? smutno! smutno! smutno!...

Delicya zwróciła się ku Cezaremu.

— Teraz — szepnęła z cicha — możemy odejść. Biedny ojciec zmęczył się rozmową z nami...

Ale Cezary nie słyszał w tej chwili głosu, który, w zwyczajnych okolicznościach, posiadał dla niego urok tak bardzo podbijający. Z oczyma wlepionemi w twarz ojca ukochanej swój, w twarz tę zboliałą, przejmująco smutną, a jednak przyobleczoną dziwną jakąś, nadludzką jakby powagą, postąpił szybko kilka kroków, i zanim Delicya odgadnąć mogła, co czynić zamierza, pochwycił obłąkanego za obie ręce i głosem przyciszonym, nieśmiałym, uszanowania i czułości pełnym, wymówił:

— Jestem młodym, panie... bardzo młodym... a choć wszyscy mówili mi zawsze, że jestem *bon à rien*, być może jednak, że kiedyś przydam się na coś ludziom... Mówiłeś, panie, że Pompalińscy nigdy nie uczynili... i ja także nie nie uczyniłem dotąd, ale być może, iż będę mógł, iż kiedykolwiek potrafię co dobrego uczynić... pragnę tego, bardzo pragnę, a życie długie jeszcze przede mną... Pobłogosław mnie, panie, na to długie życie, aby się ono nacokolwiek przydało tym ludziom, których ty, panie, tak mocno... tak bardzo kochałeś...

Wymawiając ostatnie wyrazy, młody hrabia przykląkł na jedno kolano. Uczynił to, prawdę mówiąc, w sposób bardzo niezgrabny, ale na twarzy malowało się tak silne, głębokie, tak pełne uroczystej niemal czci wzruszenie, iż wyraz twarzy tej stokrotnie wynu-

gradzał w tej chwili to wszystko, czego pod względem gracy i dystynkcyi niedostawać mogło jego postaci. To też błękitne oczy Delicyi oszklify się łzami, a po smutném obliczu obłąkanego przemknęło na chwilę uczucie jakby ulgi i ukojenia. Położył obie dłonie na pochyłonej przed nim głowie młodzieńca, i z wolna mówić zaczął:

— Żądasz błogosławieństwa mego, młodzieńcze! dobrze! błogosławię cię na to długie życie, które masz przed sobą... idź z meztwem i miłością... Nie wiem tylko, czy się to na co przyda! ale rób, co możesz... miliony masz i siły masz... serce ci nie pękło, jak mnie, i robak w mózg się nie wwiercił... może jeszcze podolasz czemukolwiek... błogosławię cię... dla mnie nie już nie trzeba... nie... kiedyś... gdy żyłem jeszcze, powiedział-bym ci wiele... wiele... ale teraz już mówić nie mogę, tak mi smutno... smutno... ach! jak smutno...

Przy ostatnich wyrazach, mowa jego zniżyła się do cichego, zaledwie dosłyszalnego szeptu. Jakby wyczerpany, krótką swoją rozmową, osunął się na krzesło, przy stole stojące, twarz oparł na obu dłoniach i westchnął tak głęboko, przeciągle, z takiem jakimś ciężkiem wewnętrzzném łkaniem, iż zdawać się mogło, że wraz z tém westchnieniem dusza jego, śmiertelnym bólem rozebrana, uleci mu z piersi.

Delicya i Cezary weszli do jadalnej sali z takim

wyrazem na twarzach, jakby przed chwilą stali oboje nad samotnym łóżem kogoś, bardzo im drogiego. Młody hrabia drżał cały ze wzruszenia, Delicya patrzyła na niego dziwnie miękko i przyjaźnie.

— Jaki pan jesteś dobry, panie hrabio... — szepnęła.

Zwrócił się ku niej i stłumionym głosem zawołał:

— O, nie! pani jesteś dobrą, jak Anioł... Jak pani kochasz swego... zacnego ojca!

— Cóż w tém dziwnego? — smętnie uśmiechnęła się dziewczyna — my się wszyscy w rodzinie kochamy bardzo... a ojciec był dla nas tak dobrym zawsze... tak czułym... Możnaż o tém zapomnieć? Ale pan, panie hrabio... ja dziś, doprawdy... dwa razy więcej mam przyjaźń dla pana, niż przedtém...

Mówiła to szczerze. Oczy jęj z rozrzewnieniem spoczęły na twarzy hrabiego, którą przy ostatnich słowach jęj rozświecił promień niebiańskiej radości.

— Doprawdy! — zawołał z cicha — pani masz dla mnie przyjaźń... choć trochę przyjaźni... mój Boże! Jakież ja jestem szczęśliwy...

Mówiąc to, przycisnął do ust swych rękę Delicyi, ale ona wysliznęła ją żywo z jego dłoni.

— Chodźmy do mamy! — rzekła, i śpiesznie weszła do salonu.

Pani Zuzanna widocznym z niepokojem oczekiwała

powrotu gościa i córki. Widząc ich wchodzących, błyskawicą, przenikliwem spójrzeniem orzuciła obie ich twarze.

— Nie wiem prawdziwie — zaczęła — jak mam przeprosić pana, kochany panie Cezary, za to przykre wzruszenie, którego pan w domu naszym doświadczył. Delicya chciała koniecznie...

— Jestem bardzo, bardzo wdzięczny, pannie Delicyi — szepnął młody hrabia, siadając na fotelu obok gospodyni domu.

Widoczném było, że chciał powiedzieć coś więcej jeszcze, ale zmieszał się ogromnie, przeląkł się prawie swęj własnej myśli. Spuścił wzrok na ręce swe, które nabawiały go większym i widoczniejszym jeszcze niż zwykle, kłopotem, i zaczął oglądać je bardzo uważnie. Ale ręce mu drżały, a wzrok mglił się dając wrażenie, jakby przed oczyma jego stały przed nim dwa ogromne, ciemne łóża. Nagle, w sposób najdziwniejszy, w tym razie, tych obecnych niespodziany i najgwałtowniejszy, pomiędzy wrabny, osunął się przed panią Zuzanną, i wyciągnął rękę jęj do ust swych przyciskając, i wodził nią po ustach jęj.

Do Pani Zuzanny Cezary powiedział przed chwilą... czy to pierwszą rzeczą, którą powiedział, podniosła się na pół. Twarz jęj wyrażała z chwili nadzwyczajne zakłopotanie. Nie mogła się spodziewać się nie mogła, jak podobnie jak Paweł, a nic nie wiedziała, w jakim mianowicie celu.

— Oj, spodziewać się nie mogła, jak podobnie jak Paweł, a nic nie wiedziała, w jakim mianowicie celu.

guście udzieloném być miało to błogosławieństwo, o które prosił ją młody hrabia.

Dwaj bracia Delicyi, stojąc na stronie, walczyli widocznie pomiędzy niepokojem i zakłopotaniem także, a serdeczną ochotą głośnego zaśmiania się. Ale pani *Zulietta* posiadała dużo wrodzonego dowcipu. W oczach jęj błysnął pomysł genialny.

— Delicyo! — zawołała z cicha.

Na dźwięk imienia tego, Cezary, w klęczącej ciągle postawie zostający, drgnął i wzrok nieśmiały zwrócił ku przywoływanej dziewczycy.

Dziewica zrozumiała niezmiernie ważno dla niej znaczenie téj sceny. Zbliżyła się i na-pół swawolnie niby, na-pół ze wzruszeniem, przyklękła przed matką, tuż obok hrabiego. Wtedy pani *Zulietta* stanęła w postawie poważnej a roztkliwionej matrony. Złożyła dłonie na dwóch młodych głowach schylonych, i drżącym głosem wyniosłym z rozrzewnieniem

— Niech was Bóg błogosławi, tu przy ostatnich niły się najgorętsze życzenia moje... niebiańskie... rękę swemu narzeczonemu...

Delicya, rumieniąc się i bledząc ciekawie — pani mała konała rozkaz matki. Cezary też przysiadł... mój Bo pocałunkami, poczem powstając z wstydliwą nia po czole i, metając wzrokiem rozglądając się, rękę Delicyi, która, wymówił z cicha.

— Czy ja śnię!

Stało się to tak szybko, tak jakos dla niego

go niespodziewanie, że nie śmiał wierzyć szczęściu swemu. Ale upewnili go co do rzeczywistości błogosławieństwa dla niego wydarzenia młodzi Kniksowie.

— Genialna, *comme j'aime Dieu*, kobieta z mamci! — szepnął Władysław do Henryka, poczem obadwaj bardzo śpiesznie postąpili ku świeżo zaimprowizowanemu narzeczonemu, i z serdecznymi wyrazami na ustach, wyciągnęli do niego szeroko roztwarte swe dłonie.

Oddając braciom narzeczonej swęj uściski za uściski, po tysiąc razy całując ręce pani *Zulietty*, i przełotne, acz ogniste, spójrzenia rzucając na narzeczoną, która pobladła nagle i spoważniała dziwnie, Cezary wyglądał tak rozpromienionym radością, ufny, kochającym tu wszystkich, a nawet śmiałym i pewnym siebie, że, jak to mówią, nie poznała-by go w téj chwili rodzona matka, co zresztą tém prawdziwszem było w tym razie, że matka młodego hrabiego, najmniej z pomiędzy wszystkich na świecie ludzi znając swego syna, najtrudniej téż, w chwili téj szczęścia i wezbrania uczuć jego, poznać-by go mogła!

Do Pompalina Cezary wrócił późno po północy, a pierwszą rzeczą, która uderzyła w oczy nieśpiącego jeszcze Pawelka, był zdobiący rękę jego piękny pierścień z szafirem.

— O! — z wyrazem istotnego przestachu zawołał Pawełek — zaręczynowy pierścień! a więc oświadczyłeś się już, Cezary!

Nie mógł mówić dłużej, bo młody hrabia dusił go formalnie w uścisku.

— Jaki ja jestem szczęśliwy, Pawełku! jaki ja jestem szczęśliwy! — szeptał — jaka ona śliczna! jaka dobra! jacy oni tam wszyscy dobrzy! jak ja ich kocham! A ojciec jój, Pawełku! Wiész, ten, o którym mówią, że jest waryatem! widziałem go dziś! co to było za wielkie, wielkie serce u tego człowieka! Wiész? zdaje mi się, że widzę go ciągle przed sobą, i słyszę to jego głębokie, takie ciężkie, takie okropne westchnienie!

Pawełek wysłuchiwał wszystkich tych beładnych, z namiętą radością wypowiedzianych zwierzeń swego krewnego, potem rzekł:

— Wszystko to dobrze, mój Cezary. Winszuję ci i składam jak najlepsze, jak najserdeczniejsze życzenia! Ale, niech cię już Aniołowie sami skrzydłami swemi osłonią, gdy z nowiną tą staniesz przed oblicznością pani hrabiny, twojej mamy...

Na te słowa, Cezary zeszytniał nagle. Usiadł na krześle ze spuszczonei oczyma i milczał długo. Po kilku dopiero minutach, podniósł na Pawełka oczy dziwnie zmienione, nie promieniejące już radością, mętne znowu, jak przedtém bywały najczęściej, i rzekł z westchnieniem:

— Ja nie wiem, Pawełku, co to będzie? ja nigdy nie ośmielę się powiedzieć tego mamie i stryjom... szczególnie mamie...

— A hrabiemu Mściśławowi? — dorzucił Pawełek.

Cezary zwolna skinął ręką.

— O Mściśława mnie dbam... — rzekł — chociaż...

— Chociaż i z nim trudno... — podchwycił Pawełek.

— Trudno; będzie latał po pokoju, jak szalony, i wyśmiewał się ze mnie — z cicha dokończył młody hrabia.

Po długiej naradzie, Cezary napisał znany nam już list do swjej matki, z którym nazajutrz zaraz Pawełek pojechać miał do Warszawy.

Nieobecność Pawełka trwała kilka dni zaledwie, które Cezary całkiem prawie spędził w Białowzgórzach, a gdy nakoniec, uwiadomiony telegramem o powrocie krewnego swego, pośpieszył na stacyą kolei i rzucił się w objęcia przybywającego Pawełka, nie znać już było na nim najmniejszej troski ni niepokoju. Można-by rzec, iż przez kilka dni upłynionych, skąpał się cały w cudownej wodzie Letejskiej, i zapominał w zupełności tak o hrabinie swjej matce, jak i o innych członkach dostojnej swjej, a tak mu imponującej, rodziny.

I wtedy dopiero, gdy obaj przybyli już do Pompalina, i gdy Pawełek wręczył mu list, od pani hrabiny przywieziony, zasępiło się rozpromienione czoło jego i, nie otwierając listu, zapytał:

— Cóż tam, Pawełku? bardzo gniewają się na mnie?

— Ogromnie — odparł Pawełek. — Pani hrabina, wymawiając nazwisko twój narzeczonej, zakrztyła się i dostała spazmów... hrabia Światosław rozgniewany jest najbardziej, jak się zdaje, wtrąceniem się w tę sprawę generałowej; hrabia Mścisław nie może pogodzić się z przydomkiem Kniksów; a cała kompania grobowo umilkła, gdy ją uwiadomił, z kogo rodzi się pani Kniksowa. Przyznaj bo też, mój drogi, że Skórkowska, Kniks i Trzaska, tworzą zbieg spółgłosek wielce skomplikowany dla dostojnych gardeł twój rodziny.

Cezary słuchał całego opowiadania tego w skamieniałej, zda się, postawie. Długą chwilę niewypowiedzianie przykre jakiś uczucia zdawały się opanowywać całą istotę jego. Potem jednak podniósł głowę i spójrzył na Pawełka oczyma, które zapaliły się żywym, gniewnym jakby ogniem.

— Niech sobie gniewają się — rzekł wahającym się jednak i niepewnym jakimś głosem — niech sobie będą Skórkowscy... niech sobie będą Kniksowie... niech sobie będą Trzaski... co im do tego? Wszak to nie Mścisław żeni się, ale ja...

Im dłużej mówił, tym więcej ożywał się i zapalał.

— Mścisław to co innego — ciągnął dalej po chwilowym milczeniu — jego wszyscy kochają i admirują,

to niech-że go sobie i żenią dla jakich tam familijnych interesów, czy czego innego... ale mnie nikt nigdy nie lubił! Pocóż teraz tak bardzo dbają o mnie i o moje ożenienie się! Ja zawsze, zawsze myślałem sobie, że jeżeli ożenię się kiedy, to nie będę z pewnością o czém inném myślał, jak tylko o tém, żebym kochał moję żonę i był przez nią kochanym! Teraz... pokochałem, pokochałem z całego z serca... jestem pewny, że ona mnie także kocha, i nie myślę za nic w świecie, dla nikogo w świecie, nawet dla mamy, wyrzekać się mego szczęścia... Ożenię się... ożenię się z pewnością z tą, którą kocham, żeby tam nie wiem co mówili i jakie góry na mnie walili. Niech-że i ja choć raz mam rodzinę i będę czémś inném, niż dzieckiem, które wodzą na pasku, aby nie upadło i nosa sobie nie rozbiło... Niech-że mi przynajmniej żona moja i jej rodzina mówią, nie: „*mon pauvre*”, ale: „*mon cher César*”.

Gdy mówił to, głos mu drżał żalem głębokim, gniewną jakby urazą, co więcej, bolącym jakby gorzkiem jakimś szyderstwem. Przy ostatnich słowach łzy miał w oczach.

— Mama jest świętą kobietą — dokończył znacznie już ciszej — wiem o tém, i robiłem zawsze wszystko, co tylko chciała... ale... teraz... nie ustąpię... za nic nie ustąpię!...

Pawełek patrzył na wyrastającego mu tak

w oczach pupila swego, ze zdziwieniem trochę, a trochę z nietajoném wcale zadowoleniem.

— Dobrze — rzekł — nikt sprawiedliwy nie może odmówić ci słuszności. W każdym razie jednak, trzeba, ażebyś zaraz jechał do Warszawy i rozmówił się osobiście z twą rodziną. Potajemnego ślubu przecież nie weźmiesz, a i pani Kniksowa nie zgodziła-by się z pewnością na ślub taki.

— Ach, mój Pawelku! — siadając i czoło na dłoni wspierając, szepnął Cezary — gdyby to można było nie jechać!...

Pokazało się jednak po naradzie z Pawelkiem, że jechać do Warszawy trzeba było koniecznie, choćby dla téj jednéj przyczyny, że zapas pieniężny, przez familią młodemu hrabiemu wydzielony, miał się ku końcowi, a o samodzielném braniu pieniędzy od rządzców i dzierżawców dóbr własnych młody hrabia ani pomyśleć nie mógł. Nazajutrz tedy; z chmurném czołem i postawą tak zmieszaną i nieśmiałą, jakiej od kilku dni już nie miał, Cezary wchodził do Białowzgórskiego salonu. Na pierwsze jego o wyjeździe do Warszawy napomknienie, pani *Žulietta* zbladła i gniewnie sobie usta przygryzła. Z nadzwyczajną jednak przytomnością umysłu, wnet się ozwała:

— Jakże się to pomyślnie dla nas składa! My z Delcią i Henrykiem wybieraliśmy się też do Warszawy... Nie mogę przecież kupować wyprawy dla mojej córki w tutejszych miasteczkach... będziemy

więc z kochanym panem Cezarym podróżowali razem...

Uszczęśliwiony wiadomością tą, która oszczędzała mu boleści rozstawania się z narzeczoną, Cezary odjechał wkrótce, aby przygotować się do jutrzejszój podróży. Zaledwie zaś wyszedł za próg, pani *Žulietta* porwała się z kanapy i poczęła gorączkowym krokiem przebiegać salon.

— Familia! — wołała — kochana familijka, przywołuje go już do siebie! zawsze lękałam się, aby to nie nastąpiło! Ludzie ci dumni są, jak szatani, i małżeństwo hrabiego z moją córką uważają za mezalians! najlepszy to chłopiec pod słońcem, ale czy można ufać sile jego charakteru? gdzie tam! przed matką i stryjami drży podobno, jak niemowlę! no, ale my tam będziemy także! Delicyo! zawołaj Justysi i Agatki! niech pakują rzeczy do drogi: prędko! prędko! Henryk pojedzie z nami... im więcej nas będzie, tém lepiej! Władysławie! biore tymczasem wszystkie pieniądze, jakie są w domu! Za tydzień najdalej przyslesz nam więcej!

Dom cały napełnił się krzątanią nadzwyczajną.

Delicya, z zarumienioną twarzą i oczyma błyszczącemi od radości, sama wyciągała na środek pokójów kufry i tłomoki, rzucała w nie, co tylko podpadło pod jej rękę, wołając nieustannie:

— Do Warszawy! do Warszawy!

Raz, przebiegając od jednego kufra do drugiego,

pochwyciła w pół krzątającą się też gorączkowo matkę i szepnęła jej na ucho:

— Doprawdy, mamciu! gotowa-bym tego biednego Cezarego kochać, choć-by już za to, że przez niego do Warszawy jadę! Ale... — dodała — ja go i tak lubię... doprawdy, mamciu, lubię go coraz więcej...

Gdy rzeczy już były ułożone, Delicya ochłonęła nieco ze zbytku wzruszenia i zamyśliła się czegoś na chwilę, smutnie trochę.

— Mamciu — zwróciła się znowu do matki — wszystko to dobrze, ale jakże zostawimy tu biednego ojca...

— Dziecko jesteś — opryskliwie nieco odparła pani *Żulietta*. — Alboż ojcu twemu będzie tu na czém zbywać? Stary Jakób siedzi ciągle przy nim, a i Władysław zostaje przecież w domu...

Uspokojona temi słowami matki, Delicya weszła do salonu, w którym na stole dogorywającym światłem paliła się wielka lampa. Delicya wzięła jeden z leżących przy lampie albumów i wyjęła z niego fotografią pięknego bardzo blondyna, hrabiego Wilhelma Pompałińskiego.

— Nie zostawię cię tu — szeptała, wysuwając ostrożnie kartkę z przytrzymującą ją oprawy — nie zostawię cię tu za nic! nie rozstanę się z tobą nigdy, nigdy, mój ty śliczny portreciku!

Pod bladem światłem lampy przypatrywała się długo delikatnym i, prawidłowym, wyrazem swobodnej

wesołości rozświeconym, rysom nieznanego sobie mężczyzny. Przy tej kontemplacji, oczy jej połyskiwały bardzo jasno, a śliczne usta układały się w wyraz rozmarzenia.

— Mama mówi — szepnęła — że ja go zobaczę i poznam wtedy chyba, gdy będę już hrabiną Cezarową... Kto wie? może on teraz jest w Warszawie?...

Zamyśliła się i podniosła twarz, po której igrały w pół-filuterne jakiś, w pół-marzące uśmieški.

— Kto wie? — powtórzyła, chowając fotografią do kieszonki szlafrocza, i rozweselona tajemną myślą jakąś, walcowym krokiem wykręciła się kilka razy po salonie, powtarzając wciąż:

— Kto wie?... kto wie?... kto wie?...

ROZDZIAŁ III.

Jakkolwiek hr. Światosław Pompaliński nie wyglądał bynajmniej na gorącego zwolennika gwarnych i tłumnych zebrań, ani też na człowieka z sercem, spragnioném sere i towarzystwa swych bliźnich, w obszernym, wspaniale urządzonym gabinecie jego poranki nie upływały cicho i samotnie. Owszem, w przedpołudniowych godzinach bywało tam zazwyczaj pełno ludzi, nie z prostemi przecież wizytami grzeczności, ale z najrozmaitszemi interesami przybywających. Jacy to byli ludzie? Różni bardzo, lecz zawsze wyższą obdarzeni naturą i za wyższemi celami goniący, jako to: fundatorowie, protektorowie i członkowie najrozlicniejszych w mieście istniejących towarzystw i instytucji filantropijnych; nowo zjawiający się na horyzoncie stołecznym, zatém niewypróbowani jeszcze artyści muzyczni; poeci bez wieńców

chwały na skroniach, lecz z niezmiernie kunsztownie a malowniczo wyrysowanemi wieńcami na okładkach utworów swych, „własnym kosztem“ wydawanych; malarze, którzy, w mozolnym pochodzie swym ku szczytom powodzenia, dostatecznie przez talent i fortunę niewsparci, dzielniejszego szukali wsparcia u wpływowych a możnych lubowników sztuki; wydawcy dzieł kosztownych, drogą prenumeraty w świat wychodzących, a prenumeratorów wysoko w świecie położonych żądni, i t. d.

Że hrabia Światosław był przez całe upłynione swe życie wielkim lubownikiem i znawcą sztuk pięknych, nikt sprawiedliwy zaprzeczyć-by temu nie mógł. Wykwintna natura jego, jako też może i niezaspokojone w zupełności warunkami istnienia, potrzeby umysłu i serca, (krążyły bowiem po świecie wieści, jakoby stary hrabia miał istotnie serce), znajdowały rozkosz i ulgę w melodyjnych tonach muzyki, w tragicznych lub lirycznych obrazach, nasuwanych mu przed oczy przez malarstwo i poezję. Nic też dziwnego, że, z nałogu choćby, lub przez ostatki dogorywających w piersi dawnych uczuć, zajmował się on i teraz losem tak kapłanów sztuki, jak dzieł, które oni światłemu sądowi jego i możnej protekcyi poddawali. Dla czego przecież pozwalał obiegać się licznym bardzo i niemniej wymagającym przedstawicielom filantropii miejscowej, i nie tylko wysłuchiwał szeroko wykładanych mu planów ich, ale do urzeczywistnienia planów tych hojnie

pieniężmi i stosunkami swemi dopomagał? trudniej to zrozumieć. Czy widział w tém dobry sposób wynoszenia się na coraz wyższe i rozgłośniejsze stanowisko rodowego imienia swego, a przez to logicznego już prowadzenia wciąż dalej dzieła, któremu poświęcił znaczną część swego żywota? czy może wybór tego właśnie środka, téj właśnie imię podnoszącej dźwigni, odpowiadał skrytym i tlejącym téż pod popiołami poszeptom sumienia jego i popędowi serca? Wszystko to być mogło i było najpewniej; w każdym przecie razie najmniejsza nie zachodziła wątpliwość, iż tłumne owe poranne wizyty, staczane rozmowy, próby wysłuchiwane, rachunki sprawdzane i pieniądze wyliczane na dłonie liczne, które się po nie wyciągały, nie tylko nie ożywiały hrabiego zbawiennie i przyjemnie, ale nużyły go, wyczerpywały i wtrącały na długie potem chwile w stan zdwojonej apatii i bezsilności. Ujemny wpływ ten, przez filantropijne i artystyczne konferencye i starania na hrabiego wywierany, wybijał mu się na twarz większą ilością zmarszczek, przezroczystsą i zimniejszą niż kiedy powierzchnią bladych żreń, wyraźniejszym opuszczeniem się w dół warg uwiedłych, zdradzającym, pomimowoli zapewne hrabiego, zniechęcenie głębokie i głęboko również tajone, lecz utaić się niedające, smętne ze wszech rzeczy ziemskich szyderstwo. I teraz także, siedząc przed wielkiem biurzem swém, stary hrabia martwą żreńcą przypatrywać się zdawał rozrzuconym na niem

przedmiotom: szczegółowo rysowanym planom zamierzonych jakichś dobroczynnych gmachów; ciekawym książeczkom, otwartym na pierwszych stronicach, wśród których, na czele szumnej dedykacji, wielkimi literami wydrukowane jaśniało jego imię; sążnistym rachunkom, przedstawionym mu przez członka jakiegoś stowarzyszenia, mającego na celu uszczęśliwienie ludzkiego rodu; jakięś głowie nakoniec, pastelami wymalowanej, a pozostawionej mu w kształcie hołdu zapewne, a bardziej może w guście owych węzłków, dla odświeżania pamięci na chustkach zawiązywanych, przez ostatniego z gości, chudego i bladego młodzieńca, który w téj chwili właśnie, z teką wypchaną rysunkami pod ramieniem, po cichych a niskich ukłonach, wysunął się za drzwi. Zdawać się mogło na pozór, że stary hrabia przypatrywał się tym śladom i pamiątkom chwalebnie a pracowicie przeżywanego ranka. Był to przecież tylko pozór, który zniknął po bliższem przyjrzeniu się wyrazowi jego twarzy. W oczach jego nie świeciło żadne uczucie; żadna myśl wyraźna nie malowała się na czole; białe, chude ręce bezwładnie spoczywały na poręczach fotelu. Po chwili, dzwonkiem, na biurze stojącym, przywołał kamerdynera swego, który, wiedząc już snadź o co chodziło, przybliżył się i podał mu swe ramię. Stary hrabia, wsparty na najemnym tém ramieniu, z ciężkością przebył całą długość pokoju i zajął zwykle miejsce swe przy malachitowym kominku. Wkrót-

ce nogi jego owinięte były, jak zazwyczaj, grubemi zwojami flaneli, do lamparciój skóry podobnej, aspracowany i pracą znużony pan, z lekkim westchnieniem ulgi, rozciągnawszy się na długim, niskim fotelu, przymknął nieco powieki, jak zdawać by się mogło komuś, co nań patrzył, dla tego głównie, aby na chwilę przynajmniej przestać patrzeć na świat i wszystko, co na nim żyło i było.

Nie długo przecież trwała chwila ta spokoju i ukojenia. Kamerdyner zaanonsował jw. hrabiego Augusta Pompalińskiego. Hr. Światosław wyrzekł zwykłym swym zimnym głosem: prosić! i tylko po pewnym, lekkim bardzo, nerwowém drgnięciu otwierających się jego powiek, poznać można było, iż nadchodząca wizyta nie sprawiała mu najłżejszój przyjemności.

Dnia tego hr. August inaczej wcale wyglądał, niż wtedy, gdy, za mojem łaskawem pośrednictwem, czytelnik miał zaszczyt poznać go po raz pierwszy. A naprzód nie miał on na sobie archeologicznego munduru, co jedno już stanowić mogło nieomyślną oznakę, iż nie chodziło tym razem o żadną radosną i tryumfalną uroczystość rodzinną. Co więcej, ubiór hrabiego, z bardzo wykwintnych zresztą materiałów sporządzony, taki miał zupełnie pozór, jak gdyby go hrabia przywdziewał pośpiesznie, niedbale, z roztargnieniem, z myślą zwróconą ku jakiemuś dalekiemu a ciemnemu punktowi. Ciemny ten punkt jakiś,

który widocznie pojawił się był na wiecznie dotąd pogodnym horyzoncie życia hr. Augusta, odzwierciedlił się też i w oczach jego, czyniąc je mniej wesołemi, bardziej jakby nieśmiało, niż zwykle. Gdy przebywał pokój, aby zbliżyć się ku siedzącemu u kominika bratu, chód jego nie odznaczał się tą pewnością siebie, tą kawalerską prawdziwie swobodą, i rzecz nawet można, zamaszystością, która, wśród otaczającej go ludności wielkiego świata, nadawała mu piętno pewnej, dość wybitnej oryginalności. Owszem, dnia tego kroki hr. Augusta ciche jakoś były, nierówne, przytém gęste faworyty jego, zamiast, jak zwykle bywało, symetrycznie a wspaniale rozkładać się w kształt wachlarzy, zwisły po obu stronach pulchnych policzków, niby niedbale przez ogrodnika opatrzone gałęzie płaczącej brzozy, a wśród gęstej, czarnej jak węgiel czupryny, ukazywały się tu i owdzie, niewidzialne dotąd a wielce kompromitujące, srebrnawe pasemka, smutne świadectwa roztargnienia, z jakim dniami tego hrabia spełniać musiał czynność zabarwiania tej części swego organizmu.

Tak, hr. August był widocznie zmartwionym i stroskanym, srodze stroskanym. Zdawać się też mogło, że z niezwykłym tym moralnym nastrojem jego łączyło się dziś także w mocnej dozie zmieszanie. Ostatnie to uczucie silniej nawet niż smutek i troska wybijało się na powierzchowność tego, boleśnie snadź przez los dotkniętego, człowie... pana.

Mylił-by się przecież, kto-by sądził, że hr. August wnet po powitaniu serce swe przed bratem otworzy i braterskim oczom ukaże nurtującą je troskę. Nie. Hartowne dusze zwierają się niełatwo. Być może także, iż tym razem zwierzenia były drażliwé nieco natury i z trudnością tylko przebijają się mogły z myśli na usta.

— *Bonjour, comte.*

— *Bonjour, Auguste.*

Młodszy hrabia siadł na pobliskim fotelu, wkrótce jednak powstał i, wsparty o gzyms kominka, z wielką uwagą przypatrywać się zdawał żarzącym się z lekka węglom.

— *Eh bien,* — zaczął nakoniec, podnosząc głowę, — *comment vous portez vous, comte?* jakże się dziś czujesz, hrabio?

— *Comme toujours!* — jak zwykle! — brzmiała jednostajnie zawsze odpowiedź hr. Światosława.

— Bo co do mnie... co do mnie... jestem dziś coś niezdrów.

Z temi słowami hr. August usiadł znowu na fotelu. Nie upłynęło jednak kilkanaście sekund, gdy powstał znowu i stanął przy kominku w uprzedniej postawie. Widocznie było mu dziś trudno usiedzieć lub ustać długo na miejscu.

— Cieszę się, — zaczął po chwili, — cieszę się bardzo... lękałem się trochę o zdrowie twoje, drogi bracie!

Było to już właściwością wszystkich prawie członków rodu Pompalińskich, że, w chwilach zmartwienia lub wzburzenia, zapominali o wzajemném tytułowaniu się po francuzku.

— Dlaczego lękałeś się o zdrowie moje, Auguste? — zagadnął gospodarz domu, dlatego tylko, jak się zdawało, że gospodarzowi domu trzeba przecież zawsze cósłkolwiek mówić do gościa, chociaż-by gościem tym był brat rodzony.

— No, tak... myślałem przecież... Cezary przyjechał dziś w nocy... mówił mi o tém Bartolomé. Myślałem, że rozmawiałeś z nim o tym nieszczęśliwym mariażu projektowanym, i że mogła zajść jakaś.... *chose*... jakaś scena.

Hr. Światosław wzruszył lekko ramionami.

— Wiész dobrze, *Auguste*, że ja scen żadnych nie znoszę i nigdy z nikim ich nie miewam. Jakakolwiek zresztą scena z Cezarym wydaje mi się zupełnem niepodobieństwem.

— Tak... zapewne! Ten nasz kochany biedny Cezary mówi zwykle tak mało i jest tak lęklwym, tak łagodnym... *tellement craintif... docile... mais, en fin...* jakżeście z sobą mówili... jakże się znalazł?

— Nie znalazł się zupełnie, — zwolna i niedbale wymówił hr. Światosław, — bom go wcale nie wzywał do siebie, i nawet, jeżeli zechce przyjść do mnie, nie przyjmę go przez dni kilka...

— *Comment?* — ze zdumieniem zapytał młodszy hrabia, — wszakże, *comte*, przyrzekłeś nam solennie...

— Co przyrzekłem, tego dotrzymam. Ale nie lubię utrudzać się daremnie. Tym razem zaś jestem pewny, że pani hrabina, z pomocą labégo i Mściśława, powstrzyma dostatecznie romantyczne zapędy Cezarego; a gdyby się to im nie udało, co zresztą jest prawie niepodobnem, *eh bien!* wtedy już ja będę w rezerwie...

— Dyplomatycznie! bardzo dyplomatycznie! — sprobował uśmiechnąć się hr. August, ale uśmiech zmarł szybko na strapieniem licu archeologa, który, myśląc widocznie wcale o czém inném, dodał machinalnie prawie:

— Gdyby jednak pani hrabinie nie udało się powstrzymać romantycznych zapędów tego biednego Cezarego...

— Jest to rzeczą prawie niemożliwą, — przerwał hr. Światosław. — Cezary ubóztwia swą matkę...

— *Et entre nous*, lęka się jęj straszliwie, — spróbował znowu uśmiechnąć się młodszy hrabia. — Bo téż — mówił dalej, — pani hrabina, pomimo charakteru swego słodkiego, bardzo słodkiego... *malgré son extrême douceur*... umie być czasem energiczną...

Wyrzekł to, i na twarzy brata badał wrażenie, jakie słowa jego wyrzucić na nim mogły. Ale na twarzy hr. Światosława nie znać było żadnego wrażenia.

— Przyznać téż trzeba, — ciągnął hr. August,

gładząc z wolna boleśnie zaniedbane dnia tego faworyty swe, — przyznać téż trzeba, że hrabina Wiktorja nie jest zupełnie szczęśliwą matką.

Pourquoi? — zapytał hr. Światosław, podnosząc na brata oczy.

Braterskie to spojrzenie mieszało znowu hr. Augusta, który, pod wpływem drogich dla niego wspomnień o hrabinie, zaczynał już być odzyskiwać trochę swój zwykłyj pewności siebie.

— *Eh bien!* — rzekł po chwilowym namysle, — wszyscy to przecież widzą: Mściśław ma wprawdzie wiele zalet, mnóstwo zalet, ale... *c'est un morceau de glace*... to szyba lodu... przytém tak młody jeszcze, a już chorowity... znudzony życiem... Cezary znowu... *mais... entre nous, il est complètement bête, ce pauvre César!*

Przeszywający, szyderski, acz błyskawicznie szybki promyk przerznął zimną powierzchnią żrenie hr. Światosława.

— Jeżeli o to idzie, — wyrzekł z bladym uśmiechem, — *je trouve*, znajduje... że Cezary nie jest wcale głupszym od wielu innych młodych ludzi... być może nawet, iż w gruncie rzeczy... *au fond*... jest on od wielu rozsądniejszy.

— *Vous dites?* co mówisz, hrabio? — z wyrazem głębokiego zdumienia na twarzy i, pochylając się nieco ku bratu, wymówił hr. August. Piérwszy to raz w życiu słyszał on kogoś przypuszczającego, że młód-

szy syn hr. Wiktoryi mógł być w gruncie... *au fond*.. rozsądnym. Nie chciał wierzyć uszom własnym.

— *Vous dites?* — powtórzył.

Ale, zamiast bezpośredniej odpowiedzi, otrzymał od brata wzajemne pytanie.

— *Quelles nouvelles*... jakież wiadomości mamy dziś od hrabiego Wilhelma?

Hr. Wilhelm—to właśnie, czy téż wiadomości od niego otrzymane, stanowić dziś musiały zmieszana i stroskaną stronę istoty hr. Augusta, bo usłyszane zapytanie głębokim rumieńcem zabarwiło, i tak już dość rumianą, twarz jego.

— *Oui, oui!* — wyjąknął, — *il y a du nouveau*... są wiadomości...

Hr. Światosław nie zdawał się spostrzegać boleśnego zakłopotania brata, jakkolwiek nieruchome i nic niemówiące źrenice, bez zmrózenia powiek, tkwiły w jego twarzy...

— *Il faut, que je Vous avoue*... muszę ci się przyznać, drogi hrabio, że jestem nawet cokolwiek zmartwiony.

— Uważam to, — wtrącił chłodno brat starszy. — *Le jeune comte*... młody hrabia nie myśli zapewne o nawróceniu się na drogę umiarkowania...

— Bah! — wybuchnął nakoniec hr. August, — Wilhelm i umiarkowanie, to dwa przeciwległe bieguny ziemskie... Wyborne porównanie, — dodał, gładząc swe faworyty, — uczynił je niedawno w angielskim klubie książę Amadeusz, mówiąc o mnie: smutek

i nasz nieoceniony hr. August, to dwa przeciwległe bieguny ziemskie... Tak; przez całe życie zachowałem swobodę humoru i chlubię się tém... *je m'en vante*... nie idzie za tém, abym nie zachowywał umiarkowania w rzeczach... w rzeczach... *choses*... ważnych, majątkowych...

— *C'est vrai*; byleś, hrabio, zawsze dość ogłędny, nie do tego stopnia, aby powiększać fortunę swą, ale do tego przynajmniej, aby jej nie trwonić...

— *Oui, mon frère*. Nie strwoniłem fortuny... wiesz o tém dobrze... nie zbierałem kapitałów, ale dóbr moich nie odłużyłem...

— Do czasu — zaczął hr. Światosław.

— *Eh bien!* do czasu, w którym Wilhelm pozwolił sobie przed dwoma laty zadłużyć się w Bruxelli i Paryżu na owe 100,000 franków, o których wiesz, *comte*.

— Wiem, pamiętam... zahypotekowałem sumę tę na Aleksyńskich fabrykach...

— Za co będę ci wiekuiście wdzięcznym, drogi bracie. Umarł-bym chyba ze wstydu, gdyby mi przyszło żądać pożyczki gdzieindziej niż u ciebie...

— *Eh bien! eh bien!* — wyrzekł starszy hrabia, czyniąc ręką gest oznaczający, iż radby już był przerwać rozmowę.

— Ale teraz, — zaczął hr. August ze spuszczo-nemi oczyma — *mais maintenant*... Wilhelm mi pisze, że... *choses*... potrzebuje znowu...

— Ile? — krótko zapytał hr. Światosław?

— *Une somme énorme...* summa ogromna... jak na moje przynajmniej fundusze... Wiesz sam, kochany hrabio, jak ciężkie przeżyliśmy czasy i jaką klęską stało się dla finansów moich zamknięcie jednej z fabryk Aleksiejskich...

— Zamknięcie to, które nastąpiło w skutek nieprzysłania z za granicy przez hr. Wilhelma nowych machin.

— *Oui.* Wilhelm martwi mię... prawdziwie martwi... jakkolwiek, przyznaj sam, hrabio, że gdyby nie ta nieszczęśliwa passya do tracenia pieniędzy, byłby z niego *un jeune homme accompli*.

— Masz słabość wyraźną do jedynaka swojego, Augustcie.

Hr. August podniósł na brata oczy, z których zmieszanie i stroskanie ustąpiło na chwilę przed ciepłym, żywym światłem.

— *C'est mon unique enfant...* jest to moje jedyne dziecko—odparł z cicha—i... i taki podobny do swojej matki!—Nieprawdaz, hrabio, że Wilhelm jest żywym portretem mojej biednej, nieodżałowanej Berty...

— Dla której, gdy żyła, nie pałałeś zbyt widocznie gorącemi affektami, a której, po śmierci jej dopióro, namyśliłeś się żałować gorzko i wytrwale, — zwolna i chłodno wymówił brat starszy.

— Bóg widzi, jak gorąco i wytrwale żałuję tej pięknej, dobrej, a tak wcześnie zgasłej kobiety, — bar-

dzo już cicho szepnął hr. August, a na pochyłonej twarzy jego malował się szczery, istotny smutek.

— *Mais Vous êtes lugubre aujourd'hui...* jesteś dziś ponurym, hrabio, — uśmiechnął się blade hr. Światosław. — Któż z nas w swém życiu nie żałował czegośkolwiek? mnie i tobie jednak, *Auguste*, pora już wielką zaprzestać żalów wszelkich, i cenić wszystko, co się w życiu przytrafia, według istotnej wartości życia... to jest, niżej zera...

— *Vous avez complètement raison, cher frère*, bywają jednak wypadki... *chose...* okoliczności... które zatrzymują nam swobodę humoru.

— Do wypadków takich zaliczyć należy listy, pisane przez młodego hrabiego.

— Przez Wilhelma, — dokończył hr. August. — *Eh bien, oui, cher comte.* List ostatni zasmucił mię... bardzo mię zasmucił...

— I cóż nam opiewa list ten? — zapytał brat starszy.

Hr. August sięgnął do kieszeni tużurka i wydobył z niej złożoną w kształt listu ćwiartkę welinowego papieru.

— Czy zechcesz, *comte*, być pobłażliwym dla mego... dla mego... *pour mon pauvre enfant?*

W głosie jego dźwięczała, a w oczach malowała się prośba.

Podawał bratu list, od syna otrzymany, z wyraźną

nieśmiałością. Ale hr. Światosław nie wyciągnął ręki po pismo synowca.

— *Pardonnez-moi*, — rzekł, — czytanie utrudza mnie... Bądź tak dobry, Auguste i list ten przeczytaj głośno.

Twarz hr. Augusta oblała się znowu gorącym rumieńcem. Niespokojnie poruszył się na fotelu, na którym przed chwilą był znowu usiadł, i powoli, bardzo powoli, rozwijał list synowski, którego głośne odczytywanie stanowiło dla niego widać nieprzyjemną, bardzo, przerażającą niemal, perspektywę.

Hr. Światosław nie spuszczał zimnych i nic wcale niemówiących oczu swych ze zmieszanej i głęboko stroskanej twarzy brata. Po ustach jego bladych i wąskich, igrał zaledwie dostrzegalny uśmiezek.

— Słucham cię, Auguste — wyrzekł po chwili.

Odezwaniam się tęp przyciśnięty do muru, hr. August, jakając się, i zniżonym głosem, czytać zaczął, co następuje:

„*Cher papa!* Ani wyobrażenia mieć nie możesz o tęp, jak cudowném miastem jest Florencya. Nigdy tu jeszcze nie byłem, a dlaczego teraz jestem, zamiast być w Londynie?... Mógłbym zapewne, jak mówią żaki w szkołach, dusić wilka i... zachorować na piersi, znaleźć się naprzykład w pierwszym stopniu suchot, gwałtownie południowego klimatu wymagającym, a wstręt śmiertelny uczuwającym do mglistego nieba angielskiego, pod którem wyrabiają się ma-

chiny z najdoskonalszemi pod słońcem kółkami i śrubkami, i przechadzają kobiety z największemi na kuli ziemskiej nogami i najbrzydszemi lokami. Mów sobie, co chcesz, *cher papa*, ale ja w angielskich pięknościach dopatrzeć nie mogłem nigdy żadnej piękności. Kibicie ich w zadziwiający sposób przypominają mi flety, barwa włosów popielcowego śledzia, a loki nastreczają mi niezbędnie myśl o pijawkach. Nikt zaś z pewnością nie wie lepiej od ciebie, *cher papa*, czego wartą jest sztuka mięsa bez ostrego sosu, poncz bez dobrego rumu, koń bez silnych nóg, sztos bez śmiałego partnera, i kraj — bez pięknych kobiet. Ale wracam do niespodzianej méj bytności we Florencyi. Nie mam cienia innych suchot, prócz chwilowych, jak ufam, suchot kieszeni. Prostu, jadąc do Londynu i po drodze zatrzymawszy się w Hamburgu, spotkałem przy *trente et quarante* Jasia Rondondońskiego, poznaliśmy się bliżej, polubiłem go, a że jechał do Włoch i ja się z nim zabrałem. Dlaczegoż-by nie, zresztą? podróż wabiła, a towarzystwo miłego chłopca było jedną jój więcej przyjemnością. Widzę, *cher papa*, jak, czytając o nowym towarzyszu moim, mówisz z niezadowoleniem: Rondondoński, *mais c'est de la roture! c'est un homme de rien!* Być może... ale taka już moja natura, że jest mi to zupełnie, najzupełniej obojętném, czy kto pochodzi od Adama lub Bartka, czy w herbie ma orla lub dudka. Byle-by był miłym i wesołym towarzyszem, niczego

więcej od niego nie wymagam i z pewnością nie zapytam go nigdy, czy miał prapradziada i kto jego matkę urodził. Bo koniec końcem, *pardonnez moi, cher papa*, ale, rozsądkiem moim rzecz tę rozważając, przyszedłem do przekonania, że każdy a każdy człowiek na świecie musiał mieć pradziada, i każdego matkę ktośkolwiek rodzić musiał. *N'est ce pas?* Wiedzę już, że masz wielką ochotę mię łąć, ale nie bardzo się tém martwię, bo wiem doskonale, że ochota ta długo nie potrwa. *Un tout petit baiser, cher papa, et revenons à nos moutons.*

„Szalenie tu wesoło. Powiadają, że odkąd dwór tu przebywa, miasto zyskało dużo na przepychu i wesołości. Jaki ruch na ulicach, co za głosy w teatrach! Na każdym kroku świecą ci w oczy i śpiewają w uszy kawiarnie i rajske ogródki! A kobiety!... Nie, *cher papa*, kto włoszek nie znał, nie znał kobiet. Oczywiście, jak czarne gwiazdy, włosy, jak królewskie korony, uśmiechy, jak kielichy pieniącego się szampana, nóżie na ćwierć łokcia długości... najwyżej! Jestem też ciągle za domem, a raczej za hotelem, i znajduję, że życie doprawdy jest piękną, nadzwyczajnie piękną rzeczą, szczególnie gdy kto, jak ja, ma młodość, zdrowie, dobry humor i najlepszego, najpobłażliwszego pod słońcem papę!”

„A! zapomniałem o jednej jeszcze rzeczy zupełnie niezbędnej! Trzeba mieć także pieniądze, ogromnie duże pieniądze? Ja zaś, przyjeżdżając do Flo-

rencyi, miałem ich bardzo mało, coś około dwóch tysięcy talarów, które wyratowałem był w Homburgu z toni czarnego i czerwonego morza. Osądź sam, *cher papa*, czy może ktokolwiek z fraszką taką exystować długo? Ja przynajmniej nie mogłem, i kilka dni nie upłynęło, gdym był już *complètement à sec*. Cóżbyś zrobił, *cher papa*, na mojem miejscu? naturalnie pożyczal-bys? I ja tak zrobiłem. Jaś Rondondoński miał tu na szczęście stosunki dawne i podzielił się niemi ze mną. Nowożytny jakiś Schylok udzielił mi ze swęj kassy coś jakby, na naszą monetę rachując, około stu tysięcy złotych. Musiałem mu przecież wydać cyrograf na sumę dwa razy prawie większą. Cóż czynić? znajdowałem się w ostateczności i byłbym mu nawet funt mięsa z pod serca mojego, jako procent, przyobiecał, byleby tylko—módz żyć. Módz żyć! zrozumieś, *cher papa*, cały urok tego wyrazu! *Va, toi aussi, avec ta soixantaine bien sonnée*, gdybyś tu był, jak ja, i jak ja widział wszystko, co tu jest, *tu serais bien capable de mainte fredaine! Et ça coûte! ça coûte! oh! ça coûte!*

„Tak więc jestem tu *corps et âme* niewolnikiem nowożytnego Shyloka. *Sois si bon, cher papa*, i wyzwól mnie z ziemi Egiptu i z domu niewoli. Jakkolwiek bowiem ziemia to rajska i niewola błoga, trzeba będzie przecież wracać do domu, tém bardziej, że i Jaś wyjeżdża wkrótce, a ja tu bez niego będę, jak wróbel na dachu. Jeżeli zechcesz, *cher papa*, do wy-

mienionój powyżej summy dodać jeszcze jakie sześć albo ośm tysięcy rubli, uczynisz mi tém wielką przyjemność. Pomiedzy Florencyą i Warszawą jest Wiedeń... a czém jest Wiedeń i czy można ominąć go bez serdecznego pocałunku, sam już wiesz o tém, *cher papa*, bo i ty byłeś kiedyś w Arkadyi!

„Wiem, wiem, wiem! słyszę wszystko, co mi mówisz! tak! tak! zgadzam się! potwierdzam! *tu as raison!* *tu as mille fois raison!* Ale Florencya tak piękna, a jam tak... wesoły, a tyś, *cher papa*, tak dobry! Mam szczerze postanowienie zostania świętym, w dowód czego, gdy tylko wrócę do kraju, *je ferai ma fin*. Ożenię się. *Oui*. Ożenię się, i to z każdą młodą osobą, którą mi sam wybierzesz, *cher papa!* Nie będę wymagającym. Chcę tylko, żeby była młoda, piękna, wesoła (to koniecznie), żeby pięknie grała i śpiewała (przepadam za muzyką i nie pojmuję bez niej dozgonnej towarzyszki życia), żeby przepadała za mną i ubierała się według prawideł, obowiązujących kobiety dobrze wychowaną. Co się tyczy kwestyi pradiadowej, tę pozostawiam zupełnie twój przeczności, *cher papa*, warując tylko, aby przyszła moja żona rodziła się z pięknej matki i dystyngowanego ojca, bo uważałem zawsze, że z raroga i czupiradła rodzi się — potwór. Pieniądze nie szkodzą, a nawet wolał-bym, aby pradiad był niepewny, lecz milion dobrze ugruntowany.

„*Cher papa*, niech bankier twój telegrafuje copre-

dzę do bankiera florenckiego o wypłatę koniecznej mi summy, za co przyrzekam milion razy pocałować cię, *cher papa*, i naopowiadać ci tyle pociesznych, z te-
rażniejszej podróży mój historyjek, że aż twe stare numizmata i unikaty trząść się będą w szafach od śmiechu.”

Im dalej hr. August list ten czytał, tém więcej ożywiał się, ośmielał i rozweselał. Dobry humor syna spędził mu chmury z czoła, a oczy napełniał wyrazem dumy, tkliwości i radości. Skończywszy czytanie, tryumfującym prawie wzrokiem spojrzął na brata i zawołał:

— *Eh bien, comte!* powiedz sam! możnaż nie ubóztwiać tego dobrego, miłego chłopca?

— *Oui*, zupełnie, — obojętnie odparł starszy hrabia, — ale te czterdzieści tysięcy!... *ça sonne assez haut*.

Wyrazy te przywróciły zupełnie hr. Augustowi pamięć o twardój prozie życia. Wstrząsnął głową i powtórzył smutnie:

— *Oui! sa sonne — terriblement haut!*

Milczeli chwilę obaj. Hr. Światosław grzebał w węglach złożonym haczykiem.

— Jestem w dość przykrém położeniu, — zaczął powoli bardzo i ze spuszczonei oczyma hr. August, — Gotówki na razie nie mam. Prosić o pożyczkę kogoś... kogoś... rzecz przykra... Nie lubiłem nigdy wdawać się ze światem finansowym. Są to żydzi,

parweniusze, i jak tylko komuś z nas wyrządzą jakąś tam bagatelną przysługę, zaraz już chcą bratać się z nami... bywać u nas... i gotowi są mówić nam *par ty...* Chyba-by Aleksin albo Dębowłę w banku zastawić... ale znowu byłby to proceder długi.. Wilhelm zaś czekać nie może, żadnym sposobem nie może. Nigdy się to jeszcze nie zdarzyło, aby prosił mię o cokolwiek i czekał długo. *Cet excellent enfant*, zmartwił-by się tém bardzo i zresztą, im dłużej-by czekał, tém więcej-by tam za granicą stracił. To widoczne, *n'est-ce-pas?* Obdzierają go ludzie, eksploatają niezawodnie. Zbyt dobre ma serce, ja mu to zawsze mówię. Ale tak to bywa w młodości. Serce na dłoni i kieszeń otwarta dla całej téj hołoty, która oblega zwykle *un jeune homme riche et commun catif*. Myśmy sami byli młodymi, *cher comte*, i powinniśmy umieć wybaczyć młodości. *Il faut que la jeunesse se passe, n'est ce pas?* Chciałem cię więc, kochany bracie, prosić o radę...

Tu hrabia August umilkł. Przy ostatnich wyrazach, czarne okrągłe oczy jego, wlepione w twarz brata, przybrały wyraz niemal błagalny. Hrabia Światosław niedbale upuścił z ręki złożony haczyk i, zwracając na brata spójnienie, wymówił bardzo powoli w sposób oznaczający głębokie znużenie.

— Po co tu długie przedmowy, Augustcie. Chcesz zapewne, abym ci pożyczył sumy, przez młodego hrabię żądanéj...

Twarc hrabiego Augusta oblała się szkarlatem, po chwili jednak zajaśniała nadzieją.

— Byłeś zawsze najlepszym bratem, *cher comte*. — wyjąkał — jesteś głową i wsparciem całej naszej rodziny...

— *Eh bien! Eh bien!* — przerwał starszy hrabia — o cóż idzie? poco tu tak długo mówić? Dla mnie to zupełnie wszystko jedno, gdzie umieszczam moje kapitały... nie jem ich przecież i nie piję, a ewikcyja na Aleksinie i Dębowli, *jeszcze* pewna... Przedostatni wyraz hrabia wymówił z naciskiem.

Brat jego z rozpromienioną już twarzą powstał z fotelu.

Merci! — rzekł z wylaniem — *merci, cher frère!* Nie wątpilem ani na chwilę we wspaniałomyślność twego serca i w twe przywiązanie do... do... *chose...*

Wyraz wielkiego niesmaku wybił się na bladą, zoraną twarz starego hrabiego.

— Wspaniałomyślność! — wymówił — przywiązanie! co za szumne wyrazy! *Mais Vous faites des phrases, Auguste*, i zdaje mi się, jakbym miał przed sobą jakiegoś członka Towarzystwa Dobroczynności, albo muzycznego artystę, od którego pięćdziesiąt biletów na koncert kupilem! O czém tu tak wiele mówić? Napiszę dziś do mego bankiera, aby telegrafował do bankierów florenckich o wypłatę młodemu hrabiemu trzydziestu pięciu tysięcy rubli. Procent mi płacić będziecie taki, jaki mam z papierów, a prawne-

ceremoniami niech tam jutro zajmie się Cesarzowski.

Hrabia August, rozczulony i nad wyraz uszczęśliwiony, mrużąc coś niewyraźnego, pochwycił rękę brata, ale hrabia Światosław cofnął końce białych, chudych swych palców z uścisku pulchnej dłoni braterskiej i, niezmiernie już znudzonemi oczyma rozglądając się po pokoju, rzekł:

— Radzę ci jednak, *Auguste*, abyś do młodego hrabiego telegrafował... Niech natychmiast wraca do kraju...

— Ale naturalnie... naturalnie... on sam zresztą czyni to niezawodnie...

— Zapewne, po opłaceniu bowiem Schyloka, zostanie mu niewielka sumka... Uczyniłeś nierozważnie, bardzo nierozważnie, *Auguste*, posyłając zagranicę młodego hrabiego po machiny... Puściłeś wilka do stajni...

— Chciał jechać... koniecznie chciał jechać!... Koniecznie o to prosił, że, *croyez moi, cher comte*, odmówić nie mogłem...

— Stosunek twój z synem, *Auguste*, jest bardzo sentymentalny — z bladym uśmiechem zauważył stary hrabia — uważaj tylko, *comte*, aby się to dla was obu źle nie skończyło...

— Jakim sposobem? — z zupełnie szczerem zdziwieniem zapytał August.

Hrabia Światosław z lekka i niedbale wzruszył ramionami i odpowiedział zwolna:

— Młody hrabia ma lat dwadzieścia siedm i zrobił już przeszłe sto tysięcy rubli długu... Ja sam będę już miał na Aleksinie i Dębowli ośmdziesiąt tysięcy. Trzydzieści tysięcy winni jesteście Cezaremu...

— *Oh! ce pauvre César!* na co mu pieniądze? poczeka, aż się Wilhelm ożeni, i...

— *Pardon* — wymówił żywiej nieco hrabia Światosław — dług Cezarego ma pierwszeństwo przed moim. Ja majątku mego nie zabiorę do grobu, który blizki już... blizki... Cezary zaś... kto wie? może porozumnieć wkrótce i dopomni się o swoją własność, a w takim razie oddacie mu ją natychmiast, *cher comte*... tak, natychmiast! chyba-bym ja już nie żył...

— *Eh bien! eh bien!* — zawołał hrabia August, który stopniowo odzyskiwał całą swą pewność siebie, — sto dwadzieścia tysięcy... nie przyprowadzi to nas przecież do bankructwa... Bliżej przyjrząwszy się, Wilhelm tracił, co prawda, ale nie tak znów wiele, do prawdy... weale niewiele...

— *Ça ira!* — wymówił stary hrabia, uderzając z lekka po węglach złożonym haczykiem.

Hrabia August zaczął znowu niespokojnie kręcić się na krześle. Spoglądał co chwila ku oknu i, upewniony już co do pomyślnego obrotu sprawy, z którą tu przyszedł, myślał widocznie o tém, jak wesoło było na widnym, osłonecznionym świetle, a jak smutno w dusznym i przyciemnionym gabinecie jego brata, jak przyjemną dziś będzie przejażdżka konna w Uja-

zdowskie aleje i jak smaczném śniadanie, które po przejażdżce, z gronem wesołych towarzyszy i z szumnym akompaniamentem szampa, nastąpi.

Hrabia Światosław spoglądał od chwili do chwili na brata, który, załatwiwszy interes swój, bardzo widocznie całą istotą swą wyrwał się w dal jasną i wesołą. Blady, wzdurliwy nieco uśmiech, przewinał się mu po ustach, bruzdy na czole jego drgnęły, Bóg tylko wie, jaką myślą wstrząśnione. Zadzwoił na kamerdynera swego i kazał podać sobie przyrządy do pisania.

O! z jakże zmienioną powierzchownością hrabia August opuszczał wspaniale urządzony, lecz sztywny bardzo i posępny nieco gabinet swego brata! Postawa jego była znowu wyprostowana, głowa wysoko podniesiona, oczy błyszczały mu najczystszeń światłem nieskazitelnie wesołego humoru, a pulchne rumiane usta, wśród rozpościerających się już w kształt wachlarzy czarnych bokobrodów, uśmiechać się zdawały z rozkoszą i miłością do wszystkich czarów i powabów życia. U początku wschodów włożył do pugilaresu drogocenny list do bankiera, ręką brata nakreślony, poczem, z piosenką na ustach zbiegłszy do wielkiej, wspaniałej sieni, miał już wyjść na ulicę i wskoczyć w oczekujący na niego elegancki karykiel, gdy nagle, myślą jakąś tknięty, stanął i zadumał się na chwilę. Nie! nie przysła jeszcze dnia tego błoga dla hrabiego Augusta godzina, w której swobodnie już

i ze spokojném sumieniem mógł-by rzucić się w objęcia rozrywek i przyjemności życiowych! Pozostawał mu do spełnienia jeden jeszcze obowiązek. Raz jeszcze zająć się on musiał ważną i zwłoki niecierpiącą sprawą rodzinną! Tam zaś, gdzie chodziło o spełnianie obowiązków, to jest o troskliwe czuwanie nad pomyślnym rozwojem i niepokalanym honorem spraw rodzinnych, hrabia August był człowiekiem wytrwałym i niezłomnym. Pomimo więc, że na świecie słońce świeciło tak jasno i pięknie, dzwoneczki szlichtad tak wesoło brzęczały, ulubiony wierzchowiec rżał tam kędys w swęj stajni, z tęsknoty za opóźniającym się dnia tego swym panem, a śniadanie z dala, z dala tak ponętnie woniało; hrabia August nie przekroczył jeszcze progów pałacu swego brata, lecz, zwracając się do lokaja, który go ku drzwiom odprowadzał, wymówił:

— Dowiedz się, mój kochany, czy hrabia Cezary jest u siebie?

— JPan Hrabia Cezary znajduje się obecnie w apartamentach. JPani hrabiny — odpowiedział sługa.

Hrabia August zamyslił się głęboko. Z synowcem widzieć się dziś — chciał, musiał koniecznie. Ale... miałże dla tego oddawać wizytę tak milęj mu bratowej? Było to pytanie, które go przejmowało dreszczem. Czegóż jednak w sercu mężném nie dokáže poczucie obowiązku!

— Idź na górę — rzekł po namyśle hrabia August do lokaja — i dowiedz się, czy pani hrabina przyjmuje moję wizytę.

Po dwóch minutach, lokaj zbiegał już ze wschodów i z głębokim ukłonem mówił.

— JPani hrabina prosi!

ROZDZIAŁ IV.

Kiedy dnia tego z rana uwiadomiono hrabinę Wiktoryą o powrocie ze wsi młodszego syna, na twarzy jęj nie odmalowało się wzruszenie żadne, ani radosne, ani gniewne. Przez chwilę tylko siedziała zamysłona, z czołem lekko zmarszczoném; poczem już spokojnie i bez cienia troski jakiegokolwiek, usiadła przed stolikiem, na którym stała bogata śniadaniowa zastawa.

Pijąc czekoladę, hrabina miała zwyczaj czytywać zarazem książkę budującą jakiś lub nabożną treść. Były to poranne ćwiczenia umysłu, które na cały już dzień wlewać miały w serce i humor przykładnej niewiasty słodycz niezmaczoną, pokorę pełną zaparcia się, rezygnacyą, prowadzącą do obojętności na wszelkie troski i interesa ziemskie.

I teraz także, obok porcelanowej filiżanki leża-

ła przed hrabiną małych rozmiarów książeczka, na axamitnej okładce nosząca złotemi literami wyryty napis: *Głos synogarlicy na pustyni świata tego jęczącej, czyli ducha pobożnego, do świata lepszego wzdychania.*

Wyjątkowym to zupełnie sposobem hrabina Wiktorya czytała dnia tego książkę, po polsku wydrukowaną. Jeżeli bowiem w rozmowach z ludźmi, uwzględniając różne doczesne okoliczności, używała ona od czasu do czasu ubogiej a prozaicznej mowy rodowitej, to już myśleć lub czytać o Bogu, tém bardziej do Boga przemawiać, rzadko kiedy ośmielała się inaczej, jak dźwięcznym, bogatym i dynstygowanym językiem Franków. Tym razem jednak ośmieliła się, ale nie dla żadnego wcale płochego powodu. L'abbé Lamkowski własnoręcznie przyniósł wczoraj dostojnej penitencie swój *Głos synogarlicy*, upewniając, iż codzienne odczytywanie kilku stronie tkliwiej téj i budującej książki bardzo potężnie wpłynie na udoskonalenie duchowe czytelniczki, osłodzi i ułatwi jój przebywanie ciężkiej wędrówki życia, dzielnie nakoniec dopomoże jój duszy do osiągnięcia wiecznego zbawienia. Hrabina tedy od kilku minut już łączyła głos serca swego z *głosem synogarlicy* i wraz z nim *jęczała* w duchu *nad pustynią świata tego*, a oczy jój smętne i zadumane spoczywały właśnie na stronicy, wśród której ponura synogarlica, z zadziwiającą, jak na łagodną naturę niewinnej téj ptaszyny, nienawiścią i zawziętością, wyliczała wszystkie niedoskonałości,

wady, klęski, grzechy, zbrodnie i hańby, ziemię tę, a mianowicie zamieszkującą ją ludność, trawiące i plamiące; gdy między ciemne te obrazy i pełne pobożnej złości przekleństwa i potępienia wmieszał się nieśmiały i pokorny głos panny służącej, która, wszedłszy do budoaru, zapytywała panią swą, czy przyjąć raczy hrabiego syna swego.

Tym razem wyczerpała się już mężna i bohater-sko wytrwała cierpliwość niewiasty, siedzącej w wyłożonym, wykobiercowanym i oźwierciedlonym budoarze nad filiżanką czekolady i srebrnym koszem napełnionym biszkoptami; wyczerpała się cierpliwość niewiasty téj, otulonej w miękkie i malownicze fałdy szlafroka ze wschodniej materji, a owianej ciepłą jak wiosna, wonną jak róże i cichą jak spokój, atmosferą; wyczerpała się cierpliwość kobiety, której przerwano rozpamiętywanie rozpaczliwej pustki, na kuli ziemskiej panującej, i głębokiej nikczemności jój bliźnich; czarna brew jój drgnęła, piękne usta wykrzywiły się z lekka; nie odrywając oczu od drukowanych żółciowych płetek synogarlicy, zapytała tonem, który we wszelkim innym razie, mógł-by ujść za gniewny i opryskliwy, w tym wszakże razie był jednym dowodem więcej nadzwyczajnego pogrążenia się gorliwej czytelniczki w sprawy i medytacjach duchowych i wzniesłego jój wstępu do widoków i zajęć, nastreżanych przez tak nienawistną dla *synogarlicy* rzeczywistość:

— Co tam, Aloizo? dlaczego mi przeszkadzasz?

Aloiza, z większą jeszcze niż wprzód nieśmiałością, zapytanie powtórzyła. Parę minut upłynęło, zanim hrabina zdecydowała się na chwilową rozłakę z *synogarlicą*, a spójrzanie w oczy obrzydłej rzeczywistości, mającej stanąć przed nią w postaci jej syna.

— Prosić! — wymówiła наконец i, włożywszy w książkę zakładkę, z mikroskopijną a kunsztownie wykonaną kopią Madonny z rybami, oparła się o tylną poręcz fotelu i wzrok w przeciwnych, do salonu wiodących, drzwiach utkwiała.

Jakim był wyraz wzroku tego, którym zmartwiona i rozgniewana matka przywitać miała syna, ośmielającego się bez jej wiedzy tworzyć zamiary małżeństwa z panną Ślepowron Trzaska-Kniksówną? Zgadnijcie, czytelnicy! Był to może wzrok gniewny, piorunujący, ciężarny gromami srogich wyrzutów, albo też smutny, łzawy, rozżalony, pełen próśb tklivych, od serca matki ku sercu syna płynących? Wcale nie. Był to wzrok spokojny, jak w dniu pogodnym powierzchnia jeziora, powszedni, jak suknia, którą się nosi na co dzień, trochę poważny, ale o tyle tylko, aby powaga w niczem pogody jego niezmaconej i najzupełniejszej powszedniości nie naruszała.

W zamian, cóż za mieszanina uczuć najróżnorodniejszych malowała się na twarzy wchodzącego do budoaru hrabiego Cezarego! Uczucia te zawierały

z jednej strony cześć i poszanowanie uroczyste, aż do pobożnej niejako trwogi posunięte, z drugiej do utraty prawie samopoczucia dochodzące przeświadczenie o bezzaradném, rozpaczliwém nicestwie własném.

Wszelakoż, przebywając trzy bawialne salony, poprzedzające budoar, Cezary trzymał się dość prosto, i miał w oczach blask żywy, nieledwie gorączkowy, silne jakieś, a nadzwyczaj trudne do spełnienia, postanowienie objawiający. Zaledwie jednak stanął na progu budoaru, młody hrabia, jakby za dotknięciem różdżki czarnoksiężkiej, przekształcił się na innego całkiem człowieka. Żrenice jego zmałyły się, a brwi podniosły się z lekka, przez co na młodem i gładkiem przedtem czole powstały dwie poprzeczne głębokie zmarszczki. Spotkawszy się oczyma ze wzrokiem swjej matki, z tym spokojnym, powszednim, z lekka tylko poważnym wzrokiem, chciał przyspieszyć kroku, ale — dziwném zrzędzeniem losu, nogi mu się splątały i tuż zaraz przy progu potknął się o niziuki fotelik, perłową macicą wykładany, a przed niziutkiem też, podobnie przyozdobionym, stolikiem umieszczony. Czując, że nogi mu się plączą i, o cenny bardzo przedmiot zawadzając, szkodę jakąś w kosztownym remanencie matki wyrządzić są gotowe, Cezary przywołał do pomocy ręce swe, które i tak już, od chwili spójżenia na hrabinę, gwałtownie o jakikolwiek punkt oparcia się upominały. Ale i ręce, któremi sięgnął ku stolikowi, splątały się także. Leciuchny stoliczek

z cichym szelestem osunął się na kobierzec, a wraz z nim usunął się téż na ziemię i potoczył się do stóp hrabiny, z alabastru rznęty, koszyk na wizytowe bilety. Z koszyka wysypały się bilety i białemi płatkami usłaly kobierzec, a młody hrabia, zdumiony i oniemiały, stanął nad sprawionem i przez się tem ruinami Kartaginy w nieruchomém postawie.

Hrabina patrzała na całe to tryumfalne wejście syna swego w zupełném milczeniu, a tylko po ustach jej przesuwiał się szybko, na pół szyderski, na pół li-tościwy, uśmieszek. I wtedy dopióro, gdy Cezary, wyszedłszy z chwilowego osłupienia, nagłym ruchem rzu-cił się ku obalonemu stoliczkowi i rozsypanym bile-tom, w celu zapewne naprawienia, o ile siły starczyły, grzechów, przez się spełnionych, hrabina ozwała się dość cichym i zupełnie obojętnym głosem:

— *Laissez ceci, César*, Aloiza uporządkuje już to później! *Bonjour!*

— *Bonjour maman!* — odszepnął Cezary, pochyla-jąc się nisko i przyciskając usta do ręki matki.

Kiedy wyprostował się, hrabina nie patrzała już na niego. Trzymała w ręku filiżankę i bardzo po-woli przelewała w nią złotą łyżeczką płyn czekola-dowy.

Cezary pozostał w postawie stojącej. Milczenie trwało dobrą minutę; przerwała je wreszcie hrabina.

— *Eh bien!* — rzekła — jakże ci czas przeszedł tam na wsi?

— Bardzo dobrze, *maman* — szepnął młody hra-bia i, czując snadź konieczną potrzebę zużytkowania w jakikolwiek sposób jednej przynajmniej z rąk swych, spróbował oprzeć się ramieniem o wysoką podstawę marmurowego popiersia jakiegoś, tuż przy nim stojącego. Nauczony przecież doświadczeniem przedchwilowém, zląkł się wnet własnego pomysłu i pozostał już nadal, tak jak był wprzód, w stojącej i żadnego wsparcia nieposiadającej postawie.

— Bardzo się cieszę — zaczęła hrabina — bar-dzo się tém cieszę, że nie znudziłeś się zbytecznie na wsi. Myślałam zawsze, że będzie ci tam najzupełniej braknąć odpowiedniego towarzystwa...

— I owszem, mamó — śmiej już trochę i gło-sniej zaczął młody hrabia — znalazłem tam towa-rzystwo bardzo miłe... nadzwyczaj miłe...

Przy ostatnich wyrazach głos jego drgnął. Ozwa-ła się w nim struna rzewności jakby tłumionej, niewysłowionej, wspomnieniem jakimś obudzonej tęsknoty.

— *Vraiment?* — odparła hrabina — nadzwyczaj miłe towarzystwo w tamtych stronach... to rzecz bar-dzo dziwna! Któż to był taki? Czy nie stare dziady albo obdarte dzieciaki, z którymi tak chętnie przeby-wasz zwykle?

Cezary milezał chwilę. Rysy twarzy jego zaczęły wyprężyć się niemal boleśnie.

— *Non, maman* — odpowiedział, stłumionym gło-

sem, byłem raz na liczném zebraniu u pani generałowej Orczyńskiej, i poznałem tam państwa Kniksów...

I znowu głos jego drgnął i w gardle mu uwiązł. Ale nie była to tym razem nieśmiałość, która mu głosem w piersi zatrzęsła, tylko ta sama, co wprzód, serdecznie, och! jak serdecznie, w tém miejscu właśnie, uczuwana tęsknota...

— *Eh bien!* — podjęła hrabina — cóż mogą mieć ci państwo Kli... Kwi... Kni...

— Kniksowie — z zadziwiającą żywością i śmiałością, poprawił matkę młody hrabia.

— *Oui*, Kni...sowie — wykrztusiła hrabina — cóż mogą mieć ci państwo wspólnego z przyjemném przepędzeniem czasu?...

Cezary podniósł głowę. Oczy mu błysnęły.

— Przepędziłem z nimi najmiłsze chwile, jakie miałem w mém życiu — odparł stanowczym, tak jakoś ciepłym głosem, że powinno to było zwrócić koniecznie uwagę hrabiny. Nie zwróciło jednak, bo, patrząc wciąż w filiżankę swą, wymówiła obojętnie:

— *Vraiment!*... a! — dodała, jakby po chwili namysłu i przypominania czegoś sobie... — *c'est vrai!*... przyszło mi w téj chwili na myśl, że pisałeś mi coś... coś... o téj rodzinie. *Qu'y avait-il là dedans?* Zdaje mi się, że przypominam sobie teraz... jakaś panna Kwi... Kli... Kniks, którą... zająłeś się być podobno...

— Kochana mamol! — wymówił Cezary drżącym głosem — ja pokochałem pannę Kniks i ona mnie pokochała...

Teraz dopiero hrabina, pełnym gracyi ruchem, zwróciła twarz ku synowi i spójrzała na niego głęboko zdumionemi oczyma.

— *Comment!* — wyrzekła zwolna i nadzwyczaj spokojnie — nie zapomniałeś jeszcze dotąd o niedorzecznym tym zamiarze? *Mais ce sont des billevesées, mon pauvre César*, i proszę cię, abyś nie wspominał o tém ani przede mną, ani tém bardziej przed nikim z obcych; okrył-byś się sam i okrył-byś nas wszystkich... śmiesznością...

Rzekłszy to, po raz pierwszy, zda się, spostrzegła stojącą postawę syna, i bardzo łaskawym tonem wymówiła:

— *Asseyez-vous donc, César?*

Ale Cezary, którego rysy wyprężyły się coraz sztywniej i boleśniej, łaskawych zaprosin tych nie usłyszał. Ramiona jego skrzyżowały się na piersi, czoło pochylone przerzynała głęboka poprzeczna bruzda. Hrabina, ukończywszy picie czekolady, przypatrywała się teraz bardzo uważnie różyczce na dnie filiżanki wymalowanej.

— Bardzo zmartwioną byłem — zaczęła — dowiedziawszy się, że sprzedaż Malewsczyczyny nie przyszła do skutku... Zarządzać gospodarstwem i interesami wielkiego majątku ziemskiego, będzie zu-

pełnem niepodobieństwem dla ciebie, *mon pauvre César!*

Cezary drgnął nagle, jakby ze snu zbudzony.

— *Chère maman* — mówił cichym, lecz dość pewnym głosem — chciałem prosić cię, bardzo gorąco prosić cię, *chère maman*, abyś zezwolić raczyła na związek mój z panną Delicyą Kniksówną.

Hrabina zwolna wzruszyła ramiona.

— *Mon pauvre enfant* — rzekła — powinienes już w twoim wieku lepiej znać prawidła konwenansów, i wiedzieć o tém, że bywają pewne rzeczy, o których nawet przed matką... szczególnież przed matką, młodemu człowiekowi mówić nie wypada...

— Jakto, *chère maman* — z głębokiem zdumieniem zapytał Cezary.

— Naturalnie — z utkwionemi w dno filizanki oczyma mówiła hrabina — w twoim wieku... z twojém majątkowém położeniem, młody człowiek może bardzo popełniać błędy... ciężkie nawet błędy przeciw skromności i moralności... Boleję nad tém mocno, jak w ogóle nad wszelkimi grzechami i nędzami tego świata; ale cóż mogę na to poradzić? Są to tajemnice życia, na które zamykam oczy, o których jednak, że istnieją, wiem, niestety! *Enfin...* jakkolwiek nie pochwalam tego... pojmuję jednak, *que Vous pouvez faire d'une Mlle Kli... Kwi... Kniks... votre... maîtresse...* ale o związku podobnym mówić matce i w dodatku prosić, aby ona na związek ten zezwoliła — to

nieprzyzwoitość wielka, *mon pauvre enfant*, a większa jeszcze śmieszność!

Cezary wysłuchał mowy téj z wyrazem osłupienia na twarzy. Nagle wyprostował się, oczy błysnęły mu żywo i zawołał:

— Ależ nie! nie! nie! *chère maman*, ja nie o takim związku mówiłem...

— Nie o takim? — z najwyższém zdumieniem przerwała hrabina. — O jakim-że więc?... nie pojmuję...

Błada dotąd, zeszytniała nieledwie twarz Cezarego, oblała się purpurą.

— *Chère maman....* — zaczął drżącym głosem i z błyskawicą w oku.

Ale w téjże chwili w drzwiach budoaru stanął kamerdyner i oznajmił wizytę hrabiego Augusta.

— Prosić — wyrzekła krótko hrabina, a zwracając się do syna, zapytała:

— Czy pałacowa kaplica w Pompalinie blizka już jest ukończenia? prosiłam cię, abyś uważnie obejrzał pałac i opowiedział mi szczegółowo, o ile tam postąpiły roboty około jego ukończenia. Słyszałam, że narożną wieżę wyprowadzono zbyt wysoko, co psuje symetrią i osłabia efekt całości. Czy nie uważałeś czasem, czy tak jest rzeczywiście?

Cezary milczał z wlepionemi w ziemię oczyma.

Zdawać się mogło, że nie słyszał nawet wcale mowy swjej matki.

Niezrażona tém jednak, hrabina, mówiła delój:

— Nieraz powtarzałam ci to, Cezar, że jesteś zbyt obojętnym na dzieła sztuki. Nie znasz się na muzyce, a co do architektury, *c'est totalement du grec pour Vous!* Co prawda, Bóg nie obdarzył cię zbyt hojnie zdolnościami... *Vous n'avez pas l'intelligence du bien, mon pauvre enfant*, ale... trzeba starać się... usiłować... *faites un effort sur Votre esprit*, który był zawsze bardzo, bardzo zamkniętym na wszystkie wyższe pojęcia... W twojém położeniu nie znać się na sztukach pięknych, to ogromna strata przyjemności, *mon pauvre enfant* i wielki wstyd...

— *J'ai l'honneur de vous présenter mes hommages, comtesse!* — zabrzmiał w drzwiach budoaru baryton hrabiego Augusta.

— Witam panią hrabinę i kochanego hrabiego Cezarego — ozwał się tuż za nim jedwabny jakiś, miękki głos mężki.

Hrabia August cofnął się nieco i nadzwyczaj grzecznym gościem zaprosił przybywającego z nim razem l'abbégo Lamkowskiego, aby wszedł pierwszy. Hrabina podniosła się lekko z fotelu.

— *Bonjour, comte! bonjour, oh, bonjour Monsieur l'abbé!*

Hrabia August trzymał już w swych pulchnych dłoniach rękę Cezarego.

— *Eh bien!* — śmiał się wesoło — *le jeune comte* wrócił nam zdrów i cały! nie porwała go nam żadna rusalka litewska!... Wstydź się, wstydź się, Cezarku! narobiłeś nam porządnego strachu z tą swoją panną... *comment donc...* Kij... Pałka... Trzaska... Gdyby syn mój, Wilhelm, był tu obecnym, powiedział-by ci...

— *Pardonnez moi, comte* — słodkim bardzo głosem przerwała hrabina — uwagi, które-by hrabia Wilhelm uczynić-by mógł synowi memu, były-by niezawodnie bardzo przyjemnemi, nadzwyczaj przyjemnemi... w tym razie jednak nie zachodzi tu już potrzeba czynienia jakiegokolwiek uwag... Cezary oddawna już zapomniął o swych niedorzecznych zamiarach, a nawet wątpi już teraz sam, czy miał kiedykolwiek zamiary jakie... takie przynajmniej... o których mówić-by można bez... nieprzyzwoitości.

— *Vrai?* — zadziwił się hrabia August — zapomniął... zupełnie zapomniął? *chose...* to bardzo prędko...

— Kochany pan hrabia Cezary — zabrzmiał jedwabny głos l'abbégo — pomigał zapewne dobrze o świętym przepisie: „czcij ojca twego i matkę twoję...” jak téż i o tém, że przez przepis ten rozumieć należy w ogóle powinno uszanowanie dla wszystkich członków rodziny, jak téż cześć dlat radcyi i zasad, rodziną tą rządzących...

— Zapomniął! — powtarzał hrabia August — bardzo dobrze zrobił... *chose...* ależ kiedy właściwie

mógł zapomnieć? Mówił mi przecież Fryderyk, że ci... ci państwo przyjechali tu do Warszawy, jednocześnie z młodym hrabią...

Na wieść tę hrabina drgnęła lekko, czoło jej powlokło się rumieńcem.

— *Oh! la demoiselle!...* — zawołała.

W mgnieniu oka jednak powściągnęła wzruszenie swe i, zwracając się do Cezarego, bardzo spokojnie zapytała:

— *Est-ce vrai? César.*

— *Oui, chère maman, c'est vrai* — bez chwili wahania się i dość pewnym głosem, odpowiedział Cezary.

— *Voilà!* — wykrzyknął hrabia August — *quand je vous disais, comtesse*, że nie było jeszcze czasu na zapomnienie...

— *Eh bien!* cóż to nas obchodzić może, czy komuś podobало się przyjechać do Warszawy, czy nie! Każde wielkie miasto *c'est un caravansérail!* przybywa do niego, kto chce! Cała ta historia zresztą przestała mnie zupełnie obchodzić, odkąd przekonałam się, że Cezary nie zapomniał, co się należy matce jego i całej rodzinie, i jakie obowiązki ciąży na nim, jako na bracie Mściława, któremu niestosownie uczynionym krokiem mógł-by przynieść w świecie szkody niewynagrodzone... Jako matka, znam najlepiej syna mego, wiem dobrze, iż, jakkolwiek Opatrzność odmówiła mu wielu ze swych darów, obdarzyła

go przecież najlepszym sercem i pokorną świadomością własnej jego słabości. Syn mój ma dobre serce, nie zechce zatem boleśnie bardzo martwić swęj matki i postępowaniem swém szkodzić w świecie bratu swemu. Wié on także, iż niewiele, bardzo niewiele liczyć może na własne swoje siły... że zatem jedyną podporą jego mogą być rady, udzielone mu przez członków rodziny, a jedynym możliwym dla niego sposobem zasłużenia się przed Bogiem i ludźmi, jest zupełne zaparcie się siebie, zupełne oddanie się dobru i pożytkowi swęj rodziny. Tak, *Mr le comte*, tak *Mr l'abbé*, rozmawiałam dziś o tém wszystkiém *avec mon pauvre César*, zbadałam usposobienie jego, i historia, którą nadaremnie przeraziliśmy się tak bardzo, ukazała mi się w zupełnie, zupełnie inném świetle... Młody hrabia może... bawić się... jak chce i z kim chce... ale nie przekroczy to z pewnością granic zabawy, *et je vous prie, comte, n'en parlons plus!*

N'en parlons plus! łatwo to było powiedzieć hrabinie, ale wcale nie łatwo wykonać hrabiemu Augustowi. Hrabina wypowiedziała całą długą przemowę swą z tak doskonałym spokojem, z pełną takięj powagi, pewnością siebie, że hrabia August w prawdę słów jej nakoniec uwierzył. Gdy zaś tylko uwierzył, począł wnet guziki tużurka swego zapinać od góry aż do samego dołu. Nie był to wprawdzie mundur archeologiczny. Ale mógł-że hrabia August, wydając się dziś z domu swego pod wpływem bardzo

smętnych myśli, przewidzieć, że zaskoczonym będzie tak z nagle wcale radością uroczystością rodzinną?

Na szczęście, tużurek, jak i mundur archeologiczny, posiadał guziki, bez posążków wprawdzie, rydelków i garnuszków, ale zawsze takie, które zapinać można było. Zapiął je też hrabia August z pośpiechem wielkim od góry aż do dołu, poczem, zbliżywszy się do skamieniałego jakby synowca swego, pochwycił w dłonie swe zimną, jak lód, drżącą trochę jego rękę i, podniósłszy wysoko twarz swą, czarnemi wachlarzami faworytów najeżoną, zaczął w te słowa:

— *Cher neveu!* W imieniu mojem i nieobecnego tu syna mego, Wilhelma, mam zaszczyt i przyjemność powinszować ci tej siły... tego... tego... *chose...* rozsądku, na który tak niespodziewanie się zdobyłeś, przez pamięć na honor i wysokie stanowisko rodziny twój, do której ja także wraz z nieobecnym tu synem moim, Wilhelmem, mamy zaszczyt należeć. Tak, *cher neveu*, ziemia nasza jest... jest okrąg... *chose...* chciałem powiedzieć, piękną i bogatą w różne przyjemności i rozrywki, których ja sam, wyznaję to otwarcie, *malgré... malgré ma... cinquantaine bien sonnée*, używałem zawsze, o ile tylko pozwalały mi na to prawidła honoru, i... *chose...* moralności, dlaczego też... *et je m'en vante*, zachowałem przez całe życie swobodę humoru i wesołość, będącą wielkim przymiotem towarzyskim

i... i... *chose...* uprzyjemnieniem tego naszego biednego życia. Ale, *cher neveu*, małżeństwo, to rzecz ważna... i nie można wcale zaliczać go do zwykłych rozrywek i przyjemności, których każdy człowiek, na naszym stanowisku zostający, używać jest w prawie... Dowiedliśmy tego obaj... nieodżałowanej pamięci brat mój, Jarosław, zaślubiając tu obecną szanowną bratową moję, z domu księżniczkę X. i ja... pojmując wcześniej zgasłą, a nieodżałowaną baronównę, Bertę von Szwarzhausen. Życzę ci, *cher neveu*, w imieniu swoim i nieobecnego tu syna mego, Wilhelma, abyś, naśladując przykłady, dane ci przez świętą pamięci nieodżałowanego ojca twego, i przeze mnie, *ton oncle bien affectueux*, zawarł wkrótce mariaż, godny imienia, które nosisz, a przynoszący radość i... *chose...* chlubę rodzinie, do której ja także, wraz z nieobecnym tu synem moim, Wilhelmem, mamy zaszczyt należeć!

Wymawiając ostatni wyraz, hrabia August stworzył ramiona i, objawszy niemi synowca, dwa głośne pocałunki złożył na jego policzkach. Gdy czynił to, zdawać się mogło, że w uścisk ujmuje ową skrytalizowaną kolumnę, w którą, wedle podania, zamieniła się była niegdyś nieszczęsna żona Letowa, do tego stopnia postać cała Cezarego sztywną była, i jakby skamieniała, do tego stopnia blademi i zimnemi były jego policzki. Zaledwie jednak ręka Cezarego wysunęła się z dłoni stryjowskiej i bezwładnie w dół

opadła, ujął ją w białe, ciepłe, atlasowe dłonie, l'abbé Lamkowski. Ze słodkim uśmiechem na ustach i wyrazem rozrzewnienia w ciemnym, aksamitnym swém oku, l'abbé wymówił:

— Gorące dzięki składam Najwyższemu za to, że nie zawiódł nadziei moich, które, kształcąc umysł dwu młodych hrabiów, w Nim pokładałem. Największą usilnością moją było wpoić w duszę hrabiego Cezarego uczucie świętej pokory i należnego posłuszeństwa dla starszych. Nie ufaj własnym siłom swym, mawiałem zawsze młodemu hrabiemu, albowiem siły to są bardzo słabe, słabsze o wiele, niż u innych twych bliźnich. Nie ufaj nigdy własnemu rozumowi swemu, albowiem rozum, rzecz to zawodna, wtedy mianowicie, gdy Opatrzność, w niezbadanych wyrokach swych, nie raczyła ukształcić go zupełnie zdrowo i silnie. Nie ufaj nigdy popędowi własnego serca, albowiem ciało ludzkie krewkiem jest i łatwo o cnocie zapominającym. Mawiałem zawsze młodemu hrabiemu, iż niebo obdarzyło go matką, pełną cnót i rozumu i, że po Bogu, w niej jednej, w radach jej i przestrobach, szukać powinien wsparcia dla sił swych słabych i kierunku dla swego życia. Dzięki składam Najwyższemu, że starania moje płonnie nie zostały. Młody hrabia nie ufa rozumowi i siłom własnym, nie poddaje się ślepo popędowi własnego serca, należną część i posłuszeństwo oddaje czcigodnej jej matce. Odnieśliśmy wielki tryumf, pani hrabi-

no! wyratowaliśmy, z pomocą Najwyższego, od srogich nieszczęść i cierpień słabą duszę ukochanego dziecica tego. Pani hrabino! Chrześcijańskiej matce wolno jest otwierać serce i ramiona przed posłusznym i pokornym swym dzieckiem. Otwórz, pani hrabino, ramiona twe przed młodym hrabią, i niech macierzyński pocałunek, spływając na pochylone przed tobą czoło jego, da mu uczuć całą wielkość i dostojność cnoty, całą słodycz dobrze wypełnionego obowiązku!

— *Venez, César, que je Vous embrasse, mon pauvre .. pauvre enfant!* — wymówiła hrabina, i obie dłonie jej wyciągnęły się ku wrosłemu jakby w ziemię synowi.

Ale, o dziwy! zamiast z okrzykiem radości, lub ze łzą rozczulenia, pośpieszyć po uścisk matki, tak rzadkiem w życiu jego będący zjawiskiem, tak bardzo rzadkiem, że nie pamiętał wcale, aby spotkało go ono kiedykolwiek w przeszłości, Cezary podniósł czoło bardzo blade i, nie czyniąc najłżejszego poruszenia, powiódł oczyma po otaczających go twarzach. A dziwnie, bardzo dziwnie wyglądały w tej chwili te oczy jego, zwykle tak łagodne i miękkie, lub mętne i bezmyślne.

Teraz źrenice ich stały się ciemnymi i bardzo głębokimi tak głębokimi, że aż przepaścistemi prawie, a nagle palącemi się ogniem tłumionym wielkiego jakiegoś bólu, czy gniewu. Pobladłe usta młodego człowieka

drgnęły i otworzyły się parę razy tak, jakby chciał on wymówić coś, bardzo do wymówienia trudnego. Nic jednak nie rzekł. Podniósł dłoń i zwolna przesunął ją po czole, poczem ze schyloną głową i obwisłemi rękoma, powolnym, lecz równym krokiem, pokój opuścił.

— Co się stało młodemu hrabiemu? — patrząc za odchodzącym, ze zdziwieniem zapytał hrabia August.

L'abbé wydawał się także mocno zdziwionym, a po twarzy hrabiny przesunęły się z kolei gniew i trwoga. Bardzo prędko jednak mężna ta pani odzyskała zwykłą moc nad buntującemi się co chwila nerwami swemi.

— Nie widzę nic dziwnego w postępku mego syna — rzekła z wielkim spokojem, a nie mniejszą słodyczą — musi on naturalnie przecierpieć trochę z powodu tych, tak nieszczęśliwie skierowanych, afektów... *mais ça passera vite...* przytém małomówność i niezręczność w cbejsciu się stanowią zwykle już cechy tego najlepszego biednego dziecka mego!

— Nie, pani hrabino — uroczyście odparł l'abbé — młody hrabia ani jednym słowem nie odpowiedział na zwróconą do niego przyjazną mowę dostojnego stryja swego i moje, co więcej, nie pośpieszył w objęcia matki swój, które wyciągały się ku niemu z tak niezrażoną niczém słodyczą i pobłażliwością! Zły to znak, pani hrabino! Widzę w tém wyraźnie

symptomat wieku, tego nieszczęsnego, do gruntu zepsutego wieku naszego, który młodych ludzi naucza pomiatania najszacowniejszemi, najświętszemi rzeczami! Lękam się, bardzo się lękam, pani hrabino, aby nasz biedny hrabia Cezary nie utracił tych jedynych zalet, które okupowały w nim wszelkie inne niedostatki, a któremi były: niezmącona słodycz, uległość i pokorne poczuwanie się do własnej słabości!

— *Mon Dieu!* — szepnęła hrabina — i ja także lękam się tego trochę! Nie widziałam nigdy jeszcze, aby biedny mój Cezary miał taki, jak przed chwilą, wyraz twarzy, i bez mojego pozwolenia opuścił moje towarzystwo!

— *Quand je vous le disais* — zawołał hrabia August — *quand je vous le disais, comtesse*, że Cezarek nie miał jeszcze czasu zapomnieć o téj zabawnej swojej romansowej historyjce! Jest on cały ogniem w téj chwili, płomieniem, *et je vous le disais, comtesse*, trzeba mieć na niego baczne oko, gdyż, kto wie? bywają przecież na świecie wypadki różne... ucieczki, porwania... śluby potajemne... małżeństwa morganatyczne... i, ani się może obejrzymy, jak wpośród nas wpadnie *cette Mlle Trzaska*, jako hrabina Cezarowa...

Hrabina Wiktorya pobladła. Ślub potajemny! wyrazy te, jak grot ognisty, wyobraźnią jej przeszyły i pozostały w pamięci.

— *Soyez tranquille, Mr le comte* — rzekła z tłumionym gniewem — *j'aviserai*, będę o tém myślała...

Tymczasem, w trzecim czy czwartym salonie, Cezary oko w oko spotykał się, z idącym do budoaru hrabiny, swym bratem.

— *Ah! te voilà César!* — zawołał, ujrzawszy brata hrabia Mścisław. — *Eh bien* — dodał, końcami palców dotykając dłoni braterskiej — *comment va ta belle au bois dormant?* Wykopałeś tam wśród puszczy litewskich jakąś nieznaną dotąd światu boginią, i nawet przywozłeś ją podobno tu do Warszawy. *Je t'en félicite, mon cher!* Wyglądałaś zawsze na Trapistę... ale pozory złudne są! *Là, là, tu as le coeur vierge!* strzeż się, aby cię tak piękność leśna zbytecznie nie opłatała...

— Mścisławie! — przerwał nagle Cezary, i spojrział w twarz brata takim wzrokiem, że hrabia Mścisław szeroko oczy od zdumienia otworzył.

— *Eh bien!* — zapytał — *qu'y a-t-il à ton service?*

— Mścisławie — ciszej nieco i ze spuszczonej już oczyma, powtórzył brat młodszy — wyśmiewałeś mnie zawsze, całe życie... całe życie mówiłeś mamie, że jestem niezgrabnym, śmiesznym, głupim, *bon à rien...* Nic to, nie! miałeś pewną słuszość... ale teraz, proszę cię... o mojej narzeczonej ani słowa!... ja ją kocham!

Mścisław wybuchnął głośnym śmiechem, i wołając:

— *Maman, Maman!* czy rozmawiałaś już z naszym arkadyjskim pasterzem? — śpiesznie oddalił się w głąb mieszkania.

W minutę potem, Cezary znalazł się w mieszkaniu swoim, równie jak hr. Mścisława, na dole pałacu położonem, i równie jak tamto, wykwinicie przybranem. W saloniku oczekiwał na młodego hrabiego Pawełek.

Cezary wszedł powoli, z pochyloną głową, usiadł na najbliższym fotelu i, łokcie opierając o stół, twarz w dłoniach ukrył. Tak przesiedział dość długo, i byłby zapewne dłużej jeszcze pozostał, gdyby z zadumy, czy z osłupienia, nie wyrwał go był głos Pawełka.

— Cóż, Cezarku? jakże ci się tam powiodło? czy wielka była burza?

Cezary z wolna twarz odsłonił i uczynił ręką giest zniechęcenia.

— At — rzekł — czy wiesz, Pawełku, że zdaje mi się, jakby mnie tylko co z tortur zdjęto...

— Przyjemne to być musi uczucie! — zauważył Pawełek.

— O! jakie przykre, Pawełku! nie uwierzysz, jak przykre! — zawołał Cezary, i z całej siły dłoń do pierśi przycisnął, jakby go tam coś nagle i bardzo zabolalo. — Ja nie wiem, czego oni wszyscy chcą ode

mnie? czém ja jestem? i co tak bardzo złego w mojem życiu zrobiłem? za co oni mnie tak nie lubią? za co oni mną poniewierają?

Milczał chwilę ze spuszczonemi oczyma i zbrudzoném czołem, nagle powstał i zawołał z wybuchem:

— Tak, Pawełku! tobie jednemu mogę to powiedzieć: mama i stryj, i ten l'abbé, którego znieść nie mogę, poniewierają mną.. jak dzieckiem... jak idyotą!... nie dają mi słowa przemówić! wszystko, co czuję, wszystko, czego chcę, uważają za głupstwo, a kobietę, którą kocham, za... za... o! nie mogę tego powiedzieć, nie mogę tego wymówić, za co oni ją uważają!...

Milczał znowu długo, potem, z niejakim wahaniem w głosie, mówić znowu zaczął:

— Nie wiem, doprawdy, co już mam zrobić? Mama jest świętą kobietą... nie lubi mnie... to prawda... ale może i nie można mnie lubić, czy ja wiem?... chociaż tamci... oni... polubili mnie wszyscy... zawsze jednak mama jest świętą kobietą... stryj August także jest poważnym i uczonym człowiekiem... choć wiesz, Pawełku, że kiedy stryj August zaczyna te swoje mowy... te, co wiesz... to ja słucham, słucham, i zdaje mi się zawsze, że w nich nic a nic sensu niema... zawsze jednak wszyscy mówią, że człowiek uczony... powiedz sam, Pawełku! czy ja mogę ich martwić i narażać się

na to, aby oni gorzej jeszcze mnie nie lubili? To przykro! bardzo przykro... ależ znowu...

Tu podniósł na towarzysza oczy pełne żalu i ognia, i znowu wybuchem głosu zawołał:

— Ale ja i jój wyrzec się nie mogę! za nic nie mogę!... ja ją tak kocham! to Anioł!...

Zakrył twarz obu dłońmi i milczał chwilę.

— Czy wiesz, Pawełku, że jak ja jój nie widzę, to mi się zdaje, że słońca niema na ziemi... zdaje mi się, że to nie dzień, ale noc... ciemna noc...

Głos jego stawał się coraz cichszym, głębokim, marzącym.

— I ja ich wszystkich tak kocham... tak kocham! Kiedy patrzę na jój matkę, to zdaje mi się... wiesz? pierwszy raz w życiu zdaje mi się, że ja mam matkę... Ojciec jój śni mi się co noc prawie... jakie to było wielkie serce, Pawełku! Wiesz? chętnie był-bym sługą jój ojca... a dla niej... dla Delicyi... czegoż-bym nie uczynił! o! moja droga! moja śliczna! moja różyczko biała i niewinna! jak oni cię nie znają! co oni o tobie mówią! Boże mój, Boże!

Mowa jego przeszła przy ostatnich wyrazach w szepcie zaledwie dosłyszalny, gorący i rozmarzony. W oku, które świeciło teraz czystym, ciemnym szafirem, błysnęła łza.

— Nie! — zawołał z mocą — ja jój nie opuszczę! ja się jój wyrzec nie mogę!... ja ich wszystkich wyrzec się nie mogę!...

— Ach!... — dodał po długim milczeniu. — Dlaczegoż mnie Pan Bóg stworzył Pompalińskim? żeby to tak zasnąć i, obudziwszy się, nie być już Pompalińskim, tylko kimkolwiek... kimkolwiek... byleby swobodniejszym trochę i jakoś silniejszym... byleby narzeczonym Delicyi!...

Pawełek uśmiechnął się, i chciał wypowiedzieć uwagę jakąś, tę może, iż, gdyby cudownym jakimś sposobem żądanie Cezarego sprawdziło się i, gdyby nagle, pewnego pięknego ranka, przestał on być Pompalińskim, przez to samo już nie byłby z pewnością narzeczonym panny Delicyi. Przez wzgląd jednak na boleść krewnego, powściągnął Pawełek gorzką dla niego uwagę. Sam zresztą smutny jakos dnia tego i rozstrojony widocznie, powstał i rzekł:

— Taki to już widać los wszystkich zakochanych Pompalińskich, że ich życzeniom wszystko na wskazywać musi. Czy myślisz, Cezarku, że mnie dziś wesoło? Ot tak, wesoło, że gdybym miał choć krztę odwagi i rozumu, powinien-bym iść ztąd prosto na most żelazny i hop do Wisły!

Pawełek wymówił to na-pół z uśmiechem, na-pół z westchnieniem, ale w głosie jego dźwięczał taki serdeczny, głęboki smutek, a wesoła zwykle twarz taką posępną niemal oblokła się chmurą, że Cezary poskoczył nagle z krzesła, na którym siedział, i ramię swe na szyję towarzysza zarzucając, zawołał:

— Pawełku! co tobie? jeszcze nigdy nie widziałem, abyś był tak smutnym! czy ty także kochasz kogo? — dodał ciszej.

— Al! — odparł Pawełek — jestem dziś jakoś usposobionym do zwierzeń... gdy serce zanadto pełne, to i wylewa się z niego przez brzegi... Zresztą... chociaż ty jesteś niby hrabią i wielkim panem, a ja tylko ubogim wychowawcem twego ojca, obadwaśmy bardzo biedni, mój Cezary! No tak; kocham pewną śliczną i dobrą, jak Anioł, dziewczynkę, która... która suchot dostaje od tego, że je za mało chleba i mięsa, a za wiele łyka tytuniowego pyłu...

Przy ostatnich wyrazach, Pawełek obie dłonie przycisnął do czoła. Cezary patrzył na niego z osłupieniem z razu, potem, jedną ręką otaczając wciąż jego szyję, drugą, sięgnął po swój pugilares. Ale Pawełek szybkim ruchem rękę jego powstrzymał.

— Daj pokój! — rzekł — na nic się to nie przyda! oni jałmużny nie przyjmą!

Cezary smutnie zwiesił głowę. Widać było po nim, że, na widok cierpienia towarzysza, zapomniał zupełnie o cierpieniu i kłopotach własnych.

— Mój Pawełku! — zaczął proszącym głosem — żebyś ty mnie do nich zaprowadził... żebyś się ja mógł z nimi zapoznać... z rodzicami tej panny... możeby oni co przyjęli ode mnie...

— Mój dobry Cezary! — odparł Pawełek — to

być nie może! ja sam nie byłem u nich jeszcze, choć pół dnia tu już jestem i Bóg widzi, jak mnie do nich serce ciągnie... a tylko z daleka, z daleka ją widziałem, jak wychodziła z domu i szła do fabryki... taka blada i taka słaba... kiedy przechodziła koło bramy, w której stałem ukryty... kaszlała...

— Powiedz-że, mój Pawełku, dlaczegoż ty tam do nich nie poszedłeś?

— Nie poszedłem i nie pójdę! nigdy już nie pójdę! — z rozpaczonym niemal giestem zawołał Pawełek.

— Ale dlaczegoż? dlaczegoż? — dopytywał się Cezary.

— Alboż mogę pomyśleć choćby o ożenieniu się...

— A dlaczegoż nie możesz?

Pawełek uśmiechnął się smutnie, na-pół żartobliwie.

— Moje ty naiwne, niedoświadczone dziecko! — rzekł — abym mógł, jak wyrażają się poeci, rozpalić na własny mój rachunek ognisko rodzinne... trzeba, ażebym miał... to, czego nie mam...

— Ale co? co?

— Kawalek dachu własnego nad głową i kęs własnego chleba!

Cezary zamyślił się głęboko.

— Mój Pawełku — zaczął po chwili z powagą

i prośbą w głosie — czyż ja dopomóż ci nie mogę?

Pawełek pocałował go w czoło i odrzekł:

— Nie możesz, Cezary! Wiesz, czego mi trzeba? oto lichych parę tysięcy rubli dla zaczepienia rąk o cokolwiek... o rzemiosło jakie, o zawód jakikolwiek... Zkąd-że ty ich weźmiesz? Pieniądzy dosyć masz na to, aby biednym dzieciakom na ulicy jabłka i bułki rozdawać, powieści do czytania tuzinami kupować, albo też otaczających cię, mnie naprzykład, lub Fryderyka, złotymi zegarkami obdarzać. Ale gdzie idzie o zapewnienie komuś losu całego, o wyświadczenie komuś większym kosztem dobrodziejstwa większego, bo całe życie, całe szczęście człowieka z toni ratującego, ty już na to środków nie masz, ty już w wypadkach takich nic nie możesz...

Rzekłszy to, Pawełek, powtórnie krewnego swego w czoło pocałował i, wzięwszy kapelusz swój, ku drzwiom zmierzał. Ale Cezary, który słuchał go w zamyśleniu wielkiem, z oczyma w ziemię wlepionymi, pochwycił go za ramię.

— Dlaczego nie mogę? — zapytał — dlaczego nie mam środków, aby, jak mówił stary Kniks, robić cokolwiek dobrego na świecie, aby mózdz ludziom ważniejsze dobrodziejstwa wyświadczać, niż rozdawanie jabłek i kupowanie złotych zegarków; abym mógł teraz tobie, mój kochany, mój dobry Pawełku, i tój ko-

biecie, którą kochasz, dopomóż? dlaczego nie mogę? dlaczego nie mam środków? Czy nie jestem synem mego ojca tak, jak i brat mój, Mściław? czy nie wziąłem po ojcu dużego, bardzo dużego majątku? czy Małewszczyzna i pięć innych folwarków do mnie nie należą?..

Mówił to wszystko bardzo prędko. Wzrok zaśkrzył się mu nagle. Malował się w nim żal, gniew i zdziwienie. Pawełek milczał chwilę.

— Mój Cezary—rzekł— przyjdzie zapewne chwila, w której sam sobie odpowiesz na wszystkie te pytania. Ja nie mogę ci odpowiadać. Jestem ubogim krewnym, wychowanym i żyjącym dotąd na łasce twój rodziny; nie chcę, aby mnie nazywano zdrajcą i niewdzięcznikiem, nie chcę, aby mnie posądzano, że otwierałem ci oczy dlatego, aby z dobrego serca twego korzystać. Do widzenia!

Rzekłszy to, odszedł szybko, a Cezary pozostał na środku pokoju, na-pół w zamyślonój, na-pół w zgnębionój i srodze stroskanój postawie.

Z zamyślenia wyrwał go służący, który mu na tacy liścik zgrabniuchny i woniejący podawał. Cezary pochwycił liścik ten śpiesznie i z widocznym uradowaniem. Były w nim tylko te słowa:

„Dwie samotnice, znajdujące się w obcym i nieznanym sobie świecie Warszawskim, oczekują odwiedzin przyjaciela swego, hrabiego Cezarego”.

Słowa te podpisane były tylko literami: Ż. K. By-

ło to więc pismo nie Delicyi, ale matki Delicyi. Cezary jednak przycisnął je do ust z uniesieniem, a po kilku minutach szybko biegł ulicą, zmierzającą w stronę Europejskiego hotelu.

ROZDZIAŁ V.

Tydzień przeszło upłynął, a Cezary pozostawał wciąż w tym stanie zachwyty i troski, silnych postanowień i nagłych zwątpień a wahań się. W pałacu nie widywano go prawie, całe dnie bowiem spędzał w najokazalszym numerze hotelu Europejskiego, zamieszkiwanym przez dwie, z Litwy przybyłe, panie, albo też błądził po mieście, pieszo, bez celu, tak w myślach swych i udręczeniach pogrążony, że nie widział nawet, jak biegły za nim obdarte dzieciaki uliczne, prosząc zwykłego dobroczyńcę swego o grosze i jabłka, i nie spostrzegał wyciągających się ku niemu dłoni żebraczych, z których żadnej nigdy nie omijał był dawniej. O późnej wieczorniej porze, wracając do pałacu, zapytywał zwykle o Pawełka; ale ten, posępny jakoś i dziwnie milczący, unikał widocznie tak jego, jak i innych członków rodziny. Raz prze-

cież wszedłszy z rana do sypialnego pokoju młodego hrabiego, Pawełek znalazł go siedzącym przed zwierciadłem, i z wielką starannością osypującym długą, kościstą twarz swą subtelnym pyłkiem ryżowego pudru. Pomimo posępnego zamyślenia swego, Pawełek nie mógł wstrzymać się od śmiechu.

— Co to takiego robisz? Cezary — zapytał.

Cezary zmieszał się ogromnie.

— Widzisz, Pawełku — wyjąkał — nie śmięj się doprawdy ze mnie, ale jestem taki brzydki... i mam twarz tak ciemną jakąś, chropowatą... a.. a panna Delicya mówiła wczoraj, że podobają się jej najlepiej mężczyźni z białymi twarzami...

Innym razem, Pawełek spotkał zakochanego młodzieńca na ulicy, idącego śpiesznie z ogromną wiązką cieplarniowych kwiatów w ręku.

— Śliczne kwiaty! — zauważył.

— To dla niej — szepnął Cezary — ona, Pawełku, nadzwyczaj lubi kwiaty... tęskni za niemi... nie uwierzysz, jak jestem szczęśliwy, że tém przynajmniej sprawić jej mogę przyjemność!...

— Wszystko to dobrze — odparł Pawełek — ale kiedyż nastąpi koniec?

— Jaki koniec, Pawełku?

— A no, wesele twoje z panną Delicyą?

Radość zniknęła z twarzy Cezarego, a zastąpił ją wyraz rozpaczliwego zwątpienia.

— Ach, mój Pawełku! — jęknął — żebym ja sam o tém mógł wiedzieć!...

— A któż cię w powzięciu wiadomości téj zastąpić może? nikt z pewnością. Powinieneś się zdecydować.

Cezary milczał długo.

— Mój Pawełku — wymówił nakoniec prędko, porywczo niemal — jakże tu zdecydować się, kiedy nikt a nikt mówić ze mną teraz nie chce... Mamie anonsowałem się kilka razy... nie przyjęła mnie, kazała powiedzieć, że chora... Stryj Światosław nie przyjmuje mnie także... Mściław, albo ucieka ode mnie, gdy tylko mnie z daleka zobaczy, albo zaczyna mówić takie rzeczy, że ja od niego uciekać muszę, ażeby nie zrobić czegoś... czegoś niedobrego... Widzisz, mój Pawełku, że jestem zupełnie już wyrzucony z łona méj rodziny...

Ostatnie wyrazy Cezary wymówił z szyderstwem, tak niezwykle w jego ustach, że Pawełek spójrzył na niego z uwagą. Po twarzy młodego człowieka błądził uśmiech gorzki, ale woku jego malował się żal.

Pani hrabina tymczasem, jakkolwiek nie widywała się z synem, najdokładniej uwiadamiąną bywała o wszystkich szczegółach teraźniejszego jego życia, od dni całych spędzanych w Europejskim hotelu, i przejażdżek w Ujazdowskie Aleje z dwiema paniami, z Liwty przybyłemi, odbywanych, aż do bukietów, bonbonierek i ryżowego pudru.

Jakim sposobem pani hrabina dowiadywała się o tém wszystkiém, trudno odgadnąć. Niepodobna jest przypuścić, aby tak dostojna i nieskazitelnej cnoty dama kalać mogła ucho swe wysłuchywaniem gawęd i opowiadań starego kamerdynera, Fryderyka, na przykład, albo młodej, fertycznej i wielomówniej garterobiany, Aloizy. Niel szpiegowanie, wysyłanie na zwiady, zbieranie wiadomości i plotek, o własnym jéj synu mianowicie przynoszonych, niemożliwemi, najzupełniej chyba niemożliwemi być musiały, dla pani tak prawej, czystej, godność swą szanującej, tak, słowem, pod każdym względem przykładnej. Być może więc, iż stał się dla niej cud jakiś nadprzyrodzony, że otrzymała na ten raz przynajmniej dar jasnowidzenia, że owa Synogarlica, która-to tak rzewnie na pustyni świata tego jęczała, przemieniła się dla niej tym razem w gołębia pocztowego, po mieście latającego z bystrém okiem i ostrym słuchem...

Być może... to tylko pewna, że pani hrabina wszystko a wszystko o synu swym wiedziała, i po kilku dniach przekonała się dowodnie, iż cała dyplomacya jéj, cała moc duszy przedziwna i cały ten jéj takt nieporównany, których dowody dała w rozmowie swéj z synem i w późniejszym z nim postępowaniu, pożądanego skutku nie odniosły; że w biednym Cezarym powstał widocznie nowy, a zupełnie dotąd nieznany w nim, duch oporu i samowoli; że niebezpieczeństwo spokrewnienia się z Kli... Kwi... Kni... było istotne.

i bardzo groźne; że zatém środki zwyczajne i domowe już tu wystarczać nie mogły, a użyć wypadało, dla zapobieżenia nieszczęściu, środków jakich niezwykłych i bardziej skomplikowanych.

W tym przedmiocie pani hrabina miała jedną długą konferencyą z przewodnikiem sumienia i pocieszycielem serca swego, atlasowo-cukrowym l'abbém, i drugą, krótszą znacznie, ze szwagrem swym, hrabią Augustem, którego, acz ze wstrętem nieopisanym, do poufałości swój w tym wypadku wspólnej zgryzoty i wspólnego niebezpieczeństwa dopuściła. Lecz ani jedwabny l'abbé, ani chropowaty hrabia August, nie zdobyli się na żadną praktyczną i możliwą do wykonania radę.

Napomknął tam ktoś wprawdzie o zwołaniu rady lekarskiej, która-by w młodym hrabi odkryła może pewne patologiczne zboczenia mózgowe, w skutek których można-by następnie, nietylko już nad majątkiem jego, co było faktem spełnionym, ale i nad osobą rozciągnąć pewną, prawem ustanowioną, opiekę. Wzmiankę tę jednak, nie pamiętam już, a może i nie chcę powiedzieć, przez którego z dwu poradników uczynioną, hrabina pominęła grobowém milczeniem. Choroba umysłowa w rodzie, publicznie przyznana, był-by to skandal i była-by to hańba. A o cóż tu właśnie chodziło? o nic innego przecież, jak o uniknięcie skandalu i hańby. Zysku zatém nie było tu widocznie żadnego, a mogło-by w zamian nastąpić pewne,

lekkie może, ale zawsze odrobinę bolesne zadrażnienie macierzyńskiego serca hrabiny.

Drugi znowu z poradników posunął się w gniewnych swych wnioskach tak daleko, że wspomniał coś nawet o przymusie fizycznym, za pomocą środków również fizycznych dokonać się mającym. Ten jednak wniosek hrabina pominęła już całkiem wzgardliwém milczeniem, jako rubaszny, grubijański i do najwyższego stopnia nieprzystojny; a w sposób ten, nie znalazłszy skutecznego wsparcia u rozumów ludzkich, pożegnała obu swych doradców, i poczęła szukać środków ratunku we własnym swym rozumie, szukanie to poprzedziwszy naturalnie gorącym westchnieniem o zesłanie na nią daru dobrej rady.

I otrzymała dar, o który prosiła, i przyszedł jęj na myśl środek pewien arcy dzielny, uniwersalną prawie w świecie całym posiadający siłę, który nietylko skutecznie już zapobiedz miał grożącemu nieszczęściu, ale, w niezmiernie rozkoszny dla pokornego i miłosiernego jęj serca sposób, upokorzyć był powinien obrzydłą tę parafiankę i parweniuszkę, która tam, w hotelu Europejskim siedząc, ośmielała się zastawiać sidła matrymonialne na syna hrabiny Wiktorji, z domu księżniczki X.

Czarne oczy hrabiny Wiktorji błysnęły przedświtem wielkiego tryumfu. Zadzwoiła na kamerdynera swego i poleciła mu, aby jak naśpieszniej wezwał do niej pana Cegielskiego, adwokata, i od daw-

nych już lat głównego pełnomocnika całej rodziny Pompalińskich. Pan Cegielski przybył wkrótce i dość długo rozmawiał z hrabiną. W sąsiednim pokoju słysząc było nawet, jak głos adwokata, poważny z razu i perswadujący, przybierał stopniowo ton prośby bardzo usilnej.

Pan Cegielski wymawiał się snadź, wypraszał się od wkładanej na niego misy jakiegóż, z całego serca i z całej swęj duszy; ale hrabina, ze znanym u nięj, niezmaconym spokojem woli, obstawała przy swojém tak, że pan Cegielski, po opuszczeniu pałacu, skierował się wprost ku Europejskiemu hotelowi. Minę miał kwaśną wielce i zakłopotaną; widać mu było z twarzy, że w duchu kłął i misyą, z którą szedł, i tę może osobę, która na niego misyą tę włożyła. Cóż jednak czynić miał? Klienci tacy, jak hrabiowie Pompalińscy, nie wyrastają na każdym kamieniu, a pan Cegielski posiadał fortunę małą, a rodzinę liczną...

Szedł więc poseł pani hrabiny ku Europejskiemu hotelowi, w którego numerze najwykwintniejszym rozlegały się w téj chwili właśnie tony fortepianowej muzyki. Pani *Žulietta*, nazajutrz zaraz po przybyciu swém do Warszawy, pojechała z córką do najsłynniejszej fabryki fortepianów, i najawszy jeden z najwyborniejszych, znajdujących się tam, instrumentów, przenieść go rozkazała do swęgo hotelowego apartamentu.

Któż kiedykolwiek widział, aby gdziekolwiek na świecie były dwie wykwintne panie, z których w dodatku jedna jest panną na wydaniu, a fortepianu nie było? Gdzie jest panna na wydaniu, tam i fortepian być musi. Rzecz to wiadoma. Tak téż było i tutaj.

Delicya siedziała przed fortepianem i roztargnioną dłonią wydzwaniała we wiolinie kawałek tęsknej jakiegóż etiudy. Godzina była dość wczesna, taka, o której nie można było spodziewać się jeszcze nikogo z gości. Delicya jednak była już całkiem ubraną. Ubranie zaś jęj nie było takie, jakim bywało na wsi. O, nie! jakkolwiek bowiem i tam już wyborny istotnie smak pani *Žulietty* umiał z każdego niemal gałganka uczynić strój bardzo dla oka przyjemny, tu jednak, w Warszawie, panie te odnowiły całkiem postacie swe, skutkiem czego postać Delicyi nabrała zdwojonego wdzięku i zdwojonym jaśniała blaskiem. A jak pięknie było jęj w sukni świeżutko od Thonnesa przyniesionej, jak cudownie suknia ta ujawniała wszystkie doskonałości prześlicznej jęj kibici i uwydlatniała wszystkie delikatne wdzięki i odcienie pięknej jęj twarzy, tego już ja opisać nie podejmuję się — to już we własnej duszy dośpiwajcie, albo raczėj domalujcie sobie, czytelnicy!

Do saloniku, w którym Delicya lekko na fortepianie przygrywała, weszła pani *Žulietta*. I ona także miała na sobie suknię, tylko co od Thonnesa sprowa-

dzoną, suknią, w której, gdyby ujrzała ją hrabina Wiktorya, oczom swoim wierzyć-by pewno nie chciała, aby ta jakaś Kwi... Kli... Kni... parafianka, słowem, i parweniuszka, wyglądać mogła tak wspaniale i dystygowanie, i ubierać się z tak arystokratycznym prawdziwie smakiem. W rogu saloniku siedział młody Henryk Kniks, i ze znudzonym wyrazem twarzy przerzucał brukowe jakieś pisemko.

Pani *Żulietta* zbliżyła się do córki i, wsparta o fortopian, przypatrywała się chwilę jej ubraniu.

— Wybornie leży na tobie suknia ta! — rzekła — co to znaczy ubierać się w Warszawie! Przypatrując się dziś tobie, Delciu, myślę, że sam Pan Bóg nie pozwolił-by chyba na to, abyś tak, jak ja, wędnać i ukrywać się miała całe życie w tym naszym wiejskim grobie!

Delicya uśmiechnęła się.

— Wié mamcia — odrzekła — że dawniej wydawało mi się to rzeczą smutną, wprawdzie, ale prawdopodobną... teraz jednak, od czasu tych projektów, nie mogę już sobie nawet wyobrazić, jakbym mogła przeżyć tam długie lata!

— Tak, dziecko moje — z rzewnym uśmiechem wymówiła pani *Żulietta* — dobrze to powiedział poeta jakiś, że każdy iść musi koniecznie za gwiazdą swych przeznaczeń... twojem przeznaczeniem jest — być gwiazdą...

— „Będę ja złotą gwiazdą, na błękitném nie-

bie” — zanuciła półgłosem Delicya i, urywając nagle śpiew, szybkim, szumnym pasażem przebiegła klawiaturę fortepianu.

Było to podobne do wykrzyku tryumfu, czy niecierpliwego pragnienia.

Pani *Żulietta* ciszej znacznie rzekła:

— A jednak jestem niespokojną, Delciu, bardzo niespokojną...

— O co, mamusiu?

— O młodego hrabiego. Wszak uważałaś, jak, od czasu przyjazdu do Warszawy, pobił i zmizerniał, jak często zamyśla się i cierpi widocznie... Kocha się on w tobie szalenie... wiem o tém, ale również prawie lęka się obrazić na siebie swą familią.

— Cóż ztąd? — niedbale zapytała Delicya.

— To, że nie można jeszcze wiedzieć napewno, kto zwycięży: my, czy familia.

— O! niech mama będzie zupełnie o to spokojną. Że Cezary nie porzuci mnie, za to już ja ręczę.

— Tak, ale wlec się to może do nieskończoności...

— To i owszem. Ja cieszę się zwłoką tą... bardzo się cieszę...

— Nie rozumiem ciebie, Delciu. Alboż sądzisz, że możemy tu długo siedzieć tak i expensować się w Warszawie? Nie jesteśmy takimi milionerami, jak Pompalińscy...

— Czy wie mama — przerwała nagle Delicya, znacząco na matkę patrząc — czy wie mama, że hrabia Wilhelm dziś, lub jutro, do Warszawy przyjedzie...

— Wiem, słyszałam! — z wyraźnem niezadowoleniem odparła matka. — Ależ proszę cię, Delciu, nie zajmuj tém sobie ślicznój twój główki... lepszy wróbel w ręku, niż orzeł...

— Moja śliczna główka — uśmiechnęła się Delicya — stara się z całej siły o tém nie myśleć... ale cóż poradzę na to, kiedy mi serce ciągle... ciągle mówi o czémś takiem miłym... takiem miłym... że ach!...

Uderzyła w klawisze i zanuciła znowu półgłosem:
„*Si tu savais, comme je t'aime...*“

W téj chwili wszedł do saloniku służący hotelowy i wręczył pani *Żulietcie* wizytową kartę.

— Cegielski! — przeczytała pani *Żulietta*. — Czy wiecie — zwróciła się ku dzieciom — kto jest ten pan? to pełnomocnik Pompalińskich! ciekawam, co to takiego być może?

— Prosić! — rzekła głośniej do lokaja, i z pozornym spokojem zasiadła na kanapie, ale ręce jęj i usta drżały lekko.

— Z czém oni go przysyłają do nas? — szepnęła.

W téjże chwili zjawiała się we drzwiach poważna postać i uroczyście nastrojona fizyognomia pełnomocnika hrabiów Pompalińskich.

Po krótkim, ceremonialném bardzo, powitaniu, poseł hrabiny Wiktoryi głos zabrał. Głos to był zniony nieco, i wyraźnie bardzo zmieszanie głębokie zdradzający. Nigdy, przenigdy, ze słów klientki swęj i rodzaju misyi, którą go ona obarczyła, wnosząc, pan Cegielski spodziewać się nie mógł, aby rodzina, do której przybywał, tak wytwornie, szlachetnie i dumnie wyglądać mogła.

— Przybywam tu — zaczął — z poleceniem daném mi przez klientkę moję, panią hrabinę Jarosławową Pompalińską...

Zatrzymał się i przelotnie spojrział na Delicyę, która, wsparta lekko o ramię siedzącego brata swego, patrzyła na niego swemi prześlicznemi, turkusowemi oczyma, z głębokim spokojem.

— Racz pan nie krępować się obecnością tu dzieci moich — zwolna i bardzo zimno wyrzekła pani *Żulietta* — ja dla nich i one dla mnie tajemniczych nie mamy.

Prawnik skłonił się lekko.

— Misya, z którą przybywam — zaczął bardzo powoli i widocznie dobierając wyrazów — misya, z którą tu przybywam, jest drażliwej natury. Śmiem jednak mieć nadzieję, że, przez wzgląd na neutralną tu całkiem rolę moję, na to, iż tylko i jedynie przez szacunek, jaki mam dla pani hrabiny Jarosławowej, zgodziłem się na spełnienie włożonego na mnie przez

nią poselstwa, łaskawa pani nie raczysz poczytać mię za zuchwalca.

— Słucham pana! — z jednostajnym ciągle wyniosłym trochę chłodem, — rzekła pani *Żulieta*.

— Słuchamy pana! — wymówił Henryk i, prostując się nieco, utkwiał w twarz prawnika wzrok, wyrażnie do poznania dający, że, w razie niestosowności jakiej... matka jego i siostra będą w nim miały mężką opiekę i obronę.

— Śliczna jakaś, kochająca się, prawdziwie dystygowana rodzina, — pomyślał prawnik i milczał długo, dłużej zapewne, niż wypadało. Zaruszony jednak położeniem swém, w które koniec końców już się był pograżył, zaczął znowu:

— Nietajném jest może łaskawej pani, iż pani hrabina żywiła oddawna już dla młodszego syna swego pewne zamiary matrymonialne, o które nawet... nawet toczyły się i toczą dotąd układy pomiędzy hrabiami, a inną, wysoko położoną, rodziną... Otóż... otóż... ze względu na te dawne zamiary i układy... z tego tylko jedynie względu... pani hrabina, nieskończenie żałując, iż składa się tak dla niej nie- szczęśliwie, wnosi, że... małżeństwo syna jój z córką łaskawej pani prawdopodobnie do skutku przyjść nie będzie mogło... Nieskończenie, powtarzam, bolejąc nad tém, że wymienione już okoliczności nie pozwalają jój wejść w bliższe, pokrewińskie stosunki z ro-

dziną łaskawych państwa, pani hrabina za pośrednictwem mojem zapytuje...

Tu prawnik utknął znowu w swój mowie. Na twarz jego, dość ucieiwą i myślącą, aczkolwiek ślamazarną, wybijał się coraz widoczniejszy rumieniec.

— Słucham pana, — wymówiła pani *Żulieta* z tym samym, co wprzód, chłodnym spokojem w głosie i na twarzy.

— Słuchamy pana, — z tą samą, co wprzód, mężką powagą, powtórzył za nią syn jój.

Niepodobieństwem już było cofać się. Czując się wewnątrz do najwyższego stopnia nieszczęśliwym, prawnik kończył:

— Pani hrabina tedy, za pośrednictwem mojem, zapytuje: czy łaskawa pani uznać nie raczysz za stosowne i najzupełniej... najzupełniej sprawiedliwe... aby, w razie nie dojsia do skutku pomienionych matrymonialnych zamiarów pomiędzy córką jój a młodym hrabią, rodzina młodego hrabiego... wy... wypłaciła jój... tytułem zwrotu kosztów na podróże i wyprawę położonych... tylko i jedynie tytułem zwrotu kosztów, sumę... naprzykład, sześćdziesięciu tysięcy rubli....

Tu w całej swój wysokości powstał z krzesła Henryk.

— Panie! — przerwał.

Ale nie dała mu mówić pani *Żulieta*. Z twarzą, której zwiększona tylko boleść zdradzać mogła we-

wnętrze doznawane wzruszenie, ale po której nieruchomości, najzupełniej spokojnych rysach błdził leciuchny uśmiešek, więcej żartobliwy, niż szyderski lub wzgardliwy, matka Delicyi skinęła ręką ku synowi w sposób łagodny, lecz zarazem stanowczy.

— Pozwól, Henryku! — rzekła, — a zwracając się do prawnika, wymówiła powoli i chłodno:

— Poselstwo pani hrabiny napelnia mnie prawdziwem zdumieniem. Nie spodziewała-bym się nigdy, aby osoba, tak wysoko położona w świecie, jak pani hrabina, posiadać mogła jakiekolwiek wiadomości z dziedziny handlu... i to handlu sercami i istnieniami ludzi. Co do mnie, jestem wiadomościom i manipulacyom podobnym najzupełniej obcą, i nie wiem nawet zapewne, czy dobrze zrozumiałam tę, którą mi pan w imieniu pani hrabiny przedstawić raczyłeś.

Tu podniosła się p. *Żulieta* z kanapy, i w postawie stojącej już, spokojnie wyniosłej, dokończyła:

— Być może, iż pani hrabina, jako osoba słynna nie tylko z cnót swych, ale i ze swjej mądrości, potrafiła ocenić na brzęczącą monetę uczucia i szczęście syna swego. Wyznaję, iż podobnie przezorną matką nie jestem, i że zagadnienie, do jakiej mianowicie cyfry sprowadzić się da przyszły los mojej córki, zaskoczyło mnie niespodziewanie, tak niespodziewanie, że prawdopodobnie do końca życia mego rozwiązać go nie potrafię. Racz pan te słowa moje powtórzyć pani hrabinie, jako odpowiedź na łaskawie mi uczynio-

ne jej zapytanie, i dodać to jeszcze, że tak ja, jak córka moja, wysoce ceniąc sobie zaszczyt połączenia się z rodziną hrabiowstwa, gotowe jesteśmy zaszczytu tego wyrzec się w pierwszej chwili, w której uczucia hr. Cezarego dla córki mojej jakiegokolwiek ulegną zmianie. Do tej jednak chwili i na zasadzie uczuć tych, czujemy się najzupełniej w prawie tworzenia zamiarów i układania planów, obchodzących bliżej nas i pełnoletniego już hrabiego. Żegnaj pana.

Prawnik powstał, i z twarzą, do szkarłatu prawie zarumienioną, złożył przed panią *Żulieta* ukłon, pełen głębokiego, a szczerzego widocznie uszanowania. Z drugim ukłonem zwracając się ku stojącym obok dzieciom pani *Żuliety*, przelotne na obie ich twarze rzucił wejrzenie. Henryk stał błądy, wyprostowany, z ustami zaciętymi i, jak się zdawało, przez wzgląd jedynie na wolę matki, milczącemi. Delicya wspierała się jedną ręką o ramię brata, drugą przyciskała serce. Twarz jej miała w tej chwili wyraz tkliwego cierpienia, a spływały po niej zwolna z pod spuszczonych powiek dwie grube łzy.

Zaledwie za niefortunnym posłem zamknęły się drzwi mieszkania, pani *Żulieta* podniosła obie ręce do strasznie zmienionej twarzy, osunęła się na kanapę i wybuchnęła spazmatycznym śmiechem i płaczem.

— O! — wołała przerywanym łkaniami głosem, — o Delicyo! najdroższe, złote dziecię moje! Widzisz, jakie to są skutki fatalnego mego wyjścia

za mąż... Całe życie byłam ubogą... nieznana... zarzuconą w kąt zapadły... a teraz... teraz pierwsza lepsza milionerka poważy się proponować mi, abym sprzedała dziecie moje... O, Delicyo! Delicyo! niech cię Bóg strzeże od losu takiego... od takiej niedoli, jak moja!...

Henryk i Delicya rzucili się na ratunek matki. Zlewali skronie jej orzeźwiającemi płynami i całowali jej ręce. Delicya płakała także, choć z cicha. Henryk, nieposiadający się z gniewu i oburzenia, chwycił już za kapelusz, ażeby biedz po doktora dla zanoszącej się wciąż spazmatycznemi łkaniami matki.

Nagle jednak łkania te ustały; pani *Żulieta* wyprostowała się na kanapie, jak struna, i zwróciła ku drzwiom twarz nerwowo drgającą i obłą dwoma strumieniami obfitych łez. Przesilenie to spowodowane zostało, jak można było wnosić, wejściem do salonu hr. Cezarego.

Z za ogromnego bukietu, który niósł w obu dłoniach, twarz młodego hrabiego ukazywała się zmieszana i wylekła.

— Co się tu stało, — zapytał, wchodząc — spotkałem na wschodach Cegielskiego... chciałem zapytać go, ale nie zatrzymał się... leciał po wschodach bez pamięci! Co on tu robił? pani płacze... i pani także... Delicyo... i ty płaczesz! co się tu stało?

— To się stało, panie hrabio — uroczyście, powstając z kanapy, wyrzekła pani *Żulieta*, — że z wiel-

kim żalem .. ale zmuszoną jestem odmówić panu ręki mojej córki!...

Bukiet wypadł z rąk Cezarego i leżał u stóp jego na posadzce. Po twarzy przemknęło mu drgnienie strasznej trwogi. Otworzył usta, ale nie miał siły wydobyć z piersi głosu.

— Tak, — podjął Henryk, — przykro nam, wierząc, Cezary, że przykro to nam bardzo, ale nie możemy uczynić inaczej. Musimy odmówić ci ręki Delicyi...

— Panie hrabio! — dodała Delicya, prostując się z dumnym błyskiem oczu, — racz pan powiedzieć pani hrabinie, matce swojej, że ja nie jestem do sprzedania ani za 60,000 rubli, ani za wszystkie pieniądze, które są pod słońcem.

Cezary błędnem spojrzeniem wodził po otaczających twarzach.

— Nie rozumiem, — szepnął, — nie pojmuję...

— A więc jaśniej wytłumaczę ci wszystko, panie hrabio! — zawołała pani *Żulieta*, hamując z całej siły i bardzo widocznie dreszcz spazmatyczny, który znowu przebiegał po jej ciele. — Pani hrabina przysłała tu pełnomocnika swego z propozycją, abyśmy zerwali z tobą, panie hrabio, a w zamian wzięli od niej 60,000 rubli! Pani hrabina myślała zapewne, że, nie będąc tak bogatą, jak ona, sprzedać mogę serce i szczęście mojej córki. Ale omyliła się, mocno omyliła się pani hrabina... Możemy być ubogimi, możemy wię-

dnać i ginąć nieznane od świata, ale poniżyć się do tak nędznej frymarki... nigdy! przedź już umrzeć z nudów i rozpacz.

— Wierzaj mi, Cezary, — bardzo poważnie zaczął Henryk, — że gdyby coś podobnego spotkało nas nie od kobiety, ale od mężczyzny... dla mnie lub dla niego nie było-by już miejsca na świecie!...

Delicya, blada wciąż bardzo, i ze łzami na rękach drgającymi, usunęła się milcząca we framugę okna.

Boleść i oburzenie ludzi tych były najzupełniej szczerze i głębokie. Sprzedać Delicyę za brzęczącą monetę, jakąż okropna, oburzająca myśl! Jakież trywjalny, grubiański, niesłychany i niewidywany nigdzie proceder!

— Boże mój! — jęknął głucho Cezary, — rozumiem teraz wszystko! O, matko moja! matko!

Mylił-by się ten, kto-by mniemał, że ostatni wykrzyk młodego hrabiego, skierowanym był ku nieobecnemu tu, a rodzonej matce jego. Nie. Skierowanym on był ku pani *Żuliście*, przed którą Cezary na klęczki upadł, i której ręce do drżących od wewnętrzного płaczu ust swych przyciskał.

— O, matko moja! matko! — szeptał, — nie odpychajcie mnie od siebie za winę nie moją! ja bez was już żyć nie mogę! ja, prócz was, nikogo nie mam blizkiego na świecie!

Powstał z klęczek, przesunął dłoń po czole i wyjął:

— Henryku! panno Delicyo!... czy mam was pożegnać? Nie! — zawołał nagle, — nie! wy mnie Kochacie i jesteście tacy dobrzy!... Wy zrozumiecie, że to nie moja wina... że ja sam jestem bardzo... bardzo nieszczęśliwy!..

Zdawało się, że ten wybuch młodego człowieka, tak szczerzy i tak gwałtowny, zmięczył nieco i na korzyść jego wzruszył srodze zranioną w dumie swój rodzinę. Henryk uściśnął mu rękę w smutnym milczeniu, a pani *Żulieta*, po chwilowym namyśle, łagodniej już nieco i spokojniej rzekła:

— Wybacz, panie Cezary, ale powiem ci, że w tym, co nas spotkało, jest dużo twojej winy...

— Mojéj! — krzyknął Cezary z przestachem. —

— Tak, twojéj. Gdybyś bowiem miał więcej odwagi i stanowczości charakteru, familia twoja postępowała-by z nami wcale inaczej. Czyż pan sądzisz, że ja nie wiem o tym, iż tak matka twoja, jak brat, powinni byli już oddawna, według tego, jak powszechnie dzieje się na świecie, oddać nam wizytę i starać się o zabranie z nami znajomości? Czy kto z rodziny pańskiej raz choćby ukazał się u nas, lub choćby jedną wyrządził nam grzeczność? Bynajmniej. Znać nas nie chcą, a wedle plotek, na świecie krążących, Bóg wie nawet, co o nas w kółkach swych rozgadują. Czy sądzisz pan, że zniosła-bym to wszystko,

gdyby nie wzgląd na uczucia Delicyi i nie to przywiązanie, które dla ciebie powzięłam?..

— O, pani moja droga! najlepsza! jedyna na świecie, matko moja! — szeptał Cezary, całując znowu ręce pani *Żuliety*.

— Otóż, — coraz łagodniej już ciągnęła matka Delicyi, — gdybyś pan miał, panie Cezary, więcej hartu i stanowczości, termin ślubu byłby już oddawna naznaczonym, familia pańska o nim uwiadomiona, a wtedy wszystko zaraz było-by inaczej... Nie mówię tego w celu skłonienia pana do jakichś kroków, bo po tém, co dziś zaszło, wątpię nawet, czy nie byłabyś zmuszoną odrzucić ich stanowczo.

— O nie! nie! — zawołał Cezary, — nie mów pani tego! to w żaden sposób być nie może! ja nie mogę być tak nieszczęśliwym!

Mówiąc to, z niezwykłą sobie żywością, z błyszczącym okiem, przybliżył się do Delicyi.

— Panno Delicyo! — rzekł drżącym głosem i starając się spojrzeć w twarz jęj, ku oknu zwróconą, — czy pani mi przebaczasz?

Delicya podniosła nań spojrzenie, wpół dumne jeszcze i rozżalone, wpół miękkie już i przyjazne.

— Matce pana nie przebaczę nigdy — wyrzekła — ale panu nie mam nic do przebaczenia.

— Owszem pani — ze szczególną jak na niego mocą i bardzo smutnie zarazem, odparł Cezary, — matka pani miała słuszość... byłem dotąd, jak zwy-

kle, nieśmiałym, nierozsądnym, *bon á rien*... ale dziś dopiero zobaczyłem, co szczęściu memu zagraża... dziś przekonałem się, jakie-by to było straszne, straszne dla mnie nieszczęście!

Pochylił się nisko nad narzeczoną i cicho bardzo wyszeptał:

— Delicyo! aniele mój śliczny! czy nie straciłaś dziś swojej... swojej życzliwości dla mnie?...

— Jestem taką, jaką byłam, — z cicha téż odpowiedziała Delicya.

Cezary podniósł twarz, która w téj chwili piękniejszą była nieledwie, takie gorące oblewało ją uczucie, tak silny blask niezłomnego jakiegoś postanowienia gorzał mu w oczach.

— Czy pozwolicie mi przyjść tu znowu za godzinę? — pytał.

Pani *Żulieta* zdawała się namyślać przez chwilę.

— A! — rzekła, — powinna-bym powiedzieć: nie! ale taką już mam do ciebie słabość, kochany panie Cezary, i tak boleśnie było-by nam wszystkim rozstać się z tobą...

— Przychodź, przychodź, Cezary! — dokończył Henryk, — cóż robić? na świecie wszystko znieść trzeba... od kobiet mianowicie; a czemuż-byś znowu ty miał pokutować za arytmetyczne pomysły swęj matki.

— Jedną tylko rzecz waruję sobie, — z powagą rzekła jeszcze pani *Żulieta*, — abyś, kochany Cezary,

historyom podobnym raz na zawsze zapobiegł i aby ślub wasz, moje dzieci, jak można najwięcej był przyspieszonym... Pozostałam na wsi męża i syna, wracać muszę...

Po tak łaskawie udzieloném sobie przebaczeniu, Cezary opuścił hotel Europejski ze spotęgowaną w dwójnasób miłością i wdzięcznością w sercu dla rodziny téj, która powtórnie dziś adoptować go raczyła za członka swego. Szedł ulicą szybko bardzo, zamyślony, lecz zarazem błogiem i uczuciami i nadziejami widocznie przejęty. Wszedłszy do pałacu, posłał pierwszego spotkanego sługę na górę z zapytaniem, czy hr. Światosław, stryj jego, przyjął go zaraz zechce.

Hr. Światosław przyjął. Cezary wszedł do gabinetu stryjowskiego krokiem powolnym, lecz równym i pewnym, ze spokojnym, myślącym wyrazem na bladéj trochę twarzy.

ROZDZIAŁ VI.

Kryształowe źrenice starego hrabiego, z dość widocznie obudzoną uwagą, zatoneły na chwilę w rysach i postaci synowca.

— *Bonjour César? qu'y a t'il donc-de nouveau?* co tam nowego?

Cezary stanął o parę kroków od stryja, ramieniem wsparty o gzems kominka. Gdzież się podziiała zwykła niezręczność jego postaci? Nie spojrzał ani razu na swe ręce; patrzył w przestrzeń wzrokiem dziwnie jakoś przejmującym, głębokim.

— Mój stryju, — wyrzekł głosem stłumionym trochę lecz pewnym, — przyszedłem do ciebie ze skargą.

— *Voilà!* — wymówił stary hrabia, — ze skargą? do mnie? i na kogoż-to masz się skarżyć przede mną, mój Cezary?

— Na moję matkę—odparł młody hrabia, a żrenice błysnęły mu pod wpół spuszczonej powiekami, światłem prawie pojętnym.

— Syn, skarżący się na matkę, a do tego jeszcze taki syn, jak ty, na taką matkę, jak twoja! ależ to rzecz całkiem nowa dla mnie? — zwolna i bardzo obojętnym głosem, lecz nie odwracając oczu od twarzy synowca, mówił stary hrabia. — Dla-czegoż z tą skargą nie idziesz do samej pani hrabiny?

— Dlatego, — odpowiedział Cezary, — że moja matka nie chce wcale mówić ze mną o tém, co mnie więcej obchodzi, niż wszystko na świecie... Moja matka posyłała dziś pełnomocnika swego do rodziny, która przybrała mię już za syna, proponując, aby odmówiono mi ręki kobiety, którą kocham, a wzięto w zamian od mojej matki 60,000 rubli.

Ciemny rumieniec oblał mu twarz, gdy wymawiał ostatnie wyrazy. W piersi jego, pomimo że mówił głosem powściągliwym i cichym, słychać było tłumioną burzę. Powieki starego hrabiego drgnęły, na ustach jego osiadł wyraz niesmaku. Jakkolwiek mało troszczył się o wszystko i wszystkich na świecie, postąpienie hrabiny niemile drasnąć w nim musiało strunę wrodzoną i w życiu wielkoświatowém ukształconą delikatności.

— *Mais mon cher*, — rzekł po chwili, — *suis-je le précepteur de votre mère?* Pani hrabina miała zape-

wne powody swe, aby tak postąpić; dlaczegoż więc z wiadomością tą przychodzisz do mnie?

Cezary milczał chwilę. Nie układał on był wiodcznie planu rozmowy swej ze stryjem, a niewprawnemu w mówienie i do głębi wzruszonemu, trudno było zdobywać się na szybkie odpowiedzi. Po chwilo- wém jednak milczeniu, mówić zaczął:

— Mój stryju! mam dwadzieścia trzy lata... jestem więc pełnoletnim i myślę, że mam prawo ożenić się z kim zechcę... Nie chciałem jednak czynić tego bez wiedzy mamy i stryjów... pisałem, a później mówić chciałem o tém, ale nikt mię wysłuchać nie chciał. Mama, *l'abbé* i stryj August, postąpili ze mną, jak z dzieckiem lub idyotą, z którym mówić niewar- to... bolało mnie to bardzo, ale... mniejsza o to! Po- tém jednak postąpiono gorzej, bo bez żadnej przy- czyny ubliżono okropnie rodzinie dobrej i zacnej, za którą... za którą oddał-bym z chęcią życie moje. Nie wiem już, jakim sposobem, mój stryju, ale przyszło mi na myśl, iż bardzo być może, że nie jestem ani dziec- kiem, ani idyotą...

— *Enfin*, — zaledwie dosłyszalnie szepnął stary hrabia, nie spuszczając wciąż nadzwyczaj już uwa- żnych i badawczych oczu z twarzy synowca.

Ponieważ zaś, — coraz płynniej już i śmieliej cią- gnął Cezary, — ponieważ zawsze, od urodzenia mego słyszałem, że ty, stryju, jesteś głową rodziny naszej, ponieważ byłeś prawnym opiekunem moim, dopóki

nie przestałem być małoletnim; do ciebie więc, stryju, przyszedłem teraz, ażeby stanowczo oświadczyć, że od ożenienia się z panną Kniksówną nic na świecie odstąpić mnie nie może i że, choćby... (tu głos Cezarego zadrżał, a twarz jego powlokła się smutkiem), choćby mi przyszło zostać zupełnie i na zawsze już obcym własnej mej rodzinie, ślub mój z panną Kniksówną nastąpi nie później, jak najdalej za miesiąc...

Oddawna już, od lat dziesiątka może, nikt nigdy nie widział w oczach hr. Swiatosława takiego wyrazu, jak ten, z którym patrzył na twarz synowca. Było to zdziwienie, połączone z tajemnie doznawanym zadowoleniem jakimś, które jednak zniknęło całkiem, gdy wzrok hrabiego pomknął ku przeciwległej ścianie i zatrzymał się na zawieszonym tam dagerotypie, młode i piękne dziewczę przedstawiającym. Dość długo milczał. Można-by mniemać, że namyślał się, a może i wahał pomiędzy dwoma sprzecznymi uczuciami. Nakoniec, nie spuszczać wzroku z dagerotypu, w pełni teraz oświetlonego padającym nań z okna promieniem słonecznym, ozwał się z wolna i zimno:

— A gdybym ja także powiedział ci, Cezary, że małżeństwo, o którym mówisz, nie przyjdzie i przyjsć nie może do skutku?

Cezary milczał chwilę.

— Mój stryju, — rzekł ze smutkiem w głosie, — musiał-być ci powiedzieć, że mylisz się.

— Kto wie? — wymówił stary hrabia. — *Ecoutez moi bien, César!* Jestem stary i chory... prawdopodobnie długo już żyć nie będę. Każdy z was, synowców moich, odziedziczy po mnie część mego majątku, a każda z tych części, Cezary... to miliony...

Umilkł na chwilę i patrzył znowu na synowca bardzo zimnymi i bardzo przenikliwymi oczyma. Ale twarz Cezarego pozostała nieruchomą, nie odmalowało się na niej wrażenie najłżejsze.

— Otóż więc, — coraz wolniej i dobitniej ciągnął stary hrabia, — żenić się z tą... tą panną nikt ci zapewne wzbronić nie jest w możności, bo, jak słusznie powiedziałeś, jesteś już pełnoletnim. Uważam sobie tylko za konieczność oświadczyć ci, że jeżeli małżeństwo to przyjdzie do skutku, ja cię z przynależnej ci części spadku po mnie wydziedziczę... Uczynić to mogę w najrozsądniejszy sposób, a uczynię z pewnością, powtarzam tylko raz jeszcze, że część ta, to, mój Cezary, miliony... miliony...

Ostatni wyraz hrabia wymówił z cichem, lecz przeszywającym sykniciem. Cóż naksztalt tłumionego, krótkiego śmiechu zatrzęsło na mgnienie oka zapadłą piersią, a ze źrenic przezroczystych strzelił ku twarzy Cezarego błysk ostry i szyderski. Ale twarz Cezarego pozostała jak wprzód nieruchomą, przemknął po niej tylko cień smutnego jakiegoś uśmiechu.

— Mój stryju, — wymówił z cicha i nie podno-

sząc głowy — jaż przecie mam własne miliony, po ojcu wzięte, a czy... byłem szczęśliwy?

Teraz dopiero podniósł na stryja oczy, w których błyszczała wielka łza.

— Nie, mój stryju — dodał — nie miałem dotąd ani jednej minuty szczęśliwej w mém życiu, a przecież... przecież ojciec mój miał i mnie pozostawił — miliony.

— Dziękuję ci więc, mój stryju — mówił dalej po chwilowém milczeniu — że, myśląc o innych synowcach swych, myślałeś i o mnie... Nieraz... nieraz myślałem sobie, że nikt nigdy nie myśli o mnie i że jestem tak, jak-bym nie był niczym synem, ani synowcem, ani bratem... O życzliwość twą, mój stryju, prosić cię nie śmiem, bo wątpię, czy ktokolwiek z rodziny méj może mi być życzliwym... pragnę jęj przecież bardzo... ale milionów twoich, mój stryju, nie pragnę wcale i, gdyby mi trzeba było oddać wszystko, co sam posiadam, za jedną chwilę spędzoną z kobietą, którą kocham, i z jęj dobrą, drogą rodziną, oddał-bym chętnie, mój stryju... natychmiast...

Umilkł. Milczeli długo obaj. Spójrzenia starego stryja, zaciekawione nagle doznaniem zdziwieniem, zmaczone, tonęły głęboko w jasnym, z lekka tylko mgłą marzenia przyćmioném, spójrzeniu synowca.

— I... i... — zaczął stary hrabia — i ty wierzysz w to, Cezary, że ta kobieta kocha cię szczerze... istotnie?

— Wierzę — odpowiedział Cezary bez chwili wahania, z cicha, ale z taką mocą, że wazkie wargi hrabiego drgnęły uśmiechem jakimś nieokreślonym, sztyderskim trochę, a trochę bolesnym.

— Pojmuję — zaczął po chwili — że w twoim wieku można jeszcze wierzyć w rzeczy podobne i za niemi się uganiać. Widzę cię dziś zmienionym, Cezary, bardzo zmienionym i... nie powiem, aby mi to przykrość sprawiało. Z tém wszystkiém, że do projektu małżeństwa tego, który... pozwól, abym ci to powiedział... jest projektem ze wszech stron oplakany, zdania mego jeszcze nie zmieniam... jeszcze! i sprzymierzeńcem twoim być nie przyrzekam...

Tu oczy hrabiego przesunęły się znowu po ścianie, wśród której wisiał mały, od słońca teraz błyszczący dagierotyp.

— Zaczekaj jeszcze trochę... — dodał z wyraźném wahaniem w głosie, — przyjdź do mnie za dni dwa... trzy... a wtedy powiem ci, co postanowię. W każdym razie mężczyzną jesteś, nie dzieckiem już, jak to widzę teraz... ze mną więc, czy przeciwko mnie, masz prawo czynić, co ci się podoba...

— Mój stryju! — z serdecznym wybuchem zawołał Cezary — czegoż-bym się nie wyrzekł dlatego, aby módz zadowolnić ciebie, stryju, i... innych. Jedną tylko rzeczy nie wyrzekł-bym się dla niczego pod słońcem: ludzi, których kocham i... którzy mię kochają!

— Kocham, kochasz, kocha, kochają... — uśmiechnął się stary hrabia. — Jakże młodym, bardzo młodym, jesteś jeszcze, mój Cezary! Al! życzę ci, abyś młodości twój nie zatopił wkrótce w gorzkiem morzu próżności i nicości świata tego!

Zdawało się, że stary hrabia mówić chciał coś więcej jeszcze. Nigdy, a przynajmniej od bardzo dawna, nikt nie widział, aby kryształową oczy jego z tak wyraźnym upodobaniem spoczywały na twarzy czyjśkolwiek, jak teraz na twarzy synowca. Ale otworzyły się drzwi od przyległych salonów i kamerdyner Bartolomé oznajmił Jaśnie Wielmożnych Hrabów Augusta i Wilhelma Pompalińskich.

ROZDZIAŁ VII.

Czytelniku! oto jeden jeszcze egzemplarz, jeden jeszcze, a od wszystkich innych odrębny, typ hrabiego Pompalińskiego! Zewnętrznie typ to był istotnie piękny. Z wysoką, siłą pełną, a zarazem posągowo kształtną postacią, z ciemno płowemi włosy, kręcącymi się w tysiące pierścieni, z białą jak u kobiety twarzą i od matki Niemki wziętym, błękitnym jak niebo, powłóczyśnym okiem, hrabia Wilhelm był z pewnością jednym z najdoskonalej pięknych młodzieńców, jacy istnieli kiedykolwiek na kuli ziemskiej. Pomimo sposobu życia niesłychanie urozmaiconego, pomimo długich a na pozór przynajmniej wszechstronnie rujnujących pobytów w Paryżu, Homburgu, Wiedniu i wszelkich innych europejskich zbiorowiskach zbytku i rozkoszy, hrabia Wilhelm zdawał się być uosobieniem świeżości i młodzieńczości, tak fizycznej, jak mo-

ralnej, co tém bardziej zadziwiać mogło, ile że stryjeczny brat jego, Mścisław, o dwa lata młodszy od niego i ani części niedosiegający go nigdy w przeróżnych zapasach życiowych, był już, jakeśmy to widzieli, trupem nieledwie, sztucznie od czasu do czasu galwanizującym się wybuchami gniewu lub pychy rodowej. Świetny rezultat ten, przedstawiający rzadko gdzie indziej widywaną zgodność burzliwego i wyczerpującego życia z wiekuiście trwającą świeżością sił, tak cielesnych, jak duchowych, hrabia Wilhelm zawdzięczał nie czemu innemu, jak wzorowemu pod wielu względami wychowaniu, od ojca swego otrzymanemu. Konna jazda, gimnastyka, myśliwstwo, pływanie, były to żywioły, w których hrabia August sam lubował się namiętnie, w które też syna swego, od kolebki niemal, niby w nurtach zdrowio i siłodawczej rzeki pogrążał. W dodatku, gdy hrabia Mścisław od pierwszych dni swego życia nieustannym był świadkiem trosk i zachodów, przez ojca swego, szczególnież zaś przez matkę, około wielkości i świetności rodu dokonywanych, w domu hrabiego Augusta troski te i zachody milkły jakoś i znikwały wśród różnych gwarów myśliwskich lub srebrnych dźwięków stołowych zastaw, tak, że pierwszy z młodzieńców wędnał i gorzkniał w wiecznie otaczającej go atmosferze pokornych wzgard i rezygnacyjnych wyrzekań hrabiny; drugi rozkwitał i skrzydła szeroko rozwijał w swobo-

dnem, hulaszczém, nieskazitelnie różowém otoczeniu swego ojca.

Tak więc ogromna różnica usposobień dwu stryjecznych braci sprowadzała się istotnie do zachodzącej pomiędzy nimi różnicy zdrowia i humoru.

Cokolwiek bądź, hrabia Wilhelm mógłby śmiało pozować rzeźbiarzowi do symbolu wesołości i swobody młodzieńczej. Dużo słodyczy i miękkości było w spójrzeniu błękitnych jego oczu; ponsowe usta uśmiechały się z pod złotego wąsika, tak jak gdyby do świata Bożego mówiły: — Luby czarownik! wielbicielem twym jestem i niewolnikiem!

Wizyta dwóch wesołych hrabiów w sztywnym gabinecie lodowatego starca nie trwała długo. Poprzedzeni o kilka minut przez Cezarego, który, śpiesznie wybiegłszy z pałacu, dążył już ku Europejskiemu hotelowi, ojciec i syn rozłączyli się na wschodach i, gdy pierwszy, z zamysłonym uśmiechem na pulchnych wargach, udawał się do apartamentów hrabiny Wiktoryi, drugi, nie anonsując się nawet, z piosnką, świeżo w Wiedniu przedstawianą, Ofenbachowskiej opery, jak promień słońca, lub jak wesoły ton muzyczny, wpadł do przyćmionego wiecznwie i cichego saloniku hrabiego Mścisława.

— *Dieu des Dieux!* — zawołał w progu jeszcze — ty śpisz, Mścisławie! My z papą jedziemy zaraz na przyjacielski obiad do hrabiego Gucia, a ztamtąd

do angielskiego klubu na partyjkę *écarté*, a ty śpisz, Mścisławie?

Mścisław nie spał. Leżał tylko rozciągnięty na szezlongu, z oczyma utkwionemi w sufit, z cygarem w ustach. Z powodu jednak spuszczonej rolet, w saloniku było tak mroczno, że można było wybornie omylić się i wziąć go za śpiącego.

— Ależ ja nie śpię, Wilhelmie — rzekł, podnosząc się z wolna, młody hrabia, i poskramiając nerwowe drgnienie, spowodowane nagłym wejściem i głośnym przemówieniem stryjecznego brata — jestem tylko trochę niezdrów i zdaje mi się, że będę miał dziś wieczorem straszną migrenę! W dodatku, *je m'ennuie furieusement!*

— Biedny ty jesteś, mój Mścisławie, z temi nudami i migrenami swemi! — ulitował się nad bratem Wilhelm. — Jak żyję, nie miałem migreny i nie posiadam najmniejszego pojęcia o tém, jak stworzenie to wyglądać może. Wiem tylko, że gdybym ze trzy dni posiedział w tój twojej ciemnicy, dostał-bym z pewnością nie tylko migreny, ale i spazmów, co najmniej zaś, strzelił-bym sobie w łeb z tęsknoty za światem!

Mówiąc to, zbliżył się ku oknu i jednym pociągnięciem sznurka podniósł fałdzistą, grubą roletę. Potok słonecznego światła zalał część mrocznego pokoju i tysiącennym odbiciem zamigotał na posadzce, zwierciadłach i złożonych ramach obrazów. Mści-

ław mrugnął kilka razy powiekami, jak ktoś nagle i boleśnie światłem olśniony.

— Osłepniesz — zaśmiał się, patrząc na niego hrabia Wilhelm — zobaczysz, że osłepniesz, jak będziesz dłużej całemi dniami zamykał się w podobnych ciemnicach. *Tu deviendras aveugle* i nie będziesz mógł nigdy już świata oglądać... a szkoda-by była! Jest co widzieć!

— Widziałem już wszystko, co mogło być widziannem — mruknął hrabia Mścisław, pokładając się znowu na szezlongu. — Nie pojmuję — mówił dalej — jak możesz być wiecznie tak wesołym, Wilhelmie? Tyle jest w życiu zmartwień, zgryzot, kłopotów...

— Doprawdy? nie o tém nie wiem, mój drogi! A! a! przypominam sobie! papa opowiadał mi, że macie tu podobno zmartwienie wielkie z Cezarym, który żeni się z jakąś panną... *chose...* jakby powiedział mój papa! Spotkałem przed chwilą Cezarego u stryja Światosława i mało brakło do tego, abym go nie poznał... Czy wiesz, że na teraz minę człowieka *tout à fait comme il faut* i, będąc na waszém miejscu, nie myślał-bym mu przeszkadzać w jego tych amorach... być może bowiem, iż stopniowo wykształciły-by go one na młodzieńca zupełnie idealnego.

— Mało to mię obchodzi, czy brat mój będzie kiedy młodzieńcem idealnym, czy nie będzie — z chmurzącą się już twarzą odparł Mścisław. — Wiem tylko to, że mezalians podobny był-by skandalem

i wstydem dla nas, do którego matka moja i ja, a jak spodziewam się, i ojciec twój także, i stryj Światosław, nie dopuścimy nigdy...

— I pozwól sobie powiedzieć, *mon cher*, że źle uczynicie — przerwał poważniej już trochę hrabia Wilhelm — poco ludziom psuć szczęście? niech-by sobie kochali się i pobrali, a na twojem miejscu będąc, *j'en ferais mon profit*. Piękna i młoda bratowa... takiego szczególnież męża, jak Cezary, żona... Ależ to, *mon cher*, widoczna łaska Bozka dla ciebie...

— Mówisz jak dziecko, *Guillaume* — z wyrażnie już gniewnym sykniciem i przypodnosząc się nieco na szezlongu, rzucił Mścisław — nie wiesz chyba, jakie są procedenye tej... panny?

— Tra, la, la! — zanucił Wilhelm — wiem, wiem, że nie ma ona żadnego prapradziada, i że nikt wcale jęj nie rodził! Ale mój drogi, zdaniem mojem, każda kobieta piękna i miła jest kobietą doskonale urodzoną...

— Jesteś egoistą, *Guillaume*! Mówisz o tem tak lekko dlatego, że cię to osobiście nie dotyka. Jestem jednak pewny, że ani sam nie uczynił-byś nic podobnego, ani-byś bratu swemu, gdybyś go miał, nie pozwolił...

— Pewność twoja, *mon cher*, nie posiada żadnych podstaw — przerwał, śmiejąc się Wilhelm, — ale mniejsza o to! Kryminalna ta sprawa biednego Cezarego, o której odkąd przyjechałem do Warszawy, ciągle i od

wszystkich słyszę, zaczyna mię już nudzić. Wolałbym o wiele zapoznać się z *istotą czynu*, będącą powodem i główną treścią tej sprawy. Ma to być, jak mówią, istota prześliczna! Ale jak tu duszno u ciebie, Mścisławie! Ani krzty powietrza! dziwię się jak mogłeś dotąd nie umrzeć na asfityę!

Z ostatnimi wyrazami zbliżył się znowu do okna i w całej szerokości otworzył lufcik. Mścisław wyprostował się już na szezlongu i, ręką osłaniając gardło, zawołał pośpiesznie:

— *Mais que fais tu donc, Guillaume?* dostanę znowu tej okropnej chrypki, która prześladowa mię już i bez tego! proszę cię, zamknij lufcik!

— Ani myślę! — zaśmiał się Wilhelm — kocham cię, *cher cousin*, i był-by w rozpacz, gdybyś się tu uwędził na kawał szynki! O! co za rozkoszne, orzeźwiające powietrze! Ubieraj się prędko we frak i jedź z nami na obiad do hrabiego Gucia!

— *Mais tu es devenu tout à fait fou, Guillaume!* proszę cię, zamknij lufcik!

— Wkładaj frak i jedź z nami na obiad do hrabiego Gucia!

— *Mais tu es assomant* z twoim hrabią Guciem! zamknij lufcik, *Guillaume*, proszę cię! ja nie mogę przecież z tem mojem usposobieniem do chrypki zbliżyć się do otwartego okna...

— A więc nie zbliżaj się, ale idź do swego gabinetu i wkładaj frak.

Hrabia Mścisław, z błyskającymi już od gniewu oczyma, poskoczył ku taśmie od dzwonka i szarpnął nią gwałtownie.

— *Georges!* — krzyknął prawie do wchodzącego kamerdynera — zamknij lufcik

— *Georges* — plecami zasłaniając okno, odezwał się hrabia Wilhelm — *dis-mois, Georges*, od ilu już dni hrabia Mścisław nie wychodził ze swego mieszkania.

— Pan hrabia od pięciu dni nie opuścił ni razu swego apartamentu...

— Uwędzisz się, Mścisławie, *comme j'aime papa*, uwędzisz się! — zanosił się od śmiechu hrabia Wilhelm.

— *Tu mens!* — krzyknął do kamerdynera swego hrabia Mścisław — *tu mens Georges!* nie od pięciu, ale od trzech dni nie wychodzę z mieszkania mego... Zamknij lufcik, *Georges*, zamknij lufcik!

— Pan hrabia wybaczyć raczy — z ukłonem odparł służący — ale nie od trzech dni, lecz od pięciu...

— *Quand je te dis*, że od trzech... zamknij lufcik...

— Od pięciu, panie hrabio...

Mówiąc to, kamerdyner zbliżył się do okna i, wyciągając ramię ku lufcikowi bronionemu wciąż przez zanoszącego się od śmiechu hrabiego Wilhelma, rzucił ze stojącego obok stolika wazon porcelanowy, który rozbił się w kawałki.

— *Qu'à tu fais? Georges! qu'à tu fais? qu'à tu fais?* zamknij lufcik!... od trzech dni nie wychodziłem...

— Stłukłem wazon, z Drezna przywieziony, panie hrabio! Od pięciu dni pan hrabia...

— *Voilà qu'il recommence! Va t'en! Georges va t'en!* stłukłeś mi wazon umyślnie!

— Nie, panie hrabio, stłukłem go, spełniając rozkaz pana hrabiego. Od pięciu dni pan hrabia nie wychodził ze swego mieszkania...

— Od trzech dni, *insolent, menteur, sansculotte, que tu es! Va t'en! va t'en! va t'en!* Umyślnie stłukłeś wazon!

— Nie umyślnie, panie hrabio! — dokończył Żorż, i, obszedłszy pokój w ten sposób, aby ręka pana jego dosięgnąć go nie mogła, wysunął się za drzwi.

Hrabia Mścisław szerokimi i szybkimi krokami przebiegał salon.

— O! ci ludzie — wołał — ci ludzie! wołał-bym być na pustyni z lwami, albo na dnie morza z wielorybami...

— Cha, cha, cha! — zanosił się wciąż srebrnym, nieposkromionym śmiechem hrabia Wilhelm — zawsze jednak masz gusta królewskie! na pustyni czy na dnie morza, potrzebujesz do towarzystwa swego królów zwierząt, lub królów ryb!

— Chwili spokoju mieć nie można! — nie zwracając uwagi na wtrącenie się brata, wyrzekał dalej hrabia Mścisław — gryzą, męczą, nękają, gniewają! zdaje mi się, że wylądowałem gdzieś na wyspę, zamieszkiwaną przez dzikie ludy!

— Dziękuję za komplement! — śmiał się wciąż hrabia Wilhelm — nie potrzebując przecież, jak ty, Mściławie, gniewać się, aby czuć, że żyję, nie gniewam się wcale. Wkładaj frak i jedź z nami na obiad do hrabiego Gucia.

Mściław stanął na środku salonu i zmaconym jeszcze wzrokiem spójrzał na brata.

— *Eh bien!* — rzekł — pojadę; rozgniewaliście mię, ty, *Guillaume*, i *Georges* wściekle... Czuję się jakoś wstrząśnionym...

— *E viva!* wkładaj frak, Mściławie! Papa zaraz przyjdzie tu od hrabiny po nas!

— *Mais... mais...* nie jestem zaproszony...

— *Qu'à cela ne tient!* pocziwy Gucio rad będzie nieskończenie ze zwiększoną ilości biesiadników! *Tiens!* a po obiedzie pojedziesz z nami do klubu?

— *Georges!* — wołał hrabia Mściław — *mon frac et ma voiture!* i wybierz tam sobie, co chcesz, z mojej garderoby!

Po kwadransie, zgrabne tilbury hrabiego Wilhelma, ciągnięte jednym, ale olbrzymiej wielkości i ogromnej ceny koniem, z turkotem i łoskotem wyjeżdżało z pałacowej bramy na ładną ulicę. Wilhelm, siedząc obok wygalowanego stangreta, w białych swych miękkich dłoniach trzymał jedwabne lejce, za nim z kawalerską niedbałością rozpierał się w powoziku hrabia August, a obok hrabiego Augusta sterczała cienka i jak pręt żelazny, sztywna postać Mściława,

z gardłem owiązaném ciepłym szalem, z bladą, na pół nadąsaną, na-pół usypiającą twarzą.

O czém hrabia August w czasie krótkiej wizyty swój u bratowej rozmawiał z hrabiną? niewiadomo. Te pewna przecież, że, po opuszczeniu apartamentu jój, miał on na twarzy wyraz ogromnego zadowolenia z siebie, a uśmiechając się filuternie i, jak jemu samemu zdawało się zapewne, niezmiernie przebiegle, pokręcał czarnego wasa, motając nań, jak to mówią, pomysły jakiś, czy nadzieje. Hrabina zaś, po rozstaniu się ze szwagrem, przebiegała długo, największy ze swych salonów krokiem szybkim i niespokojnym, z palcem przyłożonym do ust, które uśmiechały się również do myśli jakiejś, błogięj snadź, lecz zarazem i lekką dozą złośliwości przyprawionęj. Kiedy nakoniec, zmęczona długą przechadzką, stanęła przed oknem, z koralowych ust jój wypłynął krótki, urywany, rzekł-by kto, mój Boże! zjadliwy śmieszek.

— *Mon Dieu! mon Dieu!* — zawołała do siebie — i czegoż-bym nie dała za to, aby, na miejsce Cezarego, ugrzął tam ten ulubiony i sławny Wilu! *que ce damoiseau s'embourbè là dedans...* a pościć będę dziewięć sobót *pour t'en remercier, o! Sainte vierge!*

Nazajutrz, w ślicznym, acz niewielkim pałacyku hrabiego Augusta, w gabinecie, bardzo kosztownie, lecz także bardzo po kawalersku urządzonym, brzmiał długo świeży, dźwięczny, ożywiony głos Wilhelma, a wtórował mu od czasu do czasu barytonowy, ser-

deczném zadowoleniem nabrzmiały, śmiech hrabiego Augusta.

Czy stare medale i monety, zgromadzone w rzeźbionych szafach hrabiego-archeologa, trzęsły się od śmiechu, słuchając opowiadań różnych historyjek, przywiezionych z szerokiego świata przez młodego podróżnika? nie wiem; ale wiem w zamian, że rumiana twarz hrabiego Augusta, nakształt księżycy w pełni, wypływająca po-nad różnobarwne zwoje wschodniego szlafroka, jaśniała niepokalaną, idealną radością; pulchne wargi jego zwolna i ze smakiem ssące bursztynowy cybuszek, uśmiechały się rozkosznie, a oczy, rozpromienione niewymownie miłemi uczuciami, ścigały krok za krokiem piękną i młodzieńczo ruchliwą postać syna, przechadzającego się po pokoju, mówiącego wciąż, giestykulującego, śmiejącego się i przyśpiewującego naprzemian.

Trwało to aż do południa.

— Papal — przerywając nagle opowiadanie jakiegoś o Wiedniu i Florencyi, zawołał hrabia Wilhelm, — cóżbyś powiedział na to, gdy-bym zaraz, natychmiast poszedł złożyć wizytę narzeczonėj z Lamer-moru!

— Jakiėj narzeczonėj? — zapytał ojciec.

— *Eh bien!* téj narzeczonėj, o której posiadanie nasz biedny Cezary tak heroiczne walki stacza z całą rodziną swoją! Do najwyższego stopnia zaciekawia mnie ta historia. Jeżeli panna jest brzydka, *voilà*

la galère! niech ją sobie bierze Cezary, czy kto inny; ale jeżeli jest piękną, szkoda jój dla Cezarego! Taki niezgrabiasz nie potrafi obejść się z ładném cackiem.

— Panna jest bardzo piękną — zauważył hrabia August, nie śmiejąc się już, ale uważnie przypatrując się synowi.

— *Hé! hé! cher papa!* czyś już jój nie widział wypadkiem?

— Widziałem, gdy wychodziła z hotelu. Kazałem ją sobie szwajcarowi pokazać. Niepospolicie piękna blondyna i, co dziwniejsza, *elle a une mine tout à fait distinguée!*

— A ubiera się?..

— *Comme une reine!*

— *Vrai?* a więc czegoż chcecie od tego biednego Cezarka? Choć raz w życiu pokazał, że ma rozum tylko że niepospolicie pięknej blondyny szkoda dla niego...

— Sprobuuj mu ją odbić! — filuternie mrugając powieką, uśmiechnął się hrabia August.

Wilhelm wzruszył ramionami.

— A to mi na co? — rzekł — małoż to na świecie niepospolicie pięknych blondynek? póćóż mam obciążać sobie sumienie łzami tego biednego Cezarka? Gdyby... gdyby została już ona moją bratową... ba! nie żartuję! mógł-bym zgrzeszyć...

— Zgrzesz teraz — przerwał hrabia August — a oddasz przez to nam wszystkim wielką przysługę.

Rozkochaj pannę w sobie, wywieź ją nawet... na czas jakiś za granicę; a potem... no, potem... ty wrócisz do Warszawy, ona do swojej puszczy, a Cezarek tymczasem namyśli się może zostać kapucynem... co byłoby dla niego najwłaściwszém.

— Zbrodnicze miewasz pomysły, *cher papa* — przeglądając się w zwierciadle, rzucił Wilhelm — co do mnie, nie mam wcale ochoty, ani wywozić panny za granicę, ani zapędzać Cezarka do klasztoru. Wszystko mi jedno! niech sobie żyją i kochają się zdrowi i weseli! Zobaczyć to cudo litewskie chciałbym, ale i to niebardzo. Powiedz słowo, *cher papa*, a zamiast do tych pań, pójdę znowu do Mścisława, aby mu rolety odsłaniać i lufki otwierać... Myślałem nawet, że, tak bardzo nie życząc sobie tego małżeństwa, mógł-bys być nierad, jeśli-by ktokolwiek z rodziny zaawanturował się do tych pań z wizytą...

— I owszem — rzekł hrabia August — awanturuj się, mój Wilusiu, awanturuj się z wizytą... Wiem, że jesteś o tyle rozumnym, o ile miłym chłopcem, i że wraz z twoim przyjazdem, bieda ta nasza skończyć się powinna...

— *Ainsi-soit il!* idę tedy do Europejskiego hotelu, wchodzę do mieszkania tych pań... mama dobrodziejka (straszliwe zapewne parafialne czupiradło) powstaje na moje przyjęcie... wie już, kto jestem, bom się zaanonsowałem.

— Paniel hrabio!

— Paniel

— Niech pan hrabia — (ze straszliwym litewskim akcentem) — będzie łaskaw *usiędzie!*

— Upadam do nóżek, pani dobrodziejce! — Konwersacya rozpoczyna się. Zapytuję jak na łąkach litewskich urodziła pszenica. Mama dobrodziejka odpowiada, że chwala Panu Bogu dobrze! syn zaś podchwytuje:

— Co tam mama plecie! kiepsko, panie hrabio, kiepsko!

W tém córeczka odzywa się:

— Ale za to kwiatki moje urodziły!

— Pani lubi kwiatki?

— Pasyami!

— I gołąbki pewnie?

— Pasyami!

— I kurki czubate!

— O, moje kurki czubate! żeby pan hrabia wiedział, jak one lubią jęczmień! — Tu wchodzi narzeczonny, ja powstaję... składam błogosławiące dłonie na obu ich młodych i pięknych głowach, a udzieliwszy w ten sposób braterskiego błogosławieństwa mego, robię *fugę* i prosto od pszenicy mamuni i kurek czubatych córuni, lecę na śniadanie do bozkiej Aurelii, która, między nami mówiąc, znudziła mię fatalnie. Mniejsza o to! lecę do niej, wypijam szampana i przyjeżdżam tutaj, aby złożyć relacyą z nowo zabranéj znajomości u stóp twoich, *cher papa!*

W czasie całego monologu tego, wygłoszonego z odpowiednią słowom gestykulacją, i stosownymi nagięciami głosu, hrabia August śmiał się aż do łez prawie.

— Mój ty miły swawolniku! — zawołał, ujmując głowę syna w obie dłonie i składając głośnie całus na białem, gładkiem, jak u dziewicy, czole jego — zabawiłeś mnie tym swoim sielskim obrazkiem mamuni i córuni, który jednak, zdaje mi się, nie odpowiada zupełnie rzeczywistości. Cegielski widział te panie i powiada...

— Cegielski jest trochę ślepy — przerwał Wilhelm — a w dodatku spełniał tam polecenie tak strasznej natury, że mu wybornie, zamiast tych pań, wszystkie gwiazdy niebieskie stanąć mogły w oczach. Ręczę ci, *cher papa*, że są to jakieś parafialne rarogi! Ale mniejsza o to! ja i na rarogi popatrzeć czasem lubię, gdy mają choć trochę ładne buzie! Trzeba zresztą wszystko widzieć na świecie! leczę więc i wracam około godziny czwartej... ze śniadania u Aurelii!... *Bonjour, papa!*

Trudno-by opowiedzieć całą radość i wdzięczność Cezarego, gdy hrabia Wilhelm, wpadłszy do mieszkania jego, jak błyskawica, oświadczył mu, że pragnie natychmiast, ale to natychmiast, złożyć wizytę narzeczoną jego i jej rodzinie.

— Chcę naprawić błędy moich bliźnich — dodał na-pół seryo, na-pół żartem — i okazać paniom

tym grzeczność, której wszyscy członkowie przedstojnej rodziny naszej dotąd im odmówili! Ożenisz się z tą panną, czy nie ożenisz... tego już nie wiem, ale, że się w niej rozkochałeś, pragnę być dobrym bratem, i pójdę oddać jej należyty pokłon!

Daleko trudniej jeszcze przyszło-by opisać wrażenie, sprawione w salonie pani *Zulietty* wejściem, zamiast, jak zwykle bywało, jednego młodego hrabiego, dwóch młodych hrabiów.

Cezary, z promieniejącą od radości twarzą, przedstawił stryjecznego brata swego. Niewypowiedzianą rozkosz uczuwał, wprowadzając w dom, tyle sobie miły, jednego chociaż członka swój rodziny.

Pani *Zulietta* okazała się, jak zazwyczaj, damą pełną dystynkcyi i dokładnej znajomości światowych zwyczajów; pan Henryk był takim, za jakiego i w powiecie swoim uchodził, to jest młodzieńcem ze wszęch stron *extrêmement bien*; Delicya, jakkolwiek drżała pod malowniczymi falbanami i tunikami sukri swój, srebrnawego koloru z błękitnymi oszyciami, mężnie jednak hamowała gwałtowne swe wzruszenie, i potrafiła powitać gościa tak wdzięcznym, lecz zarazem i poważnym ukłonem, z tak spokojnym, acz słodkim, wyrazem na z lekka zapłonionej twarzy, iż hrabia Wilhelm wprzód, nim usiadł na wskazanym sobie przez panią *Zulietę* fotelu, zatrzymał przez chwilę miękkie a błyszczący wzrok swój na tak harmonijném i wy-

tworném, tak słodko i czysto dziewiczém, zjawisku.

W całej rodzinie téj, najnieprzychylniejsze oko dostrzedz-by nie mogło najłżejszego cienia parafrazy, lub śmieszności jakiegokolwiek. Nie dostrzegł go i hrabia Wilhelm, a gdy po krótkiej, ceremonialnej, bo pierwszej wizycie, opuszczał hotel, rzekł do Cezarego, który go ze wschodów przeprowadzał:

— Winszuję ci gustu, Cezary! narzeczona twoja jest w istocie niepospolicie piękna i sympatyczna, a z kilku słówek, które wypowiedziała, wnoszę, że i rozumek ma nielada! Nie uważaj na nikogo i żeń się z nią! Będziesz miał prawdziwe cacko.

A kiedy Cezary w milczeniu, lecz z głęboką radością i wdzięcznością, dłoń mu ścisnął, hrabia Wilhelm dodał jeszcze:

— Ale, ale! zaprosiłem się do tych pań na jutro... trochę to nieetykietalnie, ale etykieta zbyt czarna i ja, to dwaj przyrodzeni nieprzyjaciele! Byle-by mnie z kimś i komuś ze mną było przyjemnie, nie patrzę ani w kalendarz, ani na zegarek! Otóż, bądź tak dobry, Cezary, zaczekaj na mnie jutro do pierwszej: przyjadę do ciebie i pojedziemy do pań tych razem. Dobrze?

Cezary po stokroć powtórzył-by: dobrze! tak go radowała przychylność, przez brata stryjecznego okazana ukochanym, a tak przez innych gardzonym istotom. Zanim wszedł z powrotem na pierwsze piętro

hotelu, ślubował w myśli Wilhelmowi przyjaźń dogonną i, gdyby w téj chwili wypadła mu potrzeba rzucenia się dla niego w ogień, lub w wodę, uczynił-by to z pewnością, bez chwili wahania się i namysłu.

Radość Cezarego zaémioną przeciw dnia tego została niezwykłym wcale humorem, w jakim, wracając do apartamentu pani *Žulietty*, znalazł matkę i córkę. Matka dziwnie jakoś zamyśloną była przez dzień cały, jakby zmartwioną, i od czasu do czasu niespokojne widocznie wejrzenia rzucała na Delicyą, która, milcząca i bledsza, niż zwykle, ale ze szczególnieja-koś, gorączkowo niemal błyszczącym okiem, niezmiernie mało i jakby z musu tylko rozmawiała z narzeczonym.

W połowie nakoniec wieczora, w chwili właśnie, gdy Cezary, siedząc przy narzeczonej, zdobył się na niezmiernie u niego rzadki objaw zuchwałości, i ująwszy jej rękę, a pochylając się, aby spojrzeć w spuszczone jej oczy, nieśmiało i z cicha mówić jej zaczął o blizkim terminie ślubu; Delicya, nagle i dla wszystkich niespodzianie, zakryła twarz batystową chusteczką, wybuchnęła głośnym, spazmatycznym płaczem i wybiegła do przyległego pokoju, drzwi za sobą zamykając. Wybiegła téż za nią wnet pani *Žulietta* i, niebawem wróciwszy z twarzą zmartwioną bardzo i ze łzą kręcącą się w oczach, oświadczyła, że niespokojną jest o stan zdrowia córki, króra od pewnego

czasu dostawać zaczęła podobnych ataków nerwowych, i że myśli nawet, czy-by nie należało zaraz jutro wezwać dla niej na poradę lekarską kilku książąt medycyny warszawskiej.

Nazajutrz przecież książęta medycyny okazali się zupełnie niepotrzebnymi młodej osobie, która, z cerą twarzy białą, jak lilia, z uśmiechem zdrowia i wesołości na wilgotnych, purpurowych usteczkach,żywioną rozmową przyjmowała wraz ze swą matką dwu wchodzących do saloniku hrabiów. Hrabia narzeczony smutny był jeszcze i niespokojny smutkiem i niepokojem wczorajszym. Tém jaśniej téż, tém świetniej, przy zbladłej nieco twarzy jego i onieśmiałonęj znowu postawie, odbijała młodzieńczych uroków pełną żywość i wesołość stryjecznego jego brata. Śmiało, acz z uszanowaniem wielkiem, hrabia Wilhelm przybliżał się do Delicyi, nieustannie obok niej miejsce zajmował i z góry już, jako przyszłą bratową swą, prosił ją o pozwolenie nazywania się siostrzyczką!

Pozwolenie to udzieloném zostało wśród zobopólnych śmiechów i spójrzeń, w których ktoś upatrzyłby może coś więcej nad zwyczajną towarzyską wesołość i pokrewieńską przyjaźń. Ktoś uważny w uśmiechach tych i spójrzeniach dojrzał-by może coraz bliższe i szybsze dążenie, ku sobie dwu jednostajnie zapalnych natur; niewidzialnie, lecz namiętnie w atmosferze drżące prądy elektryczne, biegnące od

skłonnego do marzeń i miłości spragnionego serca dziewicy, do miękkiej i ku wszelkim rozkoszom życia, z lekkością i płochością ptaka lecącej, duszy młodzińca.

Po dwugodzinnym pobycie w hotelowym apartamencie, wobec zbliżającej się pory obiadowej, hrabia Wilhelm ze śmiechem i z błagalnym na panią *Zuliettę* spójrzeniem, zawołał:

— *Comme j'aime papa!* Róbcie panie sobie, co chcecie, ja dziś ztąd nie wyjdę! Raccie chyba panie zwołać lokajów i rozkazać, aby mnie wynieśli; ale i w takim razie, zapowiadam, że silny jestem i bronić się będę...

Rzecz to była bardzo naturalna, że obie panie, jak téż i pan Henryk, oświadczyli, że nie ich dnia tego bardziej zadowolnić nie może, jak pozostanie u nich na obiedzie i herbacie młodego hrabiego.

— Wieśniacy jesteśmy, panie hrabio — z uśmiechem zupełnie wielkoświatowym dodała pani *Zulietta* — nie trzymamy się téż zbyt ściśle prawideł etykiety, i przekładamy o wiele dobrych, serdecznych przyjaciół nad ceremonialnych gości.

Odpowiadając na łaskawe przyzwolenie to, hrabia Wilhelm z miną swawolnego, rozpieszczonego dziecka, pocałował w rękę panią *Zuliettę*, a przysiadając się znowu do Delicyi, rzekł z cicha:

— Czy jesteśmy naprawdę bratem i siostrą?

— Rzecz to przecież umówiona i postanowiona — uśmiechnęła się Delicya.

— W takim razie — smutnie mówił młody hrabia — ja jestem bardzo nieszczęśliwym bratem, a pani jesteś bardzo złą siostrą!

— Dlaczego?

— Gdybym był szczęśliwym bratem, pozwoliła byś pani, abym jęj podziękował za pozwolenie pozostania tutaj — po bratersku!

Delicya zarumieniła się gwałtownie i dumnie nieco na młodego hrabiego spojrzała.

— Panie hrabio! — rzekła — należę do liczby siostr, które gniewają się bardzo łatwo i karać umięją niegrzecznych — braciszków!

Mówiąc to, wstała i, przeszedłszy przez całą długość saloniku, zbliżyła się do stojącego przy oknie Cezarego, i z wdzięcznym uśmiechem mówić coś do niego zaczęła. Hrabia Wilhelm patrzył za odchodzącą z widocznym bardzo zachwyceniem, a gdy stanęła obok narzeczonego swego i podniosła ku niemu łagodne swe, turkusowe oczy, spuścił wzrok ku ziemi i na twarz spadł mu, rzadko na nięj widywany, wyraz przykrego uczucia.

Żadna pewno pod słońcem gospodyni domu nie umiała lepiej od pani *Zulietty* organizować przyjacielskich, wykwintnych obiadków, przy których, podsykana wciąż przez nią, rozmowa, i podtrzymywany dobry humor gości, tworzyły atmosferę, pełną wytwor-

néj, a zarazem serdecznęj swobody. Dopomagał jęj w tém dzielnie i umiejętnie syn, wdzięcznie a skromnie dopomagała córka.

Hrabia Wilhelm został przy obiadku tym ostatecznie podbity i oczarowany przez miłą tę, a tak przyswoicie serdeczną rodzinę, a Cezary, który dnia tego, piérwszeństwa w rozmowie i względach pań bardzo chętnie ustępując stryjecznemu bratu, w milczeniu najczęściej poił się widokiem wesołości i wdzięków drogich sobie osób, ujął po obiedzie ramię brata i, pochylając się ku niemu, szepnął:

— Prawda, Wilhelmie, jaka ona śliczna! i jacy oni wszyscy dobrzy i mili!

— Ależ prawda, najzupełniejsza prawda, mój Cezarku! — odszepnął z zapałem hrabia Wilhelm — wiesz? nie spodziewałem się nigdy, aby na litewskich pustkowiach wyrastać mogły podobne... cuda! Urodziłeś się w czepku, Cezary, i doprawdy, gotów ci jestem zazdrościć!

Piérwszy raz w życiu swém *ce pauvre César* przejęty był do głębi duszy uczuciem wielkiego tryumfu. Uczucie to rzucało mu na czoło blask bardzo jasny, i wyrazem słodczy niewymownej napełniało jego oczy. Postawa jego i ruchy nabrały dziwnęj powagi i męzkięj godności. Był wtedy pięknym prawdziwie, pięknnością ducha, który, długo nękany i usypiany, budził się do coraz pełniejszego życia szlachetnych uczuć i myśli, i życiem tém wewnętrzném, gore-

jącém niby światłem czarnoksiężkiem, oblewał zewnętrzne jego kształty.

Nieszczęściem, Delicya mniej, niż kiedykolwiek, usposobioną była dnia tego do zwracania pilnej i przychylniej uwagi na narzeczonego swego. Nie spostrzegła téż i ocenić nie mogła wszystkiego, o czém mówiła, zmieniona do gruntu prawie, i dla niej, i przez nią upiększona, powierzchowność jego. Przez długie parę godzin rozmawiała ona z hrabią Wilhelmem o operach, na których, w ciągu ubiegłego tygodnia, wraz z matką swą była, o muzyce i rozmaitych rodzajach jój i wpływach.

Hrabia Wilhelm, jak sam wyrażał się, przepadał za muzyką i żyć bez niej nie mógł. Opery i koncerty przez wielkich mistrzów dawane, stanowiły jeden z głównych uroków, pociągających go ku wielkim miastom Europejskim. Mówił prawdę. Muzyka wywierać musiała ogromną siłę przyciągania na duszę jego, która sama zdawała się być niczém inném, jak zbiorem strun, niesłychanie na każde dotknięcie wrażliwych, długą, nieustającą pieśnią, hulaszczą lub liryczną.

Rozmowa o muzyce prostą drogą zaprowadziła młodą parę ku fortepianowi, przy którym stała etażerka, zarzucona nutami do grania i śpiewu. Zaczęto przerzucać nuty, wybierając pomiędzy niemi kompozycye, wspólnie obojgu znane i najbardziej ulubio-

ne. Nikt zaręczyć nie potrafi, czy przy zatrudnieniu tém drżąc od wzruszenia, śnieżna rączka Delicyi nie spotykała się od czasu do czasu z szukającą jój, mimo woli może, białą, gorącą dłonią Wilhelma. Totylko pewna, że po kwadransie dwa głosy ich, czyste, jak kryształ, a silne, jak młodość, spotkały się ze sobą w melodyjnym jakimś, długim duecie.

Delicya siedziała przy fortepianie, Wilhelm stał za nią, ręką o poręcz krzesła jój oparty, ze wzrokiem chwilami utkwionym w rozpostartych na pulpicie nutach, częściej daleko błędzącym wśród gęstych, miękko falujących włosów dziewicy.

Po pierwszym duecie nastąpił drugi, potem Delicya śpiewała sama, lub akompaniowała do śpiewu młodemu hrabiemu. Głosy obojga młodych śpiewaków, naksztalt dwu tęsknotą zjętych i ku sobie dążących płomieni, to falowały miękko i cicho, to wzbijały się coraz wyżej, kędyś, zda się, w niedościgłe wysokości, ku słońcu szczęścia, ku niebu miłości, wzlatując.

Trwało to bardzo długo. Piersi tak Delicyi, jak Wilhelma, zdawały się posiadać wieczoru tego siłę niezmordowaną. W głębinach istot ich rodziło się coś, co siłę tę podtrzymywało i wciąż potęgowało.

Pani *Žulietta*, cicha i nieruchoma, jak posąg, siedziała na kanapie, w cieniu nieco, a w oczach jój, tkwiących nieustannie w twarzach dwojga młodych ludzi, zdra-

dzały się radość wielką i duma, połączone z większą może jeszcze trwogą. Widziała ona, wyraźnie widziała, że nie przyszłości najukochańszego jej dziecka, którą była z takim staraniem i tak zrećnie wysnuła, rwała się w jej oczach.

Tuż obok wprowadzie i najniespodzianiej w świecie wypływała nie druga, świetniejsza jeszcze od pierwszej, ale — czy będzie można zawiesić na niej widoki i nadzieje przyszłości, z taką pewnością, jak na tamtej? czy obie razem nici te, jedna przez drugą pochłonięte, nie znikną we mgłę marnych ułud i zrećnych przątek nie wyrzucą znowu na wydmę wiejskiej a małoszlacheckiej nudy i samotności? Były to pytania, które trwogą napępniały serce pani *Żubietty*, i skłaniały ją do głębokiego zastanawiania się nad położeniem, pełnem już teraz wątpliwości i niebezpieczeństw.

Henryk, który sam grał także i śpiewał, mieszał się od czasu do czasu do muzykalnych ćwiczeń młodej pary. Cezary zaś, siedząc we framudze okna, w cieniu i odosobnieniu, z czołem wspartem na dłoni, całą istotą swą tonął w falach głosu narzeczonej. Fale te kołysały nim miękko, albo też porывały go w ogniste, burzliwe jakieś odmęty; a ile razy wezbrały z całą potęgą swą i kędyś wysoko, pod samem słońcem, zda się, drżały i wzdychały tęsknotą niewysłowioną, namiętnością nietłumioną już nawet, zasłu-

chanego młodzieńca przebiegał od stóp do głowy dreszcz rozkoszy, boleśnej niemal, tak nieznaną mu dotąd, tak potężną i przejmującą. Był pewnym, był tak pewnym, jak tego, że żyje i kocha, iż *Delicya* śpiewała dla niego i do niego, że każdy ton jej głosu, był wyrazem, przez serce jej jego sercu posylnym. To też, jakby w odpowiedź na te wołania jej i westchnienia, leciały z ocienionej framugi okna ku w pełni i rześkości oświetlonej postaci dziewczęcej, w głębinach ducha Cezarego wymawiane, słowa miłości bez granic i promienistej, jak szczęście, nadziei.

Z pod dłoni, którą przysłaniał on sobie czoło, oczy jego świeciły, jak dwie gwiazdy gorejące a nieskazitelne. Parę razy oszklila je łza. Była to łza niewysłowionej wdzięczności dla kobiety, która mu dała ogromne to, niespodziewane szczęście, przez którą i dla której, po raz pierwszy w życiu, uczuł się mężczyzną czującym, myślącym i żyjącym w pełni.

Było już po północy, kiedy umilkły w hotelowym apartamencie dźwięki muzyki, śpiewu i rozmów, a matka i córka, pozostawszy sam-na-sam, spójrzały na siebie przy słabem świetle zasłoną ocienionej lampy.

— Delciu! — przemówiła z cicha pani *Żubietta*.

— Mamo! — z oddechem zapartym w piersi, od-

szepnęła Delicya, i z nagłym, niepowstrzymanym wybuchem uczuć, rzuciła się do kolan matki.

Głowa jęj była w ogniu, z oczu wytrysnęły źródła obfitych, niepohamowanych łez.

— Delciu! dziecię moje biedne, najdroższe! — otaczając szyję córki drżącymi ramionami i pochylając się nad nią, szeptała pani *Żulietta* — jakże znowu los twój stał się niepewnym! jakże lękam się o ciebie! o przyszłość twoję! o serce twoje! Ale nie płacz już, dziecko moje, nie płacz! oczy ci zabrzękną i będziesz jutro źle wyglądała!

Delicya podniosła głowę i wstrząsnęła nią przecząco.

— Nie, mam — wyrzekła — nie! łyż takie nie kosztują i nie zepsują piękności! to łyż radości, moja mam, to łyż szczęścia! on mnie kocha! on! ideał mój! moje marzenie od tyłu dni i miesięcy! a ja! ach, mam! ja nie pojmuję już, jak-bym żyć mogła bez tęg jego twarzy przesłonicznę! bez tego głosu jego, od którego... pali mi się serce!

Pani *Żulietta*, słuchała namiętnych tych słów córki z przerażeniem nieledwie.

— Delicyo! Delicyo! a jeżeli się mylisz! jeżeli on cię zawiedzie! jeżeli on nie kocha cię tak, jak sobie wyobrażasz?

Delicya wyprostowała się.

...e myślę się, mam, nie myślę się z pewnością nie pokochał od pierwszego na mnie spoj... jak, jak ja kochałam go już wtedy, gdy znałam o portret jego!

...Dziecko moje drogie! nie unosi się tak! staraj się panować nad uczuciami swemi! hrabia Wilhelm jest w istocie miłym, nadzwyczaj miłym młodzieńcem i podobałaś mu się widocznie. Ale... ty nie znasz jeszcze świata... nie wiesz, że u takich młodych panów od pokochania do ożenienia się — przestrzeń ogromna!

— Nie chcę myśleć o niczym, mam! nie chcę nad niczym zastanawiać się... kocham po raz pierwszy w życiu i czuję... czuję to tylko, że jestem szczęśliwą!

— O, mój Boże! — jęknęła *Żulietta* — cóż ja teraz uczynię, cóż pocznę! gdybym mogła być pewną!.. ale nie!... są to miraże, na których nie mogę budować gmachu twęj przyszłości! Obawiam się bardzo, droga moja, abyśmy nie osiadły na mieliznie! Z innej znów strony... jeżeli-by uczucie hrabiego Wilhelma było prawdziwem... czemuż-by nie? jest on hrabią Pompalińskim, jak i Cezary, a w dodatku jedynakiem, więc o wiele od Cezarego bogatszym... kochasz go... datek to bardzo dobry... będziesz z nim miała szczęście zupełniejsze jeszcze, choć znowu Cezary jest łagodniejszym, pokorniejszym i łatwiej mogła być

wziąć nad nim górę... rządzić nim... i przeda mi go trochę, tego pocziwego Cezarka!... był do nas przywiązany...

— I mnie go także żal, moja mamó... o niego przyjaźń, wielką nawet przyjaźń... ale... na-ż porównać go nawet z Wilhelmem? i cóż zro- z moim sercem, które...

— Zapewne, zapewne... w twoim wieku serce daje się jeszcze silnie uczuwać... ale ja, jako matka, pojmując uczucia twoje, powinnam stać na straży twych interesów... Wpadł ci w rękę, Delicyo, wielki los na loteryi życia... gdybyś go wypuściła, oblewałybyśmy potem obie stratę tę gorzkiemi łzami... Posłuchaj mnie, moje dziecko. Jednej tylko rzeczy wymagam od ciebie. Bądź grzeczną, bądź uprzejmą dla Cezarego, więcej jeszcze nawet grzeczną i uprzejmą, niż byłaś wprzód... Będzie to podwójnie użytecznem. Podrażni to uczucie i wzbudzi zazdrość w Wilhelmie, a zasłoni oczy Cezaremu i zatrzyma go przy tobie... Jeżeli tamten oświadczy się, i to wkrótce, formalnie i stanowczo, oddamy mu naszą rączkę, a biednego Cezarego pocieszymy według możliwości najszczerzą przyjaźnią naszą; jeżeli zaś Wilhelm, jak się tego obawiam, ujrzy w tobie cel chwilowej tylko zabawy... postaramy się o nim zapomnieć i... i... pozostanie nam Cezary... Czy dobrze, pieszczotko moja? czy słuchasz mnie uważnie i postąpisz tak, jak cię o to proszę?...

— O! mamciu moja, jaki on piękny! jaki zgrabny! jakie u niego oczy i głos cudowne! jak ja go kocham! — nie odrywając głowy od kolan matki, szep- tem odpowiedziała Delicya.

ROZDZIAŁ VIII.

Dość wcześnie jeszcze było przed południem, kiedy Delicya weszła do saloniku, ubrana już zupełnie, z książką w ręku. Miała na sobie dnia tego bardzo kosztowną i kunsztowną suknię blado-niebieską; szyję jej otaczały zwoje puszystych koronek, a włosy, z najzalatniejszą w świecie prostotą zwinięte w jeden olbrzymi warkocz, przepięte były nad czołem dwiema wielkimi gwiazdami z kryształu i złota. Wzruszenie i łzy wczorajsze nie pozostawiły na świeżém jak lilie i róże jej licu innych śladów, nad lekkie błękitnawe obwódki, które, otaczając jej oczy, dodawały im nieskończenie wiele wyrazu i blask ich w sposób nadzwyczaj poetyczny przyćmiewały.

Zadumana, na-pół uśmiechnięta, na pół smętna, usiadła na kozetce, w rogu saloniku stojącej, położyła otwartą książkę na kolanach i w karty jej wzrok

utkwiała. Widać było jednak, że myśl jej, uciekając od brzydkich, czarnych wierszy, na bibule wrytych, tęsknie i niecierpliwie gonila po jasnym, szerokim przestworzu, pieszczone wyobraźnią, lube, promieniste jakieś zjawisko.

Nagle drgnęła. Na karty książki padł od strony drzwi podługowaty cień jakiś. Z poruszeniem osoby, która nieustannie a niecierpliwie czegoś lub kogoś oczekuje, zwróciła głowę ku drzwiom. W drzwiach stała wielce prozaiczna postać hotelowego kelnera i w ręku kartkę wizytową trzymała.

Delicya wzrokiem tylko rzuciła kelnerowi pytanie niecierpliwie. Głos odmawiał jej posłuszeństwa.

— Hrabia Wilhelm Pompaliński — patrząc na kartę odpowiedział na to nieme pytanie kelner.

— Proś! — ledwie dosłyszalnie wyrzekła panna

Dotknęła czoła obu dłońmi, potem przesunęła je po fałdach swęj sukni. Mocowała się widocznie ze swém wzruszeniem, aby je opanować, i jednocześnie szybko czyniła rewizyą swęj toalety. Wzruszenie zostało opanowaniem, blado-błękitna tiunika okazała się w stanie požądanej malowniczości. Delicya podniosła się z lekka na kozetce dla powitania wchodzącego gościa.

Gość wszedł szybko do saloniku i śpiesznie pochwycił wyciągającą się ku niemu z pośród puchu koronek, bielszą od nich, rączkę. Uściśnął ją na-przód i kilka sekund w dłoniach swych zatrzymał; po-

tém, błyskawiczne spójrzenie rzuciwszy do koła saloniku, do ust swych rączkę tę przytulił. Delicya stanęła w płomieniu rumieńca.

— A mama? — zapytał gość.

— *Un peu indisposée!* wstała dziś późno i ubiera się jeszcze — szepnęły purpurowe usteczka, a zarazem właścicielka usteczek tych gościem ręki wskazała gościowi miejsce na fotelu, obok kozetki stojącym. Z oczu gościa poznać można było, że wołał-by on o wiele usiąść na kozetce, tuż obok malowniczo falującej blado-błękitnej tuniki. Zrezygnował się jednak i zajął wskazane sobie miejsce na fotelu.

— Doprawdy — zaczął — nie wiem już, jak mam ekuzować się przed paniami z mego zuchwalstwa. Od trzech zaledwie dni paniom znajomy, nachodzę dom ich codziennie. Staję się nieuniknionym, jak deszcz w jesieni...

— Pan hrabia nie byłeś nam... mnie przynajmniej... nieznanym i przed temi trzema dniami... — podnosząc głowę z półuśmiechem trochę żartobliwym, trochę rzewnym, odpowiedziała Delicya.

— *Comment!* być-że to może, abym ja panią widział już kiedykolwiek? *Non, c'est tout à fait impossible!* Bóg dobry uorganizował oczy moje w ten sposób, że nie widzą one nigdy rzeczy brzydkich, ale obraz wszystkiego, co piękne i miłe, raz w nich odbity, pozostaje już tam na zawsze.

Delicya figlarnie wstrząsnęła główką.

— A jednak — rzekła — tak było, jak powiedziałam. Oczy pana nie widziały mię wprowadzić ani razu przed dniem wczorajszym, ale duchy nasze, to jest pański, panie hrabio i mój, rozmawiały ze sobą od... od ośmiu już miesięcy po kilka razy codziennie...

— *Vous m'intriguez-sérieusement!* — z żywem poruszeniem zawołał Wilhelm — byłabyś pani spirytystką i miałabyś w rozporządzeniu swém jakie, czarnoksiężką władzą obdarzone, medium...

— O! — zawołała Delicya z cichym, srebrnym śmiechkiem — medium moje, za którego pośrednictwem duch pana rozmawiał z duchem moim, nie posiadało w sobie nic a nic z natury nadprzyrodzonej... Było ono ubrane w czarny surdut i od każdego, kto żądał jego usług, brało pieniądze, według pewnej, raz na zawsze ustanowionej, taksy...

— O! prozaiczne medium! raczże mi pani powiedzieć przynajmniej, jak nazywało się miejsce, w którym przebywało ono najczęściej? Da to może wskazówki jakie błędzającym w ciemnościach myślom moim!

— Miejsce, w którym przebywało ono najczęściej, nazywało się... o! czy tylko nie zapomniałam! nie; pamiętam, pamiętam, mówił mi to brat mój, że nazywało się ono *camera obscura!*

— *Camera obscura!* Komnata ciemna! — powtórzył Wilhelm — brzmi to zupełnie czarnoksiężko! Z ciemnej téj więc komnaty wychodziło medium!

a z kądże wychodził duch mój, gdy przybywał w celu rozmawiania z panią?

— O! to już moja tajemnica! — zaśmiała się Delicya — i nie wydam jój przed nikim... za nic!

— A gdybym prosił panią... błagał... zaklinał...
— mówił Wilhelm, pochylając się coraz bliżej ku pięknej pannie.

— A więc powiem — uśmiechnęła się Delicya — zjawiał się on zawsze przede mną w salonie naszym na stole obok lampy...

— *Dieu!* jakże wstydzę się za ducha mego! chodzić po stołach jest rzeczą wielce nieprzyzwoitą! Czy i tu także, w tém mieszkaniu, duch mój przebywa obok lampy?..

— Nie; tutaj... w Warszawie, zamknęłam ducha pana do ciasnego więzienia...

— Dlatego zapewne, aby nie zawstydzał pani nieprzyzwoitem swém znajdowaniem się! Ale gdzież jest to ciasne więzienie? za piecem? pod kanapą? za zwierciadłem?

— O nie! więzienie to znajduje się bardzo blisko nas!

— Blisko nas!

— Od pana dalej trochę, ale ode mnie bardzo blisko! znajduje się ono właściwie przy mnie!

Wilhelm roziskrzonymi oczyma patrzył na prześliczną z filuternym wyrazem twarz swjej sąsiadki.

Zagadki, które dawała mu do rozwiązywania, drażniły go, czuł i pragnął czuć w nich coś więcej, niż wesoły żart.

Delicya sięgnęła z wolna do kieszonki blade-niebieskiej sukni i, wydobywając z niej niewielki, w błękitny axamit oprawny pugilaresik, wymówiła:

— Oto jest więzienie!

— Śliczne więzienie! — szepnął Wilhelm i, pochylając się bliżej jeszcze, wyciągnął rękę po pugilares niby, w rzeczywistości zaś miękko i z wolna położył dłoń swą na trzymającej go białej ręczce.

— Panie hrabio! — drząc wewnątrz, lecz uśmiechem pokrywając wzruszenie, rzekła Delicya — nie płosz pan mieszkańca więzienia tego... skoro tylko bowiem zadasz mu najlżejszą obrazę, cofnie się w głąb swjej ciemnej komnaty i nigdy już pan wiedzieć nie będziesz, kim był i jakim...

Wilhelm cofnął swą rękę, ale wsparł się w zamian ramieniem o poręcz kozetki i, coraz głębiej tonąc oczyma w twarzy pięknej dziewczyny, szepnął marząco:

— *Oh! la sensitive!*

Delicya bardzo powoli otwierała pugilaresik. Otworzyła go nakoniec i z figlarnym uśmiechem spojrzała na młodego hrabiego, który ciekawy wzrok zapuszczał w głąb ładnego cacka.

— Nie widzę nic! — rzekł tonem człowieka zawiedzionego.

— Otóż — mówiła Delicya z wolna i zdając się nie zwracać uwagi na jego słowa — otóż medium owym, który wprowadził mnie w styczność z duchem pana, był pewien mistrz sztuki fotograficznej... a duch pana pojawił się przede mną w postaci...

Zatrzymała się. Gorący rumieniec twarzy jej oblał, ręka trzymająca pugilaresik drżała widocznie.

— W postaci? w postaci? — wypytywał młody hrabia szeptem nagłym, niemal gwałtownym.

— Nie pokażę! — wyrzekła nagle Delicya i pugilaresik przymknęła.

Wilhelm pochwycił obie jej ręce.

— *Au nom du ciel!* — wyszeptał — pokaż mi pani, co tam jest, bo skonam chyba u nóg twych z niepokojem i niecierpliwością!

Mówił szczerze i na seryo. Sprzeciwieństwa żadnego znosić nie mógł, a to, które spotykało go od Delicyi, wprawiało go w rozdrażnienie prawie bolesne.

Delicya zdawała się jeszcze wahać przez chwilę. Potem, ze spuszczonemi oczyma, z rumieńcem, który opłynął twarz jej i czoło aż po uploty popielatych włosów, odchyliła morową klapkę, zasłaniającą jedną z połów pugilaresiku i tworzącą tym sposobem bardzo misterną i elegancką skrytkę.

Młody hrabia drgnął cały.

— Moja fotografia! — zawołał.

— Duch pana — mówiła Delicya, nie podnosząc

wzroku i z uśmiechem, który teraz rzewny wyraz nadawał purpurowym jej ustom — duch pana pojawiał się przede mną w postaci takiej.

Wilhelm siedział już nie na fotelu, lecz na koczce i w obu dłoniach swych trzymał nieopierającą mu się więcę, jakby bezsilną, rękę Delicyi.

— Pani! — mówił stłumionym głosem — co to znaczy, *au nom du Ciel!* wytłómacz mi to pani! obawiam się zrozumieć zbyt wiele!... Od ośmiu miesięcy, mówiłaś pani... a więc od ośmiu miesięcy myślałaś o mnie, nie znając mnie, a ja... szalony, goniłem po świecie za szczęściem... Ale ja może myślę się... powiedz pani, czy myślę się?...

— Nie — szepnęła Delicya i, zasłaniając twarz ręką, chciała powstać i uciekać. Ale ręka jej znalazła się w silnym acz miękkim ujęciu dłoni Wilhelma... uczuła się opasaną jego ramieniem, a w uchu jej dźwięczał szept jego, stłumiony wzruszeniem szczerem i namiętnym:

— Więc myślałaś o mnie, nie znając mnie... tęskniłaś za mną, nie widząc mnie nigdy... rzecz niesłychana! nigdy w życiu nie doświadczyłem niczego podobnego! nigdy też żadna w świecie kobieta nie wywarła na mnie takiego wrażenia, jak ty... Delicyo!

— Panie hrabio! — szepnęła Delicya.

— O! nie nazywaj mnie tak... nie jestem dla ciebie hrabią ani panem... dlaczegoż wyrwasz się i chcesz uciekać? miłość jest piękną rzeczą, Delicyo... i szczę-

ście jest wielką rzeczą... nie trzeba uciekać... powiedz... kochasz mnie?

— Kocham! — szepnęła Delicya bardzo cicho, ale szept ten dosłyszał Wilhelm i zdjął go ze zbłądłych i drżących ust jej długim, gorącym pocałunkiem.

Pocałunek to był bardzo cichy, a jednak obudził echo. Echem tém był głuchy, przeciągły jęk, który ozwał się w drzwiach salonu.

Zatopiona w sobie, upojona sobą para, nie spostrzegła, jak od strony drzwi, ku którym zwracała się profilem, od kilku chwil już padał na nią podługowaty cień nieruchomo stojącej we drzwiach osoby. Spostrzegła go pierwsza Delicya i porwała się z kanapki... Powstał za nią i Wilhelm... spojrzeli oboje ku drzwiom. W drzwiach, z twarzą śmiertelnie bladą, z oczyma ponuro utkwionemi w ziemię — stał Cezary.

Delicya nieruchomą pozostała, jak posąg. Wilhelm zbłądł trochę, bardzo prędko jednak wzrok jego przebiegł od twarzy brata na marmurowo białą twarz Delicyi... Podniósł głowę; widać było, że uczuł się do czegoś zobowiązanym, i w mgnieniu oka postanowił spełnić to, co za obowiązek honoru poczytywał sobie.

— Cezary! — rzekł, postępując parę kroków napród — przebac mi... nie wiedziałem, że się tak

stanie, ale stało się... prosiłem w tej chwili pannę Delicyą o jej rękę...

Pomimo całej grozy położenia, widać było, jak na te słowa dreszcz rozkoszy przebiegł Delicyą. Nie podniosła jednak wzroku. Uczucie wstydu dorównywało w niej prawie doświadczanemu uczuciu szczęścia.

Cezary podniósł powieki. Oczy jego posepnie, lecz spokojnie oświecały twarz śmiertelnie wciąż bladą. Postąpił nieco ku dwójgu młodym ludziom i, nie patrząc na Wilhelma, lecz, nieruchomy wzrok topiąc w twarzy Delicyi, z wolna i stłumionym głosem wymówił:

— Tak... wiem... słyszałem, jak pani powiedziała, że cię kochał

— Dumny tém jestem i szczęśliwy — rycersko odparł Wilhelm.

Widać było, że Cezary chciał mówić, ale nie mógł. Najłżejsze drgnienie nie przebiegło po jego twarzy, oddech zdawał się wcale nie poruszać piersią. Był to spokój grobowy. Była to rozpacz, paraliżująca wszystkie władze ciała i ducha. Pomiedzy trojgiem istot tych trwało przez chwilę ciężkie, dręczące milczenie. Przerwał je szelest jedwabi i szmer drzwi otwierających się teraz zupełnie, a od kilku chwil na pół otwartych. Do salonu, krokiem poważnym, zbytecznie może tragicznym, weszła pani *Žulietta*. Twarz jej była poważna także, blada i smutna.

— Panie hrabio — wyrzekła, zwracając się do Wilhelma — słyszałam wszystko!

— Pani! — odparł Wilhelm z głębokim ukłonem — poczytuję sobie za szczęście i zaszczyt słowa moje przed panią powtórzyć!

— Panie hrabio! — mówiła dalej pani *Żulietta* poważnym zawsze i smutnym, acz łagodnym głosem, — jako matka Delicyi, pozwalam sobie powiedzieć, że przyjąłeś pan na siebie odpowiedzialność za szczęście méj córki...

— Pani! — przerwał Wilhelm — zostałem podbi-ty przez pannę Delicyą od pierwszej prawie chwili poznania... a gdzie jest miłość, tam musi być szczęście...

— Hrabia Cezary kochał moję córkę — ciągnęła coraz smutniej pani *Żulietta* — i ona go kochała...

Słowa te zbudziły jakby Cezarego z głębokiej martwoty. Drgnął całym ciałem i podniósł oczy na Delicyą. Pani *Żulietta* kończyła jeszcze smutniej-szym głosem:

— Za miesiąc miał nastąpić ślub córki mojej z hrabią Cezarym...

— Pani! — powtórzył Wilhelm — pomimo szcze-rego zmartwienia, jakiego doświadczam na widok bo-leści mego brata, szczęśliwym się uznaję, jeśli w tym samym, oznaczonym już terminie, pozwolónem mi bę-dzie podać pannie Delicyi dłoń do ślubnego ołtarza...

— Panie hrabio! jestem matką... nie wątpię o honorze pana i prawdziwości uczuć jego dla mo-jej córki!

— Pani! wątpić o honorze moim nie pozwolił-bym nawet osobie, którą tak wysoce poważam, jak panią...

Słuchając zamienianych słów tych, można-by było myśleć, że wszystkie te urywane i rozpoczynane na nowo mowy pani *Żulietty* były tyłuż nitkami, któremi ona niewidzialnie, lecz mocno, obmotywała honor i sumienie młodego hrabiego. Było-by może nitek tych i więcej jeszcze, gdyby snuciu ich nie przeszkodziło nagle poruszenie Cezarego, który szybko do Delicyi przystąpił i ujmując jęj rękę, zapytał cichym, zapierającym się w piersi głosem:

— Delicyo... Pani... powiedz mi jedno tylko sło-wo... czy kochałaś mię kiedykolwiek... przez jedną choćby chwilę?...

Twarz pięknej dziewczyny mieniła się bledością i rumieńcem. Milczała chwilę. Wzrok jęj błyska-wicznie szybko przesunął się po twarzy Wilhelma, który zdawał się także oczekiwać jęj odpowiedzi z żywym niepokojem. Podniosła nakoniec na Cezarego wzrok nieśmiały, zawstydzony i szepnęła z ciężkością:

— Myślałam... łudziłam się...

Cezary wyprostował się i przesunął dłoń po bla-dém czole.

— Okropne złudzenie! — wymówił i zwrócił się ku drzwiom. Ale zastąpiła mu drogę pani *Žulietta*.

— *Oh, Mr. le comte!* — zaczęła — *vous voyez devant Vous une mère eplorée!* Mógłż stawiać tamę uczuciom mego dziecka? mógłż odtrącać pełne honoru oświadczenia hrabiego Wilhelma, które zresztą zgadzają się z uczuciami córki mojej? Przebacż, panie hrabio! przebacż i pozostań przyjacielem naszym! wszystko, co tylko przyjaźń prawdziwa...

Przerwał jój mowę żywy gość Cezarego.

— Pani — rzekł — nie więcój uczynić nie mogę i nie chcę, jak pożegnać panią...

Wyrzekł to z dziwną powagą i również poważnie uklonił się przed panią *Žulietta*. Raz jeszcze jednak zwrócił głowę w stronę, gdzie stała Delicya, i oczyma poszukał jój wzroku. Dziwny uśmiech przesunął się mu po bladych wargach. Wzrok Delicyi bowiem, zalekniony jeszcze i trochę zawstydzony, lecz coraz już promienniejszy, podnosił się nie na niego, lecz... na nowego narzeczonego.

Bardzo powoli, lecz z podniesioną głową i nieruchomą jak marmur twarzą, Cezary zstępował ze wschodów hotelu. Przed bramą stało eleganckie *tillburi* i parskął prześliczny koń hrabiego Wilhelma. Cezary, pozbawiony jakby sił, oparł się ramieniem o róg bramy i niemym giestem przywołał stojącą w pobliżu dorożkę.

— Dokąd mam jechać? — zapytał dorożkarz.

Cezary nie zaraz usłyszał to pytanie.

— Do pałacu Pompalińskich — odpowiedział w końcu, jakby gwałtownie wyrывая się ze swęmartwoty, i znowu dziwny, nieokreślony uśmiech, przewinął się mu po ustach. Każdy dorożkarz, każdy niemal mieszkaniec stolicy wiedział, gdzie wznosiły się wspaniałe i ozdobne ściany pałacu Pompalińskich, tego siedliska zbytku i rozkoszy!

W kilka chwil potém, kamerdyner Fryderyk otwierał przed powierzonym pieczy swę młodym hrabią, podwoje jego mieszkania.

— Pani hrabina — rzekł — zapytywała o pana hrabiego i rozkazała mi powiedzieć, że życzy sobie natychmiast widzić się z panem hrabią!

Jakież było zdumienie poufnego sługi hrabiny, gdy Cezary podniósł na niego wzrok roziskrzony i dumnie, opryskliwie niemal odpowiedział.

— Powiedz pani hrabinie, że ani przyjść do nię ani z nikim wcale widzić się nie mogę.

— Ależ, panie hrabio... — z dawną poufalością zaczął Fryderyk.

Cezary rozkazującym giestem ramię ku drzwiom wyciągnął.

— Proszę wyjść i pozostawić mię samego — wyrzekł krótko.

Fryderyk nie opierał się dłużej. Wyszedł z mieszkania dawnego pupila swego, mrucząc pod siwym wąsem:

— Cuda dzieją się na świecie! Umarli chyba powstaną z grobów i nowonarodzone dzieci przemówią! nasz biedny hr. Cezary przerabia się w lwa! Trzeba będzie opowiedzieć to zaraz pani hrabinie!

Cezary tymczasem, pozostawszy samotnym, przechadzać się zaczął ze skrzyżowanemi na piersi ramionami po dość obszernym swym salonie. Krok jego powolny był bardzo i jednostajny, brwi zsunięte, oczy utkwione w ziemię świeciły ostrym, gorączkowym blaskiem. Taburet jakiś, wysunięty zbyt mocno na środek pokoju, zatamował mu drogę. Popchnął go stopą tak gwałtownie, że aż pod przeciwną ścianą ze stukiem upadł na posadzkę. Można-by rzec, że w cichym tym i tak łagodnym zwykle młodemu człowiekowi wrzały teraz odmetry całe gorzkie, płomieniste gniewów. Można-by rzec, że wszystko, co kiedykolwiek w życiu swém przemyślał on w nieprzeniknionej skrytości ducha i przecierpiał bezwiednie może, wszystkie tęsknoty, gorycze i upokorzenia, które kiedykolwiek przenosił w pokorze i milczeniu, obudziły się teraz pod dotknięciem ostatniego, strasznego ciosu i zawrzały w piersi jego tysiącem chaotycznych, acz gwałtownych i pierś rozrywających uczuć. Obok burzy tej i ponad nią niby, unosiły się w głębi istoty jego tłumne a chmurne myśli jakieś, bruździły mu blade czoło w zmarszczki liczne i głębokie, całą postać jego oble-

kały piętnem ołowianej, do ziemi przybijającej, zadumy.

Kwadransy upływały, a młody człowiek nie kończył swój niezmordowanej, powolnej przechadzki. Przez wielkie okna salonu wpływać już zaczął zmrok wieczorny, gdy we drzwiach stanął znowu ulubieniec hrabiny, Fryderyk.

— Panie hrabio! — wymówił — hr. Mściśław zapytuje, czy może widzieć się z panem hrabią?

Cezary przerwał przechadzkę swą i bez chwili wahania odpowiedział:

— Powiedz hrabiemu Mściśławowi, że niema mnie w domu dla nikogo.

Fryderyk oddalił się znowu, nieznacznie wzruszając ramionami, a w kilka minut po odejściu jego, galerią obrazów przebiegał szelest posuwający się szybko jedwabnej sukni. Hrabina Wiktorya dążyła do hrabiego szwagra swego, z prośbą o radę i pomoc przeciwko zbuntowanemu synowi swemu.

Kwadrans nie upłynął, a Fryderyk stawał znów w drzwiach salonu młodego hrabiego.

— Panie hrabio! — wyrzekł uroczystym niele dwie głosem — JW. hrabia Światosław Pompaliński prosi pana hrabiego, aby raczył pofatygować się do jego apartamentu.

Cezary, który stał już teraz przed oknem ze wzrokiem zatopionym w coraz gęstszy mrok, okrywający

niebo i przeciwległe domowstwa, szybkim, niecierpliwym ruchem, zwrócił się do zbyt poufałego sługi.

— Przepróż hrabiego, stryja mego, że nie będę mógł widzieć się z nim dzisiaj... za kilka minut opuszczam pałac...

— Panie hrabio! co to znaczy? — zawołał Fryderyk, nie chcąc, jak się zdawało, wierzyć świadectwu własnych uszu.

— Zawołasz tu mnie pokojowca mego, Jana, a stangretowi memu, Michałowi, powiesz, aby założył mi konie do powozu!

Słowa te wypowiedziane były tak stanowczo, że Fryderykowi nie pozostawało nic więcej, jak cofnąć się ode drzwi i iść spełnić otrzymane rozkazy. Odchodząc, przeżegnał się lewą ręką: — W Imię Ojca i Syna... przypomniał więc sobie nareszcie nasz biedny hr. Cezary, że ma swoje służbę i swoje konie...

Wychodzący z mieszkania Fryderyk spotkał się we drzwiach z wchodzącym Pawełkiem, który szybko zbliżył się do Cezarego i wyciągnął do niego obie dłonie.

— Wiem o wszystkiém, — rzekł, — i wszyscy już o wszystkiém wiedzą... Wszedłem do ciebie, nie meldując się, bo mi cię żal wielki...

— Dziękuję — obojętnie bardzo rzekł Cezary, i zwrócił się do wchodzącego lokaja.

— Ułóż wszystkie moje rzeczy, jak do drogi, — rzekł.

— Na miłość Boską! — zawołał Pawełek — co zamierzasz czynić? dokąd się udajesz?

— Nie wiem, nie wiem — głucho odpowiedział Cezary — to tylko wiem, że ani jednej nocy więcej nie przepędzę pod tym dachem!

— Cezary! — próbował mitygować przyjaciela Pawełek. — Pomyśl tylko...

— Myślałem wiele — przerwał Cezary — bardzo wiele! od téj chwili, w której odebrali mi oni to, co miałem najdroższego na świecie. O! — dodał, niosąc ku czołu obie dłonie — myślałem tak wiele, iż głowa pękała mi nieledwie od tych myśli...

— Ale poco te podejrzenia — zaczął Pawełek.

— Milcz! milcz, Pawełku! — z wybuchem zawołał Cezary — odkąd zacząłem kochać i cierpieć, przestałem być dzieckiem ślepym i pokornym... stałem się strasznie domyślnym... Wiem. Oni go tam umyślnie posłali... oni dla pychy swojej, dla swojej własnej przyjemności, chcieli zadać mi cios ten... chcieli w tak straszliwy sposób zmiążdżyć serce *de ce pauvre César*... Ale zawiedli się — dodał z gorzkim uśmiechem — zawiedli się straszliwie... Wilhelm ma więcej serca i honoru, niżeli się oni spodziewali i żądali...

Tu zwrócił się znowu do dwóch pokojowców, krzątających się około układania rzeczy.

— Konie gotowe? — zapytał.

— Nie jeszcze, panie hrabio! — odpowiedział z sąsiedniego pokoju markotny głos Fryderyka.

Cezary gwałtownie postąpił ku drzwiom przedpo-
koju i, otworzywszy je, zawołał do szwajcara:

— Waliński! powóz mój i konie natychmiast!

Głos jego rozszedł się po wielkiej pałacowej sieni
gniewnym i donośnym dźwiękiem.

— A słowo stało się ciałem! — mruknął stary
Fryderyk.

— Dokądże jedziesz, Cezary? gdzie cię mam szu-
kać? — pytał Pawełek.

— Do hotelu jakiegokolwiek... wszystko mi jedno
gdzie... potrzebuję samotności i spokoju, a tu...

Uśmiechnął się.

— Tu, nie chciało nawet uszanować boleści
i wstydu mego... Wołano mnie po trzy razy do ró-
żnych osób... Bądź zdrow, Pawełku.

— Potrafię cię znaleźć — odszepnął Pawełek,
silnie ściskając dłoń przyjaciela, która na gorący
uścisk jego, zimnem tylko odplaciła dotknięciem.

ROZDZIAŁ IX.

Hr. August, późno wróciwszy z klubu, zasiadł do-
pięro we wschodnim swym szlafroku i z bursztyno-
wym cybuszkiem w ustach przed śniadaniową zasta-
wą, gdy do gabinetu jego wpadł w zgrabném poran-
ném ubraniu, z aryetką jakąś na ustach, hr. Wil-
helm.

— *Bonjour*, Wilusi! czy mogę wiedzieć, gdzie mi
przepadasz od dni dwóch? nie było cię wczoraj ani
w domu, ani w klubie?

— *Bonjour papa*, — odparł syn, pochylając się
i składając pocałunek na czole ojcowskiem. —
O! gdzie ja przepadam! to cała historia! *sais tu pa-
pa! je fais ma fin! j'épouse*.

Hr. August drgnął cały i wlepił w twarz syna
szeroko otwarte oczy. Jakkolwiek twarz ta świeżą
była i wesołą, jak zwykle, malował się na niej jakiś

cień zamyślenia, czy rozmarzenia, który świadczył, że Wilhelm nie żartował wcale.

— *Tu épouse!* — wymówił hr. August, wypuszczając z ręki łyżeczkę od kawy — *Et qui épouses tu donc si... si à l'improviste!*

— *Cher papa* — wymówił Wilhelm z ukłonem głębokim, wpółżartobliwym, wpółuroczystym, *j'épouse Mlle Delice Kniks.*

Wrażenie, jakie słowa te wywarły na hr. Augusta, dało-by się porównać z tém, jakiego przed laty doznał ów Pompaliński pomniejszy, ojciec Pawełka i Leokadyi, w chwili, gdy, siedząc u okna oberży pińskiej, usłyszał słowa współobywateli swych, dowodzące, że nie pochodził on z tych samych Pompalińskich! Tu, jak tam, śmiertelny atak apoplektyczny zdawał się być przez chwilę blizkim i nieuniknionym. Tu przecież, jak tam, za szczególném jakimś zrządzeniem Opatrzności, atak ten nie nastąpił. Hr. August, zarumieniony do szkarlatu, z wyprężonemi na czołe żyłami, siedział kilka sekund, jak skamieniały; nagle porwał się z krzesła, wyprężył się w całej swój wysokości i, pięścią uderzając o stół, krzyknął:

— *Jamais!* nigdy.

Wilhelm zbliżył się ku tak srodze rozgniewanemu ojcu swemu, ujął go łagodnie za obie ręce i posadził znowu na fotelu. Hr. August, oniemiały i odurzony, posłusznym był jak dziecko. Wilhelm powtórnie pocałował go w czoło.

— Nie nigdy, *cher papa*, ale za miesiąc — rzekł bardzo stanowczym tonem — za miesiąc poproszę do ołtarza pannę Delicyą Kniksównę...

— *J'en mourrai!* umrę! — jęknął hr. August.

— Pewny jestem, *cher papa*, że nieszczęście to nie nastąpi. Chciój mię tylko posłuchać.

Mówiąc to, przysunął taboret do fotelu ojcowskiego i, siadając, zarzucił ramię na szyję ojca.

— Panna Delicya jest istotą prześliczną — zaczął.

Hr. August wstrząsnął obu rękoma.

— *Ne m'en parles pas!* — jęknął — *je l'abhorre* to zły duch naszej rodziny!

— Jest to, *cher papa*, duch bardzo słodziutki i rozumniutki w najpiękniejszym pod słońcem ciele... Szaleję za nią!

— Szalałeś już za dziesiątkami kobiet, Wilusiu, a nie ożeniłeś się przecież z żadną!

— Do ożenienia się z panną Delicyą skłania mię nie tylko już zachwycenie, w którym ona mnie pograżyła, ale także i uczucie honoru!

Hrabia August spojrział na syna dziwnemi oczyma. Pomimo przerażenia, pod którego wpływem zostawał, szczególny jakiś uśmieszek zabłądził na jego usta.

— Honoru? — wymówił — *dyable! comme tu y allais!* po cóż było tak się spieszyć...

— *Honni soit qui mal y pense!* — odparł Wilhelm.

Nie śpieszyłem się wcale i byłbym może wyszedł z historii całej nieskazitelny, jak Józef patryarcha, témbardziej, że Delicya jest najskromniejszym i najczystszy kwiatkim, jaki widziałem kiedy... ale stało się... stało się tak, *cher papa*, że Cezary nadszedł w chwili właśnie, gdyśmy czynili sobie wyznania... wyznania, drażliwej nieco dla uszu narzeczonego natury...

Teraz na twarzy hr. Augusta malował się znowu przestrah, ale całkiem już czém inném spowodowany.

— Nie wyzwiał cię? — rzucił prędko i z niepokojem, patrząc na syna.

— Ani pomyślał o tém — odparł Wilhelm.

— *Dieu merci!* — splatając pulchne dłonie jak do modlitwy, szepnął hr. August. — Lękam się zawsze o te pojedynki... jesteś tak zapalczywy, Wilusiu, a już te dwa, które miałeś w swoim życiu, kosztowały mię dużo zdrowia..

— Widzisz, *cher papa*, jak szczęśliwie się składał! Nie zostałem wyzwany i nie będę zabitym. Ożenie się z najpiękniejszą i najmiłą w świecie kobietą, zamieszkamy przy tobie, i wszyscy troje będziemy zostawali aż do śmierci w nieskazitelnie wesołych humorach!

— Ależ to być nie może! ja na to nie zgodzę się nigdy! jest to zupełne niepodobieństwo! — z gniewem

a większą jeszcze trwogą wybuchnął znowu hrabia August.

Wilhelm białą dłonią poklepał ojca po ramieniu, i po raz trzeci pocałował go w czoło.

— Jest to konieczność nieuchronna, *cher papa* — rzekł. — Rozkochałem się szalenie w Delicyi, a do posiadania jęj w żaden sposób dojść inaczej nie mogę, jak przez kościół i księdza...

— *Bêtise!* — sarknął ojciec. — Zrób nad sobą wysilenie... przezwycięż się...

— Nie mogę! — jęknął Wilhelm, — nie mam dostatecznej wprawy po temu... Byłeś zawsze dla mnie tak dobrym, papo, tak nieporównanie i niezmordowanie dobrym, że ani razu jeszcze w życiu mém nie byłem postawiony w konieczności zwyciężania się...

Mówiąc to, ujął rękę ojca i, pieszczotliwie spoglądając mu w oczy, przycisnął ją do ust.

— Byłem dla ciebie dobrym ojcem, Wilusiu — zaczął hr. August rozrzuwnionym już nieco głosem — ale i ty także jesteś najlepszym i najmiłszym w świecie chłopakiem... Byliśmy z sobą zawsze, nietylko już jak ojciec i syn, ale jako... *chose*... jako przyjaciele i dobrzy towarzysze... przez miłość dla mnie, Wilusiu, przezwycięż się... ten raz tylko... spróbuj... przezwycięż się...

— A obowiązek honoru? czy także mam go przezwyciężyć? — zagadnął Wilhelm.

— *Dieu te garde*, abyś kiedy chybił honorowi!

ale jaki tu może być obowiązek?... jaki honor?... sam mówisz przecie, że pomiędzy wami... nie było, no... *chose*... nie było nic takiego...

— Panna Delicya utraciła przeze mnie partya... zerwanie z Cezarym, tak nagle, skompromituje ją w oczach świata!

— Jakże tam skompromitowanie! w oczach jakiego tam świata! wróci do swojej puszczy i znajdzie tam sobie jakiego Kiksa czy Syksa... *Si c'était au moins une femme du monde*, ale parafianeczka jakaś... wnuczka łapciastego szlachcica...

— *Cher papa*, — rzekł Wilhelm, — ani wyobrazić sobie nie możesz, jak teraz świat postępuje szybko! Parafianeczka, o której mówisz, zostawszy moją żoną będzie najwytworniejszą i najświetniejszą ze wszystkich dam, którym kiedykolwiek wielki świat hołdy swe składał... *C'est une créature vraiment délicieuse!* Delikatna jak lilia, rozkoszna jak niebo, wabna i zręczna, jak wszystkie szatany...

Hrabia August spojrział znowu na syna z tajemnym jakimś uśmieszkiem w oczach i na ustach.

— Czy naprawdę jest tak piękną i... *chose*... tak powabną?

— Niczego w świecie nie pragnął-bym tyle, jak tego, abyś ją sam poznał i ocenił, *cher papa!*

— Za nie! — energicznie sprzeciwił się ojciec, — za nic nie pozwolę na to małżeństwo!

Rozmowa ta pomiędzy ojcem a synem trwała

jeszcze bardzo długo. Hr. August unosił się, to miękł naprzemian; Wilhelm wyczerpywał wszystkie bogate zasoby ponęt i pieśzcot swych, aby niemi rozzbroić i ku ostatecznemu ustępstwu skłonić miękkie zawsze dla niego serce ojcowskie. Przyszło do tego nakoniec, że hr. August przyłożył chustkę do łzami zroszonych oczu.

— Cóż znowu? *cher papa!* papcio płaczel ależ ja na to patrzeć nie mogę! — z żalem zawołał Wilhelm.

Hr. August, nie odsłaniając oczu, przerywanym głosem mówić zaczął:

— Płacę po nadziejach moich, które... *chose*... pokładałem w tobie! Marzyłem zawsze, że będziesz klejnotem rodu naszego...

— Alboż nim nie jestem? chyba zechcesz, *cher papa*, Mściśława i Cezarka uważać za klejnoty rodu! smutne klejnoty! jeden spruchniały, drugi nieoszlifowany!

— Dumny byłem tobą i zwracałem się zawsze z gorącym podziękowaniem do Boga i do... *chose*... mojej nieodżałowanej Berty, że obdarzyli mnie synem takim, jak ty, nie takim, jak tamci... Ale teraz, małżeństwo to, na które zresztą nie pozwalam, stanowczo nie pozwalam... upokorzy mnie strasznie w oczach hrabiny.... Uf! będzie tryumfowała.... *cette douce vipère!*

— Nie dbaj o to, *cher papa!*

— Nie dbaj! Mścislaw ożeni się pewnie z księżniczką B. A ty... *avec une...* Miks... Szyks... Kiks... Gdyby tam były przynajmniej miliony!

— Będą miliony, *cher papa.*

Hrabia August odsłonił oczy.

— Będą? — zapytał przeciągle. — A z kąde ci Kniksowie mieć je mogą? czy fałszują pieniądze?

— Nie, papciu — zaśmiał się Wilhelm — ale pani Kniksowa czytała mi wczoraj list od pani generałowej Orczyńskiej...

— Od Generałowej? — powtórzył hr. August, — a oczy jego uschły nagle z łez i stały się bardzo ważnemi.

— Od Generałowej, która dziwnym trochę, co prawda, stylem... pisze do pani Kniksowej, że jeżeli córka jej wyjdzie za hrabiego Pompalińskiego, zostanie notowaną w jej testamencie...

— Za którego hrabiego Pompalińskiego?

— Naturalnie, Generałowa musiała mieć na myśli Cezarkę, o mnie bowiem podówczas wiedzy i słyhu jeszcze w tamtych okolicach nie było... Myślę jednak, że dla niej wszystko jedno być musi, który z Pompalińskich...

— Wszystko jedno! — zawołał hr. August, powstając; — *voilà une idée!* ty, czy Cezarek, wszystko jedno! Dla mnie zaś, rzecz to widoczna i najpowa-

żniejsza, że jeżeli miała zapisać coś téj pannie... *chose...* w razie małżeństwa jej z Cezarkiem, to gdy wyjdzie ona za ciebie, zapisze jej dwa, trzy, dziesięć razy więcej. *A chacun selon ses mérites!* tak, tak, niezawodnie!

Przeszedł się parę razy po pokoju, i stanął przed synem.

— *Eh bien!* ileż tam te sperandy sięgać mogą? he? jakie może dwadzieścia tysięcy... szlachecki posazek..

— Szlacheckich posazków nie daje się hrabi-
nom, *cher papa!* Mówiła mi pani Kniksowa... tak sobie... nawiasem, że spodziewa się od ciotki swój dla Delicyj jakich trzysta, a może i pięćset tysięcy rubli.

— *Phi!* — gwiznął przeciągle hrabia August. — Świetne marzenia téj twojej pani... *chose!* *Au fait* — dodał po namyśle — nie w tém zresztą niema nieprawdopodobnego! Baba wzięła po mężu ogromną fortunę... a, sknerą będąc, powiększyła ją w dwójnasób... Milion rubli kapitału jest tam w szkatule... oprócz dóbr i kosztowności... wiem o tém z pewnych źródeł.

Chodził i myślał znowu.

— *Au fait* — powtórzył — nie w tém niema nieprawdopodobnego. Pompalińska z domu i wychowana u naszych rodziców... Chce może coś zrobić dla Pompalińskich w delikatny sposób... inaczej, jakże by

zrozumieć tę klauzulę: jeżeli panna... *chose*... wyjdzie za hrabiego Pompalińskiego!

Wilhelm milczał i zdawało się, że myśl jego była już gdzieś daleko. Uśmiechał się do tej myśli.

Hrabia August chodził jeszcze chwilę po pokoju i myślał. Stał potem znowu przed synem i, wyjmując z ust cybuszek, rzekł z cicha:

— Wiész, Wilusiu, że sumka taka przyszła-by nam w porę... bardzo w porę... odłużyliśmy się już trochę, no, trochę tylko dotąd, ale hrabia Światosław powiedział mi niedawno: *ça ira!* a słowo to dało mi do myślenia... Gdybyś chciał jeszcze tracić, Wilusiu... W Aleksin dużo wsadzić trzeba, żeby fabryki zrestaurować i znowu w bieg puścić... pięćset tysięcy rubli, choćby trzysta... to już nieźle... wcale nieźle...

— Papo — nagle powstając, rzekł Wilhelm — ubieraj się i jedźmy do tych pań...

Słowa te wywołały nową a długą sprzeczkę, której przecież ostatnim argumentem było rzucenie się Wilhema na szyję ojca i okrycie tłustych policzków jego pieszczotliwymi pocałunkami, a ostatecznym wynikiem — mknienie przez ulice Warszawy eleganckiego *tilbury*, który wiózł ku Europejskiemu hotelowi ojca i syna.

W parę godzin potem, ojciec i syn wchodzili znowu do jednego z salonów ślicznego swego pałacyku.

— *Eh bien papa?* — w tryumfującej postawie stając przed ojcem, zapytał Wilhelm.

— *Eh bien!* — zawołał hrabia August — Cezary jest najbieglejszym na świecie nurkiem... odnalazł i przywiózł tu nam prawdziwą perłę... cacko! Wilusiu, królewski kasek ta panna Delicya! a mama! *Mon Dieu!* jak się też ta prowincya szybko cywilizuje! Jaka maniera! co za dystynkcyja! a jak były ubrane! a czy uważałaś z jakim taktem, z jaką wspaniałą indyferencyą rozpoczęła ona ze mną rozmowę o liście Generałowej, i pokazała mi go potem... tak; widziałem czarno na białém... „Delicya będzie notowaną w moim testamencie!” a testament Generałowej to Kalifornia, *mon cher!*

Mówiąc tak, hrabia August z rozpromienioną twarzą stał przed zwierciadłem, i układał faworyty swe w kształt symetrycznych wachlarzy. Nagle zwrócił się do syna.

— *Sais tu?* — zawołał — przyszła mi myśl... *mais une idée*... bierz córkę, a ja ożenię się z matką... ze swoim waryatem niech weźmie rozwód... *sais tu?* jak ją osypię brylantami i wprowadzę do salonów, zażeni hrabinę Wiktoryą... zobaczysz, że zaćmi...

— *C'est une idée folle, papa* — wymówił Wilhelm — *avec ta soixantaine bien sonnée*...

— *Hélas!* — westchnął hrabia August — *avec ma*

soixantaine... eh bien! cieszyć się będę twojém szczęściem... tylko...

Westchnął znówu.

— Tylko... wiesz, Wilusiu? żeby ona inaczej nazywała się... Z Kniksów Pompalińska... *ça sonne diablement faux!*

— Mam pomysł! — zawołał, śmiejąc się Wilhelm — przemienimy jedną tylko literę z nazwiska Delicyi, dwie inne przemieścimy i wylitografujemy na jój biuletach: z Kingsów Pompalińska...

— Z Kingsów? — zastanowił się hrabia August — *c'est mieux, c'est beaucoup mieux...* Kings... przez g... brzmi to z angielskiego jakoś...

— I przywodzi na myśl coś o królach — dodał, śmiejąc się wciąż, Wilhelm — King... król... Kings... z królów może...

— *Oui, oui, oui!* — potakiwał ojciec — *et sais tu encore, mon garçon,* że, bliżej przyjrawszy się, niepodobna uwierzyć, aby pani Kings rodziła się ze Skórkowskić... *une femme si distinguée, comment donc!* trzeba będzie tylko rozerprzeć się lepić w jój familijnych papierach... ale my to już zrobimy...

— Naturalnie — odparł Wilhelm.

— Co do tego ich przydomku... pałka czy traska... *il est absurde!* trzeba będzie w papierach familijnych inny jaki wynaléźć... no, ale mniejsza o to! kobieta może się nawet obejść zupełnie bez przydom-

ku... *Et maintenant, mon garçon,* pomówmy o twojém weselu...

— Najnudniejszy to punkt w całej sprawie — zauważył Wilhelm.

— Ale bardzo ważny... bardzo ważny... *nous ne sommes pas paysans, mon cher,* i musimy stosować się do świata... Mojém zdaniem, trzeba-by tu obmyślić coś oryginalnego... coś w nowym zupełnie guście... coś, co by ludziom usta pozamykało... będą bo mówić... *hélas...* będą nie ładnie mówić! Otóż, *j'ai une idée! mon garçon.* Sprosimy ztąd pewne kółko osób... niewielkie... *l'élite de la société...* rozumiesz? zamówimy sobie cały pociąg... *tu comprends,* pociąg zupełnie osobny, i ruszymy na ślub do Wilna... do Ostrój Bramy.. *tu comprends,* do stolicy niby i do patronki naszćj rodzinnej prowincyi... Będzie to i oryginalne, i ostentacyjne, i religijne, i *chose..* nacyonalne...

— Ja mam zupełnie inny projekt — odparł Wilhelm — wziął-bym najchętniej ślub za granicą...

— Gdzie na przykład? gdzie? — pytał z iskrzącymi się oczyma hrabia August.

— Wszędzie, gdzie będę mógł być z daleka od nieznosnych gwarów gawiedzi i, *pardonnez moi, papa,* od niedyskretnych oczu naszego świata. W Dreźnie, w Paryżu... w Rzymie...

— *Va pour Rome!* — zawołał, powstając, hrabia August. — *C'est une idée!* Ślub wzięty w stolicy chrześcijaństwa... potem błogosławieństwo Ojca Świętego

i poślubna podróż... dokąd? Do *Notre Dame de Lourdes par exemple...* Będzie to także oryginalne... ostentacyjne i... religijne... *Cette pauvre comtesse* spazmów dostanie z zazdrości, *et ça fera toujours mousser le nom!*...

ROZDZIAŁ X.

W téj saméj prawie porze, w którój hrabia August i syn jego układali tak wesołe i świetne plany przyszłych uroczystości weselnych, Pawełek Pompaliński wchodził do dość obszernego i wykwintnego apartamentu, położonego na pierwszym piętrze jednego z pierwszorzędných hoteli warszawskich.

W apartamencie tym, w saloniku, na małej kanapie, siedział z książką na kolanach i skronią na dłoni wspartą Cezary. W powierzchowności jego zaszyły przez upłynioną dobę zmiany wielkie. Wychudł i pobladł bardzo, oczy jego podkrzały się i błyszczały jednostajném wciąż posępném światłem. Znać w nim było człowieka, nurtowanego do głębi wielkim, upartym bólem, a niemogącego w całej istocie swój moralnej i umysłowej wynaleźć najłżejszego na ból ten lekarstwa, najłżejszój, chwilowój choćby, ulgi. Blade

wargi, dumnie i gniewnie zacięte, gdy opuszczał pałac stryja, siedlisko całej prawie rodziny swój, układały się teraz znowu w wyraz łagodny, acz głęboko smutny, a postać, która, pod wpływem spotęgowanego do najwyższej miary rozdrażnienia, wyprostowała się bardzo hardo i wyzywająco, przygarbiła się nieco, i znamionowała bierną jakąś bezsilność, bezzaradny upadek znękanego ducha.

Ujrawszy wchodzącego Pawełka, Cezary podniósł się z kanapki i powitał dawnego towarzysza swego uściskiem dłoni milczącym, ale cieplejszym już daleko od tego, którym go był w przeddzień pożegnał.

— Odszukałem cię, Cezary — zaczął, siadając, Pawełek — i nie było to zresztą wcale rzeczą trudną. Żaden Pompaliński, prócz mnie, utonąć nie może w Warszawie bez wieści, a o schronieniu twojem wiem już nietylko ja, ale wiedzą wszyscy w pałacu.

— Nie dziwnego — zniżonym, obojętnym głosem odrzekł Cezary — nie pomyślałem nawet o tém, aby czynić tajemnicę z tego, gdzie jestem. Chciałem tylko być samiotnym, zupełnie samotnym, i dlatego tu zamieszkałem.

— Na czas jakiś zapewne — podjął Pawełek.

— Nie wiem — krótko brzmiała odpowiedź Cezarego.

— Jeżeli mam prawdę wyznać, wysyłano mnie już z pałacu w poselstwie do ciebie dwa razy... Wczo-

raj i dziś z rana... Wymówilem się, bom mniemał, że będzie to jeszcze zawczasie i że mógł-bym ci być natrętnym. I teraz zresztą, jakkolwiek przyszedłem tu, nie myślę sprawować wobec ciebie poselstwa żadnego.

— Proszę cię o to, Pawełku! — żywić nieco przerwał młody hrabia.

— Mam nadzieję przecież, że mi przebaczysz, jeśli, powodowany przychylnością i niepokojem o ciebie, będę niedyskretnym i zapytam się: co uczynić, dokąd udać się zamierzasz?

Cezary milczał chwilę, z oczyma w ziemię utkwionemi.

— Nie wiem — powtórzył, a po chwili dodał — jestem teraz podobny do jednego z tych rozbitków, wyrzuconych na bezludną wyspę, o których historie różne lubilem zawsze czytać...

Pawełek przyglądał mu się sekund kilka uważnie.

— Nie gniewaj się, Cezary — rzekł — ale muszę ci powiedzieć, że, wnosząc z usposobienia, w jakim opuszczałeś pałac, spodziewałem się znaleźć cię innym, wcale innym... Mniemałem, że zdobędziesz się na męstwo, silną wolę i samodzielną odwagę.

Cezary spójrzył na towarzysza wzrokiem zdziwionym trochę, trochę szyderskim.

— Zkądże-by wszystkie przymioty te wziąć się mogły, Pawełku? — spytał z wolna.

Powstał i, w głębokim jakby namyśle zatopiony chodził dość długo i bardzo powoli po pokoju. Nagle upadł raczej, niż usiadł, na kanapę, oparł łokcie o stół i, twarz ukrywając w dłoniach, zaczął z dziecięcym prawie, skarżącym się żalem:

— O, mój Pawełku! ty nie pojmujesz! ty nie obrażasz nawet siebie, jak jestem nieszczęśliwy! Nie wiem, co pocznę! nie wiem, gdzie się obrócić! świat dla mnie—to wielka pustynia, w której na każdym kroku spotykałem tylko obojętność dla siebie, lub gorzej... gorzej jeszcze... fałsz, kłamstwo! Być może, iż jestem już takim, że przez nikogo kochanym i na cokolwiek komu potrzebnym być nie mogę! lecz w takim razie, pocóż żyję?

Pawełek milczał długo i z przyjazną litością spoglądał na pochyloną w bezzaradnym żalu głowę młodego człowieka. Zdawał się myśleć nad czémś, i wahać się w postanowieniu czegoś. Wstał nakoniec, zbliżył się do towarzysza i położył mu dłoń na ramieniu.

— Cezary — rzekł z cicha — czy nie już więcej nie potrafisz nigdy, jak skarżyć się dzieciennie i ubolewać nad samym sobą? czy żadnej innej drogi dla siebie nie dojrzysz, prócz tej, która przez samolubne pieczenie się z własną boleścią prowadzi wprost ku jałowej rozpacz i dziecięcej bierności?

Cezary milczał.

— Widzisz — ciągnął Pawełek — milczysz, bo,

mimo wiedzy twój, może słyszysz w sobie głos sumienia, które mówi ci, że źle i nierozsądnie czynisz!

— Jakże mam czynić?—stłumionym głosem i nie podnosząc twarzy w dłoniach ukrytej, wyrzekł Cezary. — Jestem przecież dzieckiem bezmyślnym i słabym, i tak okropnie, o! mój Boże, jak okropnie zranionym...

— Nie — rzekł z mocą Pawełek—nie jesteś dzieckiem bezmyślnym, jesteś tylko człowiekiem słabym, w pieluchach chowanym i na pasku wodzonym dotąd... Lecz powinieneś być mężczyzną, człowiekiem, i dać dowody, że być nim możesz...

Usiadł i myślał jeszcze chwilę. Potem zniżonym i łagodnym głosem, z wyrazem głębokiego uczucia w oczach, mówić zaczął:

— Długo milczałem. Nieraz, gdy byłem z tobą, słowa na gwałt z ust mi się wyrwały, ale powstrzymywałem je przez obawy i skrupuły różne. Teraz jednak, Cezary, czas jest, abym okazał się szczerym, wiernym przyjacielem twoim, abym odrobiną myśli i doświadczeń moich odplacił jednemu z rodziny waszej... najlepszemu, jak miemam, z rodziny tej, za chleb, który u was jadłem, za tę trochę umysłowego światła, którą w domu waszym otrzymałem. Widzę przed tobą, Cezary, drogi wielkie i jasne, i jestem przekonany, że zdołasz wejść na nie i iść niemi. Milczéć nie mogę dłużej. Opowiem ci naprzód własną historią twoję...

Cezary podniósł na towarzysza oczy ciekawe i ożywione już nieco, ale zakrył je wnet znowu dłońmi. Pawełek mówił dalej:

— W rodzinie pewnej, bardzo bogatej, a bardziej jeszcze dumnej, przyszło na świat dziecko. Było to z rzędu drugie dziecko, drugi syn... Przed nim istniał już syn jeden, ukochany, wypieszczony, genialny od pierwszej chwili urodzenia, do matki i jej świetnego rodu rysami twarzy podobny... ten, który po nim przyszedł na świat, stawał się współdziedzicem jego, okradał tedy brata z połowy jego milionów i... był to grzech pierworodny...

— Al! — nie podnosząc głowy, jęknął Cezary.

— Tak — rzekł Pawełek — trzeba, ażebyś wszystko wiedział i dni swego życia, jak paciorki, przebrał od kolebki samą... inaczey nie zrozumiesz nigdy wszystkiego w zupełności... Owóż, dziecko, o którym mówię, nie było wcale podobne do genialnego i przepięknego brata swego... Urodziło się brzydkie i krzykliwe... Krzyczenie zaś, w kolebce choćby leżącego dziecka, poczytywało się w rodzinie owęj za nieprzyzwoitość najwyższą i brak dystynkei... Wzrastając, niezgrabnym było i nieśmiałym, przez niezgrabność tłukło kosztowne cacka, zdobiące gotowalnię matki, przez nieśmiałość zaniedbywało dowcipnym szczebiotem ozdabiać i rozweselać chwile jej, w dziecięcym pokoju spędzane... Oto był drugi grzech jego.

— Tak! — wyrzekł głucho Cezary — pamiętam to.

— Następnie — ciągnął Pawełek — dziecic to, wyrastając w chłopię, szczególnie złym akcentem mówiło po francuzku. Polska krtań jego nigdy z dostateczną charkawością wymówić nie zdołała r francuzkiego. Kiedy już stał się młodzieńcem, konno jeździć było mu bardzo trudno, bo wiecznie zaleknionym i zmieszonym czuł się wobec tych, którzy na niego patrzyli, na kartach się nie znał, broni palnej nie lubił, metresy żadnej nie miał nigdy, w świecie nie sprawił żadnej furory, żadnego *brío*, od którego nakształt szampana szumieć-by mogło imię jego rodowe... było to już wiele grzechów, aż nadto wiele, aby sprowadzić na niego pogardę i niechęć matki na przód, całej rodziny potem, wszystkich tych nakoniec, którzy przed rodziną tą czołem biją i prochy pochlebniczymi usty zmiatają...

— Tak — powtórzył Cezary — pogardę i niechęć...

Głos jego drżał ponurym, gniewnym już dźwiękiem, Pawełek mówił dalej:

— Ale w dziecięciu tém, nielubioném i wzgardzoném, istniały wielkie zarody dobra... skarby uczucia i skarby może pojętnej myśli... Było ono szczere, dziecic to, czystém jak kryształ, jak dyament, żadną skazą obyczaju złego, lub złej skłonności nieskalaném... Ale uczucia jego, odtrącane i ranione na każ-

dym kroku, zwijały się w sobie, albo rozpraszały się na drobną monetę błahéj litości, lub drobiazgowych dobrych uczynków... myśl jego, skrzepowana, przelekniona, utuliła się w najgłębszym kącie mózgu jego i saméj sobie mówiła: nie istnieje wcale!

Cezary podniósł głowę i, błyszczącymi oczyma patrząc na Pawełka, wymówił stłumionym głosem:

— Tak, tak!

— Wmówiono mu, że jest do niczego niezdolnym, że jest *bon à rien*, i ono uwierzyło temu, bezsilném się uczuło i pozwoliło obracać sobą, jak lalką...

— Tak, tak! — głośnieję już i z oczyma wlepionymi w twarz mówiącego, powtórzył Cezary.

— Tak było, ale tak trwać wiecznie nie mogło — rzekł jeszcze Pawełek — trzeba było tylko silnego uderzenia, aby to, co stworzoném było przez naturę i tlało w głębi istoty dziecka tego cicho i niewidzialnie, wywinęło się z pieluch, wzrosło i wybuchło... Nadeszło uderzenie to, dziecię doświadczyło wielkiej miłości i wielkiej potém boleści, i stanęło na nogach własnych, targnęło pęta swe i ryknęło, jak lew....

Tu uśmiechnął się Pawełek i, powstając, położył znowu dłoń na ramieniu towarzysza.

— Ale nie na świecie nie ginie, mój Cezary, i żadna przyczyna bez skutku nie pozostaje. Porwał się i ryknął jak lew, ale pochylił się znowu i zapła-

kałeś, jak dziecko. Inaczéj być nie mogło. Lecz trwać to powinno, trwać to musi chwilę tylko. Powstań znowu, Cezary, i pójdziesz drogą twoją wielką i jasną...

Cezary siedział już teraz wyprostowany, z palającą okiem, i w silnym uścisku trzymał dłoń przyjaciela.

— Jaką jest ta droga? gdzie jest ta droga? — zawołał. — O, mój Boże, zdaje się, że widzę ją... przed oczyma staje mi stary Kniks.. ten człowiek, obłąkany z miłości dla ludzi... zdaje mi się, że w uszach brzmiały słowa, które do mnie mówił...

— Wiem — rzekł Pawełek — mówił ci on, że Pompalińscy nigdy nie uczynili... Ty, Cezary, przed którym nikt nigdy nie uderzał pokłonów kornych, którego umysłu nie zaćmił i serca nie zepsuł dym pochlebstw i szaf swawoli, z duszą twoją czystą, nieznękaną wolą i sercem spragnioném miłości, w którą inni nie wierzą już nawet, zostaniesz jedynym Pompalińskim, który czynić będzie wiele i dobrze...

— O! — gorącym szeptem i z oczyma w przestrzeń utkwionymi mówił Cezary — widzę, słyszę staro Kniksa! O, święty człowieku, który postradałeś rozum przez miłość dla ludzi, jakże wiele, wiele uczyniłeś mi dobrego!...

Czarne oczy Pawełka błyszczały ogniem zapалу i łzą rozrzewnienia. Ubogi krewny, rezydent, żyjący

na chlebie łaskawym, piérwszy raz może w swém życiu uczuł się w pełni godności swój człowieczeń, uczuł, że czyni coś pięknego i użytecznego, że sowiecie odpłaca za chleb otrzymany temu, który, sierotę, w dom go swój przyjął, pomagając do dźwignięcia się i zmęczenia synowi jego.

— Cezary — rzekł — ty masz miliony...

Szyderski, smutny uśmiech osiadł znowu na ustach Cezarego.

— Mój Pawełku — rzekł — miliony te były dla mnie zawsze kajdanami, a potem stały się przyczyną okropnego złudzenia i zawodu. Wierzaj mi, że wiele, wiele razy w mém życiu, gdy zatrzymywałem się nagle wśród pola na wsi, lub wśród ulicy w mieście, a wszyscy myśleli, że jestem pół idyotą, że gapię się na coś bezmyślnie, jam patrzył na biednego wyrobnika jakiego, który, rzeźki i swobodny, śpiewając, pracował, albo, spokojny i poważny, odpoczywał po pracy, otoczony tymi, którzy go kochali. Ileż razy myślałem, że gdybym się był nie urodził Pompalińskim, był-bym sto razy, milion razy szczęśliwszym!

— O Pompalińskiego mniejsza — uśmiechnął się Pawełek — ale co do milionów, to gardziłeś niemi dlatego, Cezary, że ogromną i rzeczywistą wartość ich i potęgę znają najczęściej ci tylko ludzie na świecie, którzy, niestety! ich nie posiadają.

— Tak, tak! — zawołał Cezary — ale ja także

poznać je muszę. Stary Kniks powiedział do mnie: jesteś młodym, silnym i masz miliony...

— Zaprawdę! waryat ten więcéj ma jeszcze rozum od tych, którzy wśród świata za mędrców uchodzą! On nie powiedział ci pewnie: używaj milionów swych na picie szampana, na pozłacanie zielonych stołów, na kupowanie sobie sprzedajnych kobiet.

— Nie, Pawełku, on mi powiedział, masz miliony, możesz z pomocą ich uczynić coś dobrego.

— I nie mając rodziny, która-by cię kochała — ciągnął Pawełek — stworzysz sobie rodzinę ze wszystkich tych, którym łzy z oczu otrzesz, i myśl z ciemnej niewiadomości podźwigniesz, i myśl swą, próżnującą dotąd, bo zafukaną, do wielkich źródeł światła podniesiesz, i z nich wiadomości poczerpniesz, jakim sposobem, zamiast rozdawać na ulicach jabłka dzieciom i grosze żebrakom, zużytkować masz dobroć swą i fortunę, i wznieść coś wielkiego i trwałego...

Cezary stał już przed Pawełkiem z podniesioną głową i iskrzącém się okiem.

— Pawełku! — zawołał — teraz dopiero zrozumiałem jasno, kim jestem i co mi czynić wypada. Dziękuję ci!

Ujął w swe ręce obie dłonie przyjaciela i dodał z cicha:

— Więc mogę jeszcze być kochanym i szczęśliwym?

Zamyślił się na chwilę z okiem wlepioném w przestrzeń, tak, jakby przypatrywał się czemuś, z daleka mu przez wyobraźnię własną ukazywanemu, potem dodał z cicha:

— To prawda! to prawda! cóż znaczy boleść moja, w porównaniu z boleścią człowieka tego, który cierpiał za... miliony ludzi!

— A jednak — dokończył po chwili — i ja także cierpię bardzo, Pawełku! cóżem winien, że cierpię jeszcze?... ja ją tak szczerze, tak ogromnie kochałem! jam się do nich tam wszystkich, jak dziecię, przywiązał!

— I cierpieć będziesz długo jeszcze — odpowiedział Pawełek — dopóty zawsze, dopóki bólu twego nie pochłonie nowe całkiem życie.

— O! chciał-bym już zacząć to nowe życie! — z pełni piersi zawołał Cezary — prędzéj mógł-bym zapomnieć... prędzéj może stał-bym się czémś... dla kogoś...

Pawełek milczał chwilę w zamyśleniu.

— A! — rzekł, powstając — niech-że ja te pierwsze chwile nowego życia twego, Cezary, wyzyskam dla tych, których kocham... Chodź, zaprowadzę cię do ludzi prawdziwie nieszczęśliwych.

— Do rodziców twój ukochanej, Pawełku? — zapytał Cezary, ujmując ręce przyjaciela. — Pójdźmy, Pawełku! pójdźmy! — mówił dalej, śpiesznie ubierając się już do wyjścia.

— Po drodze opowiem ci ich historią — rzekł Pawełek.

Po chwili dwaj młodzi ludzie ręka w rękę opuszczali ciasne i wyłoczone, a świat szeroki przed oczyma smutkiem zamglonemi zakrywające, ściany hotelowego mieszkania.

ROZDZIAŁ XI.

Na poddaszach, w suterrenach, w nędznych lepiankach, tulących się do ziemi, we wszelkich, słowem, siedliskach biedy i smutku, zmrok wieczorny daleko prędzej zapada, niż w obszernych, wielkimi oknami na świat spoglądających, szerokimi a widnemi przestrzeniami okolonych, miejscach bogactwa i wesołości. Dziwię się temu, doprawdy, bo myślę, że słońce dłużej przyświecać-by powinno tym, dla których bywa ono jedyną znaną i widzialną lampą balową, że mroki nocne krótszemi być powinny dla tych, którym troska i trudy spędzają sen z powiek. Pomimo jednak zdziwienia mego, tak zwykle na świecie bywa, tak też bywało i w ciasnych izdebkach, pod gładem wysokięj, staręj kamienicy położonych, a przez państwo Wandalinowstwo zamieszkivanych. Śród szerokich ulic i obszernych placów miasta, jaśniał jesz-

cze dzień biały prawie, kiedy na wążiuchnej uliczce, ostawionęj wysokimi i od starości kruszącemi się niemal murami, szaro już robiło się i mroczno; w komnatkach białych, ozdobnych domowstw, rozpoczynała się zaledwie uroczna i poetyczna szara godzina, gdy do izdebek szerniałych i chropowatych kamienie witały już na dobre godziny czarnych ciemności i nadciągających wraz z niemi — czarnych myśli.

W bawialnęj izdebce, tak pompatycznie nazywanej niekiedy przez pana Wandalina salonem, przed wąską twardą kanapką paliła się niewielka lampka. Przy stole, na twardym drewnianym stołku, siedziała pani Wandalinowa i, ze schyloną nisko głową, bardzo pilnie zszywała grube jakieś płótno.

Bawialna izdebka daleko smutnięj jeszcze wyglądała, niż przed dwoma tygodniami. Po pierwsze, było w nięj daleko zimnięj, bardzo nawet zimno; powtóre, nie rozweselał już jęj blask i trzask ognia, w przyleglęj kuchni na kominku rozpalonego; potrzecie, zniknęły z nięj trzy przedmioty, które przyozdabiały ją wprzódy. Albumu z malachitową oprawą na stole, fotografii w rzeźbionych ramach na ścianie i złotego naparstka na palcu szyjącęj kobiety — nie było. Gdzie podziały się te przedmioty, tak drogie zubożałęj i osamotnionej rodzinie, bo przypominające jęj dawne dobre czasy dostatku, wesela i przyjaźni ludzkięj?

Stoczyły się one zapewne po tym jedynym stop-

niu, który przed dwoma tygodniami dzielił jeszcze państwo Wandalinowstwo od ostatecznego ubóstwa, i spadły w leżącą teraz tuż przed ich stopami czeluść ciemną, zawierającą w sobie ostateczną nędzę.

Dzieje kilku tych tygodni, które sprowadziły państwo Wandalinowstwo ze stopnia znośnego niedostatku, na którym zatrzymali się byli przez czas jakiś, na stopień ostatecznego ubóstwa, były bardzo proste, bardzo zwykłe, i bardzo krótkie.

Różia zachorowała i nie mogła już więcej chodzić do fabryki cygar; pani Wandalinowej odmówiono lekcji, bo kandydatek na nie w owych ciężkich czasach było mnóstwo niesłychane, a pani Adela, nie sposobiąc się nigdy w swoim życiu do stanu nauczycielskiego, nauczycielką była mniej, niż mierną. Pan Wandalin nie otrzymał pracy żadnej.

Oto wszystko, co zaszło i stało się w losie państwa Wandalinowstwa. Wystarczyło to, aby wygnać z ciasných izdebek tę odrobinę spokoju i dostatku, która istniała była u nich jeszcze.

Cisza głęboka panowała w chłodném, nagim, na-pół ciemném mieszkanku. Nie przerywał jej ani śloskot, ani gwar miejski, uliczka bowiem wązka i ciemna cichą była i niemal pustą, a na piętro najwyższe kamienicy przedzierały się we dnie nawet słabe zaledwie odgłosy zewnętrznego miejskiego życia.

Ciszę tę przerywał za to odzywający się od czasu do czasu z-z wielkiego parawana w kuchni ustawionego,

krótki, suchy kaszelek, leżącej na łóżku Rózi, albo też stuk siekiery, kędyś w poblizkiej sieni jakiś, czy kuchni, drzewo rąbiący.

Zastukano do drzwi. Pani Wandalinowa szybko podniosła się z krzesła.

— Czy to ty, Wandalinie? — zapytała.

— Ja, Adelciu — odpowiedział za drzwiami miękki, znizony głos mężki, a po chwili do kuchenki, oświetlonej słabym, przez otwarte drzwi wnikałym, blaskiem lampy, w bawialnej izdebce palącej się, wszedł pan Wandalin.

Pomimo dobrego mroku, który panował dnia tego na dworze, pan Wandalin niósł surdut swój na ramieniu, a zmęczony ogromnie, zziębnięty, rękawem od koszuli ocierał pot kroplisty, spływający mu po ramię zawsze i, jakby księżyc w pełni, okrągłym obliczu.

— Tom się dopiero spracował dziś, Adelciu — rzekł, sapiąc głośno i z ciężkością surdut przywdziewając. — Urąbałem drzewa, tam na trzecim piętrze... Wystarczy im już chyba na jakie dni kilka... Niebogaci ludziska, ale zapłacili mi zaraz... Ot macie... złotówkę całą zarobiłem... niech-że mi nikt dziś nie mówi, że *Ciastusiem* jestem!...

Mówiąc to, pan Wandalin składał na stole przed żoną białą błyszczącą monetę.

— Będzie jutro chleb za to i trochę krupniku może... Na drewka zarobię może znowu, bom już tam

szepnął kucharce tych państwa, co na pierwszym piętrze, aby nikomu innemu drzewa do rąbania nie dawali... Pocziwa kobiecina przyrzekła i mówiła, że może nawet jutro z rana robota będzie...

Sapał ogromnie, mówiąc to, pan Wandalin, i wciąż sobie pot ocierał z twarzy, która jednak promieniała widocznym bardzo wewnętrznym zadowoleniem, uczuciem tryumfu nieledwie. Krótkotrwałą przecież była radość ta ojca rodziny, z poczucia użyteczności własnej i spełnionego obowiązku poczerpnięta. Przerwał ją suchy, krótki kaszelek, odzywający się znowu w kuchence, z-za parawana. Czoło pana Wandalina zmarszczyło się w kilka fałd poprzecznych i głębokich.

— Kaszle ciągle? — wymówił bardzo cicho, patrząc na żonę niespokojnym wzrokiem, i wskazujący palec ku parawanowi wyciągając.

Pani Adela, która siedziała już na uprzedniem miejscu i szyła pilnie, milcząc skineła głową.

— Byłyście dziś u doktora? — zapytał pan Wandalin, siadając i pochylając się ku żonie.

— Byłyśmy — odrzekła pani Adela, nie podnosząc oczu.

— Cóż powiedział?

— To samo, co i dwa tygodnie temu, kiedy zabronił Rózi chodzić do fabryki tytoniu. Kazał jęj jeść jak najwięcej mięsa i pić wody Emskie...

— Jak najwięcej mięsa... wody Emskie... — ma-

chinalnie jakby powtórzył pan Wandalin, i pozostał przez chwilę z postawą osłupiałą, z otwartemi usty i oczyma szklisto wlepionemi w twarz żony.

— Zkąd-że wziąć na mięso?... zacóż kupić te wody?... — wyszeptał nakoniec, i z ciężkiem westchnieniem nisko pochylił głowę.

Pani Adela za to podniosła twarz. Ciemne, pojętne, pocziwe jęj oczy, utkwily na chwilę w znękanęj twarzy męża, z wyrazem głębokiego spólcucia... Wyciągnęła rękę, uzbrojoną brzydkim mosiężnym narparstkiem, i powiodła dłonią po zbruzdżoném i nisko pochyloném czole jęgo.

— Cóż robić? mój Wandalinie — szepnęła łagodnie. — Robimy, co możemy: Sprzedaliśmy na komorne wszystko, cośmy mieli u siebie trochę kosztowniejszego. Ja szyję od rana do nocy, ty od trzech dni już rąbiesz drzewo...

— Cóż z tego? — jęknął pan Wandalin — kiedy dziecka naszego ratować nie możemy...

Pani Adela wstrząsnęła głową z powątpiewaniem jakimś.

— Zapewne — mówiła zawsze bardzo cicho, aby słowa jęj w sąsiedniej izdebce usłyszaniemi być nie mogły; lepsze wygody i lekarstwa przydały-by się zapewne Rózi... ja jednak, po babsku może na rzeczy patrząc, myślę, że daleko więcej pomogło-by jęj coś innego...

— Co? co? — zapytywał niespokojnie mąż.

— Rózia jest zajęta... bardzo żywo jest zajęta Pawelkiem Pompalińskim -- szepnęła pani Adela — tęskni za nim... gryzie się tém, że przestał on u nas bywać!...

Pan Wandalin na-pół smutnie, na-pół gniewnie potrząsał głową.

— Al — westchnął — tak to zawsze bywa w świecie najlepsi nawet przyjaciele opuszczają tych, których opuściła fortuna.

— Nie oskarżaj Pawelka, Wandalinie — rzekła pani Adela — postępuje on tak, jak uczciwy człowiek postępować powinien... Gdy tylko spostrzegł zajęcie się nim Rózi, oddalił się od niej, aby więcej jeszcze nie wzmacniać i nie utrzymywać jej uczucia...

— Tak, tak! — szemrał wciąż pan Wandalin — Rózia jest teraz biedną, bardzo biedną dziewczyną. Dlatego-to taki nawet ubogi kawaler, jak Pawełek, uczuciem jej gardzi...

— Ja myślę, że nikt nie mógł-by i nie śmiał gardzić uczuciem córki naszej — żywo przerwała pani Adela. — Ale Pawełek jest sam, jak wiesz, samotnym chłopcem, żyje na łasce swych krewnych. Czyż może więc o ożenieniu się z ubogą też dziewczyną pomyśleć choćby...

— To prawda! to prawda! — namyślał się, trzęsąc wciąż smutnie głową, pan Wandalin. — Masz słuszność, Adelciu, masz zupełną słuszność! Ty myślisz zawsze za siebie i za mnie, i wszystko mi zawsze wy-

tlómaczysz. O! biedna, biedna Rózia! najbiedniejsza tém, że ma takiego ojca niedołęge...

— Wandalinie! — z łagodnym wyrzutem szepnęła pani Adela — zaczynasz znowu dręczyć się temi skrupułami i wyrzutami sumienia...

— Nie zaczynam wcale, bom nie przestawał nigdy i nigdy nie przestanę! Nędzna bo ze mnie istota! Gdybyście miały innego ojca i męża... Gdybym był takim dzielnym, sprężystym człowiekiem, jak tylu innych ludzi, a nie takim opasłym wołem, jak jestem, nie marły-byście głodem i Rózia miała-by posag dostateczny, aby wyjść choćby za najuboższego chłopca.

— Mój Wandalinie! — odezwała się pani Adela — mówisz, sam nie wiesz co! O pracę teraz taką, do której uzdolnionym jesteś, bardzo trudno. Dlatego też rąbiesz drzewo. Co się tycze zbierania posagu dla Rózi, są to już bujania twojej wyobraźni, na które odpowiedzi niema. Co do mnie, nie rozpaczam wcale. Tyleśmy już od ośmiu lat przebyli, tyleśmy się poświęcić natuli i różnych okropnych położań przemieśli, z których zawsze dzwignęliśmy się jako tako, że i teraz pewną jestem, iż w jakikolwiek sposób uratujemy się z tej ostatecznej biedy, która nas zaskoczyła. Gdyby nie choroba Rózi i ten jej smutek głęboki, którego nie rozerwać i zmniejszyć nie może, z pewnością patrzyła-bym w przyszłość i nie dbała-bym o nic...

Tak mówiła pani Adela, ciesząc i uspakajając męża. A jednak z twarzy jej, która w ostatnich tygodniach zbladła i schudła znacznie, z wyrazu oczu, które chwilami mglily się łzą, niepodobną, zda się, do powstrzymania, poznać można było, że dbała ona o wszystko bardzo serdecznie, bardzo trwożnie, że ufność w pomyślny zwrot losu daleką była od jej myśli, że serce jej macierzyńskie, niemo, lecz bardzo dotkliwie ścisnęło się bólem i zamierało od trwogi, pod wyszarzanym stanikiem ubogięj jej sukni.

Teraz, za parawanem w kuchence, dał się słyszeć szelest powstającej z łóżka osoby. Do bawialnej izdebki powolnym i osłabionym widocznie krokiem weszła Różia. Miała ona na sobie tę samą, co przed dwoma tygodniami, ciemną wełnianą sukienkę i ciepłą dużą chustkę, w którą się otulała przed chłodem w mieszkaniu panującym, a dla niej, jak się zdawało, szczególnie dotkliwym. Wśród delikatnej i białej, jak chusta, twarzy dziewczęcia, ciemne wielkie oczy świeciły z pod długiej rzęsy żywym blaskiem gorączki. Gruby, jedwabisty warkocz, ocieniał blade jej czoło, a cienie, zaledwie różowe wargi, uśmiechały się łagodnie, gdy zbliżała się ona ku miejscu, na którym siedzieli i z cicha z sobą rozmawiali jej rodzice.

— Wstałaś, Róziu? — rzekła pani Wandalinowa, podnosząc na córkę wzrok, którego niepokój dare-

mnie ukryć usiłowała. — Dlaczego nie poleżałaś jeszcze trochę?

— Odpoczęłam już dosyć, moja mamó — odrzekła dziewczyna — wróciwszy od doktora, byłam trochę zmęczona... to tak daleko! ale teraz odpoczęłam już i jest mi daleko... daleko lepiej!

Mówiąc to, wzięła koszyk, kawałkami pokrajanego płótna napełniony, i, postawiwszy go na stole, usiadła po drugiej stronie lampy.

— Róziu! — wymówiła pani Wandalinowa.

— Co, mamciu?

— Może-bys lepiej dziś już nie szyła. Jak posiedzisz trochę w nachyleniej postawie, zaraz ci gorzej...

— O! nie, mamciu kochana — z żywością odparła dziewczyna — nie będzie mi dziś gorzej... z pewnością nie będzie, czuję się prawie zupełnie zdrową, i nie mogę siedzieć z założonymi rękoma...

— Róziu! — zawołał nagle pan Wandalin — wiesz co? naucz ty mnie szyć! czy to święci garnki lepiej! naucz się prędko, zobaczysz! a potem ty sobie będziesz siedziała z rękoma założonymi, a ja za ciebie będę szył!

Była to tak niespodziana i niesłychana propozycja, że obie kobiety rozśmiały się serdecznie.

— Dobrze, ojczulku! — zawołała Różia — naucz ojczulka szyć, i będziemy potem szyć wszyscy troje! No, lekcyja pierwsza rozpoczyna się! Niech ojczulek

bierze w jedną rękę płótno, a w drugą igłę! nie! nie tak! płótno powinno być w lewej ręce, a igła w prawej! tak, dobrze, teraz proszę igłę w płótno włożyć raz... drugi i zrobić ścieg! cha, cha, cha! to dopiero ojczulek śliczny zrobił!... to nie! drugi lepiej się może uda!...

Mówiąc tak, śmiało się blade dziewczę przytłumionym śmiechem piersi, od wesela odwyklęj; pan Wandalin, z postacią ku lampie pochyloną, z nadzwyczaj szeroko otwartymi oczyma i również nadzwyczajną powagą na rumianej twarzy, zatapiał igłę w grubém płótnie i wyszywał na niém ścieg, najzupełniej nieznanego dla wszystkich pod słońcem krawców i szwaczek kształtu i rozmiaru.

— Dobrze, ojczulku — śmiała się wciąż Różia — teraz dalej, niech ojczulek drugi ścieg zrobi, mniejszy tylko znacznie i nie taki krzywy...

Pan Wandalin, z jednostajną zawsze uwagą i powagą błdził jeszcze chwilę ostrzem igły po powierzchni płótna, potem igła i płótno z rąk mu wypadły.

— A to, dalibóg, trudniej jeszcze, niż drzewo rąbać!... nigdy nie spodziewałem się... — wymówił z najgłębszym zdumieniem.

— A widzi ojczulek, jakie to my mądre jesteśmy kobiety, i jakich trudnych rzeczy dokazujemy! — żartowała Różia, i rękę ojca ku sobie przyciągnawszy, błdziutkami ustami swemi do niej przylgnęła.

Pani Adela, z widoczną rozkoszą patrząc na rozweseloną nieco twarz córki, śmiała się także z lekcji szycia i niefortunnego jej wyniku.

— Oh ty! — rzekła, gładząc znowu dłonią czoło mężowskie — tybys teraz gotów poprosić kogo, aby cię nauczył być ministrem...

— Oho ho! co ci się śni, Adelciu! — kręcąc palcem w powietrzu odparł pan Wandalin — ministrem... ministrem... żebym mógł być choćby porządnym szewcem....

— A cóżby ojczulek robił, gdyby był szewcem? — zagadnęła pilnie Różia.

— Cobym robił? — namyślał się pan Wandalin. — A wiesz co? szylbym od rana do wieczora... i od wieczora do rana.

Dwie kobiety zaśmiały się znowu, i z tklivością spojrzały na ojca rodziny, którego najszczytniejszém marzeniem było... módz być szewcem.

W tej chwili zadzwoniono do drzwi.

— Kto-by to mógł być? w tej porze? — ze zdziwieniem rzekła pani Aniela i wstała ze stołka.

— Złodziej może jaki... nie trzeba otwierać, Adelciu, zauważył pan Wandalin.

— O! niech mamcia otworzy! — stłumionym głosem zawołała Różia, a bladnącą twarz jej płomienisty oblał rumieniec.

— Zapytaj wprzód: kto tam? Adelciu! — wołał

pan Wandalin do żony, która zbliżała się już ku drzwiom od wschodów.

— Ale po co mam pytać? — sprzeciwiała się żona.

— Ależ zapytaj, duszko! tyle teraz w mieście kradzieży — prosił mąż.

— Kto tam? — zapytała, u drzwi stojąc, pani Adela.

— To ja, szanowna pani! i ktoś inny jeszcze ze mną... Mam nadzieję, że mnie pani pozna po głosie — odparł za drzwiami głos mężki, przyjemnie brzmiący.

Różia, która siedziała wyprostowana i z nadstawionem uchem, na dźwięk głosu odzywającego się za drzwiami zbladła nagle i bardzo pochyliła się. Wielka chustka spadła jęj z ramion, i widać było, jak wiotka, delikatna jęj kibić, poruszała się cała drżeniem niepohamowanem.

— Pan Paweł, — zawołali oboje państwo Wandalinowstwo, ale wnet umilkli, bo tuż za Pawełkiem wszedł nieznany im zupełnie mężczyzna, wyższy znacznie od Pawełka, w obcisłe lecz kosztowne futro ubrany.

Nieznany przybysz pośpiesznie zdjął futro, i w nieśmiałej postawie zatrzymał się u drzwi. Ujął go pod ramię Pawełek i, prowadząc ku obojgu gospodarstwu, przedstawił im hrabiego Cezarego Pompańskiego.

Państwo Wandalinowstwo powitali młodego gościa z uprzejmą swobodą, którą niegdyś odznaczeni się w pięknych salonach dziedzicznego swego Kwiecina, a której nie stracili wśród trosk i cierpień tułaczki i ubóstwa.

— Miałem przyjemność znać ojca i stryja pana hrabiego, — mówił pan Wandalin, wskazując gościami twardego stołek, przy wązkiej kanapie stojący; — stryj pana, hrabia August, lubił zwykle polować w Kwecińskich lasach, gdy przybywał w nasze strony. Pamiętam nawet, że przywoził z sobą na te myśliwskie wyprawy młodziutkiego podówczas syna swego, hrabiego Wilhelma. Pana jednak, panie hrabio, o ile przypominam sobie, nie spotkałem nigdy ni razu...

— I owszem, Wandalinie — uśmiechnęła się uprzejmie pani Adela — pamiętam, że gdyśmy kiedyś oddawali w Pompalinie wizytę hrabinie Jarosławowej, widzieliśmy i hrabiego Cezarego. Ubrany był podówczas w błękitną aksamitną bluzkę, i przechadzał się z duchownym nauczycielem swym po ogrodzie.

— Ty bo masz taką dobrą pamięć, Adelciu...

— Zdaje mi się — zauważył Cezary — że czas, o którym łaskawa pani przypomina, nie jest zbyt oddalonym. Mam obecnie lat 23, a ubierano mnie w błękitne bluzki do siedemnastego roku mego życia.

Cezary mówił to z lekkim uśmiechem, wnet jednak dodał poważniej:

— Raczcie łaskawi państwo przyjąć najszczer-

sze tłumaczenie się moje, żem dotąd nie złożył wam należnego uszanowania. Jako krewny państwa i człowiek zupełnie wolny od wszelkich ważnych zatrudnień, powinienem być uczynić to już oddawna...

— Pokrewieństwo, zachodzące pomiędzy nami, jest tak dalekie! — rzuciła pani Adela, od niechcenia niby, ale w oczach jej i na twarzy całej widać było szczere uradowanie z tego przyznania się do niej milionowego krewnego.

Rumiana twarz pana Wandalina promieniała też zadowoleniem, tajemną, a może wsteczną myślą wywołaném. Z godnością przecież taką, jak gdyby znajdował się w obszernym swym, ciepłym i wykwinnym domu Kwiecińskim, rzekł:

— Nie śmielibyśmy wymagać... Żyjemy tak cicho i skromnie...

Cezary, który nieznacznie rzucanemi wejrzeniami rozglądał się po mieszkaniu, myślał zapewne, że ludzie ci żyli w istocie bardzo, nadzwyczaj skromnie. Nigdy jeszcze dotąd nie znajdował się w tak chłodnym, wilgotnym, nagiem i ciemnym mieszkaniu. Jeden osobiście przedmiot zwracać zdawał się jego szczególną uwagę. Była nim mała świeczka łojowa w mosiężnym lichtarzu, którą Rózia, po szybkim powitaniu gości, wybiegłszy z bawialnej izdebki, zapaliła na stole w kuchence. Podobny sposób oświetlenia pokoiów Cezary widział pierwszy raz w życiu, z bliska przynajmniej. Przypatrywał mu się też od

czasu do czasu mimowoli zupełnie. Żywiój jednak i dłużej przytrzymała przy sobie uwagę jego śliczna a smętna, piętnem nędzy i chorowitości wyraźnie obleczone, twarzyczka Rózi. Cokolwiek mówił mu o niej Pawełek, Cezary nie wyobrażał sobie, aby dziecko to tak piękném było i tak rozrzewniającém. To też, gdy państwo Wandalinowstwo zabawiali go rozmową, niezbyt wyszukaną wprawdzie, ale uprzejmą i rozsądną, gdy zapytywali go o wspólnie znane im strony i osoby i winszowali, iż nie pozbył się dziedzicznej Malewsczyczyny swój, jak to wprzód miał podobno w zamiarze; twarz Cezarego, na której leżało jeszcze piętno przebytych tak niedawno smutków i walk, jakby zmiękła, pod wpływem coraz żywiój odzywającego się mu w sercu głębokiego współczucia i przybrała wyraz bardzo sympatycznej dobroci i przyjacielskości.

W kuchence tymczasem, przy żółtém i wcale nie rześmistém oświetleniu świeczki łojowej, odgrywała się przecież scena pełna wdzięku i uczucia. Pawełek i Rózia witali się po długim niewidzeniu, po cięższej jeszcze od niewidzenia myśli, że może nie zobaczą się już ze sobą nigdy. Rzadko bardzo zdarza się na świecie, aby powitanie jakiegokolwiek trwało tak długo. Na widok bladej ukochanej i widocznego upadku jej na siłach, Pawełek nie mógł dłużej, a może nie chciał, hamować swych uczuć. Trzymał w dłoniach

swych obie jęj drobne i gorące rączki i co chwila podnosił je do ust. Przypomniawszy sobie coś, a raczej szeptał, ale co? tego już nawet świeczka łojowa, gdyby miała uszy, dosłyszć-by nie mogła. Były to zapewne zwierzenia jakieś i upewnienia, długie opowieści o smutku, jakiego doznawał, o tęsknocie, którą przecierpiał, przemieszkując przez te parę tygodni na dobrowolnie obranej ziemi wygnania. Było to coś bardzo zapewne miłego dla wychylającego się z za ciemnych warkoczy małego uszka dziewczyny, gdyż tak bardzo blada wprzód twarz jęj zakwitła, jak róża, delikatnym rumieńcem, a z pod spuszczonej powieki i długich rzęs widać było, jak oczy jęj błyszcząły naprzemian tklivością, smutkiem i nadzieją. Długo jednak nie odpowiadała, a z twarzy i gięstu Pawełka widać było jednak, że prosił ją i naglił o odpowiedź. Podniosła nakoniec powieki, niezwykłą moc uczucia i stanowczość myśli powlokła bardzo pięknym wyrazem delikatne jęj rysy.

— Tak — rzekła z cicha — jesteśmy oboje bardzo biedni, ale czyż dlatego rozstawać się mamy i nie widywać z sobą więcej? Było-by to bardzo złym wyrachowaniem, kuzynku! bo dokładaniem jednęj więcej boleści do wszystkich innych.

Zatrzymała się na chwilę, jakby zawstydzona słowami własnemi, ale wnet, przewyciężając nieśmiałość swą, mówiła dalej:

— Nie możesz nawet wyobrazić sobie, kuzynku, jak wspólne przywiązanie, które wiąże pomiędzy sobą rodziców moich i mnie, osładza nam i czyni lęjszém terażniejsze położenie nasze! Wiele, wiele mamy smutków i kłopotów, a jednak miewamy chwile miłe, a nawet niekiedy... wesołe. Walczymy z biedą, jak możemy i umiemy... ojciec drzewo rąbie... my z mamą koszule szyjemy dla robotników z pobliskiej fabryki... i gdybyśmy tylko żadnych innych smutków nie mieli...

— A ty, kuzynko, byłaś czego innego smutną? — zagadnął Pawełek.

Dziewczyna milczała znowu chwilę ze spuszczonejmi oczyma, potem jednak z niespodziewaną mocą wymówiła:

— Tak, byłam smutną... czego innego jeszcze... tego, kuzynku, że ty tak bardzo lękasz się biedy, iż możesz wszystko przez obawę tę poświęcić...

— O! jakąż gorzką naukę dajesz mi, Róziu! — zawołał Pawełek i, ściskając znowu jęj obie rączki, zapalił i silném postanowieniem jakimś, wyrzucił na czoło i w oku, szeptał jęj o czémś długo, długo... póty, aż drżąc i uśmiechnięta cała nagle doznaniem szczęściem, wysunęła ona z dłoni jego swe ręce, i lekka już, tak, jakby nigdy w życiu ani chorą, ani nieszczęśliwą nie była, poskoczyła na próg bawialni.

— Mamciu — zawołała z cicha — mamciu!

Pani Adela przerwała dość już ożywioną rozmowę, którą wiodła z gościem swym, i powstawszy, wyszła do kuchenki.

— Mamciu! — szepnęła do matki Rózia — trzeba-by było, abyśmy przyjęły czém hrabiego..

Pani Adela uśmiechnęła się wpół żartobliwie, wpół z zakłopotaniem.

— Niepospolite zadanie dajesz mi do rozwiązania, moje dziecko — rzekła. — Z pustego i król Salomon nie naleje....

— Może-by samowar nastawić! — mówiła Rózia.

— Dobrze-by było — odparła matka — herbaty mamy nawet trochę, ale zkad cukier i bułki...

Oczy Rózi pobiegły ku srebrnej złotówce, błyszczącój na stole w bawialni pod światłem lampy. Ale pani Adela wstrząsnęła przecząco głową.

— Nie, moje dziecko — rzekła — to na chleb jutrzejszy... nie mogę częstować dziś gościa kosztem jutrzejszego głodu... Hrabia Cezary jest, jak mi się zdaje, bardzo dobrym człowiekiem, rozumie położenie nasze, i nie obrazi się za brak przyjęcia.

— Nie obrazi się z pewnością — podchwycił Pawełek, który koniec rozmowy dwóch kobiet dosłyszał — pójdzie zresztą on sobie wkrótce, chciał bowiem tylko, jako krewny, zaznajomić się z państwem.

— Czego hrabia Cezary chciał, tego nie wiem — odparła żywo, zwracając się ku Pawłkowi pani Ade-

la — ale jaką była myśl pana, gdyś pan nam go tu przyprowadził, domyślam się i wiem doskonale.

Podala rękę zarumienionemu po uszy Pawłkowi.

— Niech panu Bóg odpłaci przyjaźń, jaką zachowałeś dla nas w doli i niedoli — rzekła.

Pawełek rękę jój pochwycił i do ust swych po niósł.

— Nie miał-by za co płacić! droga pani — zawołał ze zwykłą już sobie wesołością. — Pan Bóg, który patrzy w głębią serc i myśli naszych, wie dobrze, że przyjaźń moja dla państwa jest nadzwyczaj interesowną.

Tu oczy jego ukosem jakoś pobiegły ku Rózi. Pani Adela uśmiechnęła się, i żartobliwie palcem mu pogroziła. Serce jój przejęte było całą chwilą radości i szczęścia, która spłynęła na jój córkę, a w dodatku wstępowała w nie niejasna jeszcze, ale uspakajająca otucha, z niespodzianej wizyty bogatego krewnego wypływająca.

Wracała do bawialni z twarzą bardzo zamyśloną. Kręciły się jój po głowie myśli, w jaki-by sposób prosić hrabiego o jedyną rzecz, której teraz najmocniéj pragnęła... o zajęcie jakie dla męża i dla niéj. Przykro, nadzwyczaj przykro jój było wyzyskiwać jakby w ten sposób pierwszą bytność u niéj młodego krewnego, ale położenie było naglącém i zastanawiała

się nad tém, czy nie powinna-byprzewyciężyć wstępu swojego i dumy, przez wzgląd na dobro męża i córki.

Jakież było zdziwienie pani Adeli, gdy, zajmując miejsce swe przy stole, usłyszała męża swego, zwracającego się do gościa z następującemi słowami:

— Zdziwie, a może i zrażę pana hrabiego niewłaściwością tego, co uczynić zamierzam... Nie powinien-bym czynić tego we własnym domu i przy tak niedawno zabranéj znajomości... Ale... trudno... człowiek wielu rzeczy pozbyć się w życiu musi... między innemi téż próżnéj dumy i ścisłego zachowywania ceremonii światowych.

Umilkł pan Wandalin i spuścił oczy. Mówił tak pośpiesznie, a z taką jednak trudnością, że zasapał się i zmęczył.

— Zamierzam tedy — powtórzył, i znowu uciał.

— Zamierzam prosić pana, panie hrabio... czy-by nie można było...

Dwie krople potu wystąpiły na zarumienione czoło, snadź jednak postanowił już sobie mocno wypowiedzieć myśl swą do ostatka, i byłby ją z pewnością wypowiedział, ale w chwili, gdy wymawiał wyraz: prosić, Cezary ujął go za rękę, i z miękkim, przyjaznym nagięciem głosu, rzekł:

— Nie kończ pan... proszę. Pawełek mówił mi już, że potrzebujesz pan miejsca jakiegoś... pracy jakiej...

— O! tak, tak, panie hrabio—zawołał pan Wan-

dalin, ujęty dobrym wyrazem oczu młodego człowieka i sympatyczném brzmieniem jego głosu;—potrzebuję, okropnie potrzebuję jakiego miejsca, na którém wyżywić mógłbym pracą moją siebie i moich... Biedni jesteśmy, panie hrabio, ale nie wstydzimy się biedy naszej, bo Bóg i ludzie wiedzą, jakim sposobem ona do nas przyszła... Czego jednak wstydę się od rana do nocy, to bezczynności mojej i tego przekłętogo cielska, które nic a nic zmniejszyć się nie chce...

Tu roztworzył oba ramiona i, patrząc na gościa, z coraz większym mówił zapalem:

— Spójrzj na mnie, panie hrabio! wyglądam zawsze na opasłego wołu, karmiącego się cudzą pracą i nie dbającego o nic... Roztyłem się tak niegdyś jeszcze... na dawniejszym, gotowym a smacznym chlebie obywatelskim... co prawda, to na kuchni znałem się, jak nikt z sąsiadów, i obiadki w Kwiecie...

— Wandalinie! — szepnęła pani Adela, chcąc przerwać mężowi to rozpamiętywanie minionych gastronomicznych świetności i rozkoszy...

— Tak, tak, duszko — odparł mąż — masz słusność, jak zawsze... poco to już o tém wspominać, i czy to może pana hrabiego zajmować...

— Owszem, wszystko, co dotyczy państwa, zajmuje mnie istotnie i szczerze,—z prawdą i serdecznością w głosie, rzucił Cezary.

Pan Wandalin rękę jego pochwycił.

— Tak — zawołał — odrazu poznałem, że pan,

panie hrabio, jesteś dobrym, pocziwym chłopcem... przepraszam, że cię tak nazywam, ale mógłbym być ojcem twoim...

— Proszę, uważajcie mnie państwo za krewnego swego, tak jak i jestem nim rzeczywiście — ozwał się znowu Cezary.

Odezwaniam się tém do reszty podbity i ośmielony, pan Wandalin, porzucił już w mowie swój wszelkie ceremonie.

— Łaskawco! — zawołał z prośbą w głosie i błyskiem nadziei w oczach — czy nie masz tam dla mnie w dobrach swoich kąta jakiego?... rządcą sporego folwarku nawet mógłbym być... wszakżem na gospodarstwie wiejskiem zjadł zęby... ale nie chcę już tak wysoko i daleko... nie chcę... ekonomem mię zrób, gumiennym... czémkolwiek...

Gdy mówił, do oczu jego napływały łzy gorące, namiętnéj prośby. Po wyrazie wzroku jego, zawieszono na ustach gościa, znać było, że z ust tych oczekiwał wyroku życia lub śmierci nieledwie. Pani Adela, ze splecionemi i o stół opartemi rękoma, ze spuszczoną powieką, stała téż naprzeciw młodego człowieka w postawie pełnej godności i poważnego smutku. Różia, która przed chwilą weszła była do bawialni i słyszała całe przemówienie ojca, szeroko roztwarte, niespokojne oczy wlepiła w twarz tego młodego, nieznanego krewnego, który w téj chwili

odegrać miał względem najdroższych jég istot rolę niemal opatrznosciową.

Cezary milczał przez chwilę, widocznie wzruszony, potem, dziwnie jakoś promiennym wzrokiem powlókł po trzech tych twarzach sympatycznych, cierpieniem napiętnowanych, a ku niemu zwróconych i, powstając nagle, zawołał z uniesieniem w głosie.

— O! jakże szczęśliwy jestem!

— Jakże szczęśliwy jestem! — ciszej i spokojniej już powtórzył — że mogę uczynić dla państwa to, czego żądacie ode mnie... że mam kilka folwarków, w których niezawodnie, niezawodnie znaleźć się musi miejsce jakieś dla pana...

Nagle zamyślił się z niepokojem serdecznym.

— Niewiele wprawdzie — rzekł — zajmowałem się dotąd majątkowymi sprawami memi i szczegółów ich nie znam...

— Pawełku! — zwrócił się do przyjaciela, — ty zapewne słyszałeś, wiesz czy w Malewsczyźnie...

Mówiąc to, rumienił się i spuścił oczy. Piérwszy raz w życiu zawstydził się głęboko niewiedomości, w której zostawał co do interesów własnych. Ale wspomógł go dzielnie Pawełek, oświadczając, iż w dobrach młodego hrabiego istnieje znakomita liczba, kilkudziesięciu oficyalistów różnych stopni, zatém, wśród takiéj ilości miejsc, niema roku, aby się nie znalazł wakans jakiś.

— Wiem nawet o jednym — dodał Pawełek —

w Białej Górze odprawia się za parę miesięcy Rządca...

Cezary podniósł znowu na pana Wandalina wzrok pogodny i serdeczny i, wyciągając do niego rękę, rzekł:

— Z całego serca więc zapraszam pana na rządę do Białej-Góry.

Pan Wandalin osłupiał prawie z nadzwyczajnej radości; Rózia, patrząc wciąż na młodego kuzyna swjej matki, ręce jak do modlitwy spłotła; ale Cezary, nie czekając słowa podziękii, które na ustach uszczęśliwionych przez niego ludzi powstrzymywało wzruszenie, zbliżył się do pani Adeli.

— Czy pani uczynisz mi tę łaskę, aby naprawdę poczytywać mię za swego krewnego? — zapytał.

— Za najlepszego, najzaciejszego krewnego! — odparła pani Adela.

— W takim razie — zaczął Cezary.

Zawahał się i zarumienił znowu; przezwyyczajając jednak widoczną nieśmiałość swoję, wyjął z kieszeni pugilares.

— Tymczasem — rzekł proszącym głosem — na bieżące potrzeby, na podróż do Białej-Góry... raczcie państwo...

Pan Wandalin, zarumieniwszy się do szkarłatu, kładł już dłoń na rękę młodego hrabiego i z miną człowieka ciężko upokorzonego, zaczął:

— Panie hrabio...

Ale spójrzeniem i giestem powstrzymała go pani Adela

— Wandalinie — rzekła drżącym trochę głosem, — kiedyśmy u stryja i brata hrabiego Cezarego prosili o pracę, a oni odpowiedzieli nam, iż nie zniosą, aby kobieta, która nosiła kiedyś ich imię, była żoną ekonomy lub rządcy domu, a w zamian przysłali nam bogatą jałmużnę, odrzuciliśmy ich dary i uczyniliśmy słusznie. Ale od tego, który, zamiast przysłać nam hojną zapomogę przez kamerdynera lub plenipotentę swego, sam przyszedł do nas, który, przed podaniem nam ręki pomocy, wyciągnął ku nam rękę przyjazną, przyjąć możemy pomoc bez wstydu i grzechu... kuzynie, biorę od ciebie pieniądze te, jako zaliczkę na przyszłą pensję mego męża, a może i moję, spodziewam się bowiem, że nie odmówisz mi u siebie miejsca ochmistrzyni... zobaczysz, jaki znaczny dochód dam ci z pachtu i jakie tłuste indyki wykarmiać będę na twój stół...

Mówiąc to, śmiała się, ale głos jej drżał coraz bardziej. Kiedy nakoniec wzięła z ręki krewnego podawaną jej cenną asygnatę, dodała z cicha:

— Kuzynie! pod postacią tych pieniędzy dajesz mi w tej chwili zdrowie, a może i życie mego dziecka!

I nie mogąc już dłużej oprzeć się wzruszeniu swemu, mężna kobieta ta, która z suchym okiem, pogodnym czołem i czynną ręką przenosiła od lat wielu

kłęski, niedostatki i strapienia różne, obu dłońmi twarz swą zasłoniła i, osuwając się na kanapę, głębokim wybuchnęła płaczem.

W kwadrans potem Cezary i Pawełek zegnali panią Adelę, która, według zwyczaju swego, pokonała się i uspokoiła szybko, rozpromienionego szczęściem pana Wandalina i różową od miłych wzruszeń, daleko już zda się zdrowszą i silniejszą, niż była przed godziną, Rózię.

— Do widzenia, kuzynku! — uśmiechnęło się dziewczę.

— Do jutra, droga moja — szepnął Pawełek, rękę jej całując.

— Kuzynko — rzekł Cezary, pochylając się przed panią Adelą — wszak pozwolisz, abym was tu jeszcze odwiedzał? Tam bowiem — dodał z uśmiechem — na wsi, mam nadzieję, że będziemy widywali się często.

Cezary pierwszy opuścił mieszkanie swych nowych przyjaciół, za nim wychodził Pawełek. Gdy zaś za Pawelkiem drzwi się zamykały, Cezary ujrzał jeszcze, jak na środku kuchenki matka i córka rzuciły się sobie w objęcia i, szepcząc urywane ciche wyrazy radości, ściśle oplótły się ramionami, a ojciec rodziny, tak nagle dźwignięty z rozpaczki ku nadziei i radości, całym ciężarem grubiej swjej figury runął na klęczki i, podnosząc w górę krótkie, pulchne ramiona i okrągłe załzawione oczy, zawołał:

— O! daj mu Boże zdrowie, szczęście i długie życie na pożytek ludzki, bo zacny to, dobry, serdeczny chłopak!

Po kwadransie, dwaj młodzi ludzie wchodzili do hotelowego mieszkania Cezarego, które oświetlał pokojowiec Jan, wnosząc przed panem swoim kilka świec zapalonych.

— Cóż Cezary — po odejściu służącego zapytał z uśmiechem Pawełek — czy dobrze jest mieć miliony?

Cezary silnie uściśnął dłoń przyjaciela.

— Tak, Pawełku — rzekł z mocą — dziś pojąłem już jasno zupełnie, że miliony mogą dać szczęście. Chwili takiej, jak ta, którą przed kwadransiem przeżyłem, nie oddałbym za nic... nawet za uścisk kobiety, którą jednak... tak bardzo kochałem...

Smutek przesunął się znowu po jego twarzy, ale w téjże chwili ujął go za rękę Pawełek.

— Cezary! ja także mam do ciebie prośbę... Pieniądzy od ciebie nie wezmę — mówił dalej po chwili milczenia — za nic nie wezmę, gdyż mógł-byś myśleć, że wszystko, co kiedykolwiek mówiłem ci i okazywałem, natchnioném było przez uczucie interesowności... Ale... kiedy osiedlisz już *ich* w Białej Górze... proszę cię, zrób mię pisarzem prowentowym; pisać i rachować umiem dobrze, zdam się więc na to miejsce...

Cezary zaśmiał się swobodnie.

— Mój Pawełku — rzekł, obejmując ramieniem

swém przyjaciela — znajdzie się dla ciebie coś lepszego, niż miejsce prowentowego pisarza... Nie wiem jeszcze co, ale pomyślimy o tém obaj i znajdziemy z pewnością...

Słowa te mówił przyjaźnie i wesoło, ale zarazem z taką łagodną powagą, że znać było, iż w zupełności już uczuł się we właściwej sobie i przez się obranej roli, w roli dobrego i możnego szafarza pociech i wsparć.

Kiedy Pawełek opuszczał wieczoru tego mieszkania przyjaciela, na twarzy jego malowało się szczęście wielkie i swoboda umysłu zupełna. Czuł, że uczynił wiele dobrego dla syna dobroczyńcy swego, dla tego niedołężnego niedawno pupila swego, którego, nie wiedząc może sam o tém, kochał od dawna serdecznie i czule, przyszłość swą stanowczo już połączył w myśli z przyszłością ukochanej dziewczyny, a ozłacała ją w dodatku nadzieja bliżkiej, tak upragnionej mu, niezależności. Odrodził się więc w nim dawny Pawełek, wesoły, swobodny, do pieśni i żartów ochotny. Nucąc, zbiegał ze wschodów i żartobliwém słowem jakimś zaczął po drodze dawno i dobrze znajomego mu hotelowego kelnera, kiedy ten, zatrzymując się nagle, rzekł:

— Jak to szczęśliwie, że spotkałem pana tu jeszcze w hotelu... Siostra pana przyjechała wieczornym pociągiem!

— Moja siostra! — zawołał Pawełek zdziwiony.

— Tak, panna Leokadya Pompalińska. Dwa razy posyłała już komisyonera po pana do pałacu...

Pawełek kilku skokami, uczynionemi po wschodach, stanął u drzwi wskazanego sobie numeru. Zapukał lekko i wszedł do małego hotelowego pokoju, w którym na kanapie siedziała Leokadya.

— Ty tutaj, Leosiu? — zawołał Pawełek.

— Tak — odpowiedziała, podając bratu obie ręce — Generalowa umarła przed kilku dniami... spełniając przedśmiertny jój rozkaz, przywiozłam tu osobiście zlecenia, które mi, w chwili skonu prawie, dała do hrabiego Światosława Pompalińskiego!

ROZDZIAŁ XII.

W parę dni potém, w gabinecie hrabiego Światosława, odbywało się jedno z tych zebrań rodzinnych, które w każdej ważniejszej okoliczności otaczały zwykle zimnego i milczącego starca gwarem rozmów, narad, skrytych współubiegań się i niechęci. Gospodarz domu zajmował zwykle swe miejsce na długim fotelu, przy ozdobnym i żarzącym się węglami ogrzanym kominku; naprzeciw niego w zwyczajnej téż sobie postawie, bo z gracyą o gzems kominka ramieniem wsparty, lecz w niezwykajnym stroju, bo cały od złocistych guzów archeologicznego mundura błyszczący, stał hrabia August; hrabina Wiktorya, miękko i zarazem poważnie opłynięta zwojami jedwabów i koronek, zajmowała miejsce na kanapie; w niedalekiem jój sąsiedztwie, niby nieodstępny anioł stróż i przewodnik sumienia świętobliwej damy, siedział cichy i słod-

ki l'abbé Lamkowski; na szezlongu, pod ścianą stojącym, nudził się i gwałtownej chęci położenia bohater-sko opierał się hrabia Mściśław; dalej nieco, w pewnym etykietałném od członków rodziny oddaleniu, zajmował miejsce przy wielkim stole z lampą, pełnomocnik rodziny Pompalińskich, ów niefortunny niegdyś poseł hrabiny Wiktoryi, prawnik Cegielski.

Na stole, pomiędzy lampą a stosem kosztownych albumów, leżał zwój papierów znacznych rozmiarów, w wielkiej kopercie zamknięty i starannie opieczętowany. Prawn timerzymał dłoń na papierach tych, tak jak gdyby gotował się co chwila, na znak mu dany pieczęć rozłamać i treść pisma w kopercie zamkniętego głośno odczytać.

Rozmowa pomiędzy temi zgromadzonemi osobami toczyła się już snadź od chwil kilku. Hrabina, słodka i poważna jak zwykle, miała jednak w czarnych swych oczach, na twarz prawnika zwróconych, ostre jakieś błyski wewnętrznego rozdrażnienia.

— Tak więc — zwolna ciągnęła rozpoczętą z prawnikiem rozmowę — hrabia Cezary był wczoraj u pana?

— Tak, pani Hrabino. Hrabia Cezary żądał, abym mu wręczył wszystkie papiery, interesów jego majątkowych dotyczące. Mówił, że chce rozpatrzyć je, aby wiedzieć, co i gdzie posiada.

Zaledwie dostrzegalne drgnienie poruszyło wargami hrabiny.

— I pan oddał hrabiemu Cezaremu żądane przez niego papiery?...

— Nie śmiałem odmówić!... Pan hrabia jest pełnoletni...

— Naturalnie — przerwała hrabina — bardzo cieszę się tém, że hrabia Cezary uczuł chęć samodzielnego rządzenia interesami własnymi. Dotąd były to troski, które ja, słaba kobieta, dźwigać musiałam. Cieszę się, że syn mój uwolnił mnie od nich.

Uciecha hrabiny objawiała się w dziwny zaprawdę sposób. Mówiąc o niéj, zbladła, wargi jéj poruszały się coraz widoczniejszém drżeniem, a z oczu coraz niespokojniejsze, acz przelotne, spójrzenia spadały na sztywnie wyprostowaną postać i martwą twarz starszego jéj syna. Któs, nieznający jéj dobrze, posądzić mógł-by, że wewnętrznie słodka ta niewiasta doświadczała w téj chwili uczucia niepospolitego zawodu i rozjątrzenia.

Prawnik mówił dalej:

— Hrabia Cezary napisał także w mieszkaniu mojem list do głównego rządcy Malewsczyny o natychmiastowe przysłanie mu rachunków z tegorocznych dzierżaw i krescency, jako téż o utrzymanie w pogotowiu do rozporządzenia jego wszystkich wpływów, które-by od dnia napisania listu tego do ogólnej kasy dóbr weszły...

— *Voyons! voyons!*—ozwał się z szezlonga na którym sztywnie siedział, hrabia Mścisław — *mais ce*

pauvre César emancypuje się na dobre! Bardzo lękam się tylko, aby go ta hołota, z którą tak rad przebywa, nie wyexploatowała w bardzo krótkim czasie!

— Emancypuje się, *oui... chose...* emancypuje się! — jakby machinalnie z najwyższém zdumieniem powtórzył hrabia August.

Hrabina nic nie mówiła. Siedziała ona nieruchoma, jak posąg, ze spuszczonei oczyma i trochę tylko zaciśniętymi usty.

Nie mówił téż nic hrabia Światosław, a nawet zdawało się, jakby rozmowa wkoło niego toczona nie obchodziła go w najmniejszej mierze. Pochylony nieco, grzebał on w węglach wytwornym swym haczykiem, i tylko ktoś bardzo bacny dostrzedz-by mógł, jak różowy blask żaru, przeglądając się w przezroczystém jak lód jego oku, oświeślał na głębi jego utajony wyraz smętnego sztyderstwa.

Hrabia August przeciez coraz niecierpliwiej spoglądał na opieczętowany pakiet, przed prawnikiem leżący, i zdawał się wewnętrznie przygotowywać do ważnego jakiegoś i dość trudnego przemówienia. Wyprostował się nakoniec, zapiał kilka archeologicznych guzików i z lekkimi ukłonami, zwróconemi do osób w pokoju obecnych, zaczął w te słowa:

— *Comtesse! Comte! Cher neveu! Mr. l'abbé!* Winiszuję sobie, że w téj chwili tak smutnej dla nas, gdyśmy przez pośrednictwo pana... *chose...* pełnomocnika naszego na Litwie, uwiadomieni zostali o zaszłym nie-

dawno a tak pożalowania godnym skonie kuzyny naszej, pani Generałowej z Pompalińskich Orczyńskich... Winszuję sobie... że...

Tu hrabia August utknął w mowie. W białej zaś, chudłej ręce hrabiego Światosława złożony haczyk drgnął lekko i metalicznym dźwiękiem uderzył o żelazną kratę komina. Po chwili przestanku jednak, hrabia August ciągnął dalej:

— Winszuję sobie, że w chwili tak uroczystej, w której odczytywać mamy przesłaną nam w kopii przez pana... *chose*... pełnomocnika naszego na Litwie, ostatnią wolę wyżej wspomnianej a nieodżałowanej kuzyny naszej, pani Generałowej z Pompalińskich Orczyńskich... ja, *moi*... wobec zasmucającego wrażenia śmierci, która, *avouons le*, jest rzeczą bardzo brzydką i... zupełnie na świecie niepotrzebną... postawić mogę *devant vous, Comtesse, et devant vous aussi, Comte et cher neveu*, obraz... obraz... zupełnie innej natury, obraz młodości, łączącej się z pięknnością... *de l'amour qui s'allie à toutes les grâces*...

Zatrzymał się znowu na chwilę. Uśmiech nie wypowiedzianej błogości, którą zapewne sprawiała mu potoki krasomówstwa własnego, rozlał się po twarzy jego i spędził z niej do szczytu uprzedni wyraz zmieszania. Zapiął kilka jeszcze archeologicznych guzików i z nowym ukłonem dokończył:

— *Comtesse, Comte cher neveu, Mr. l'abbé*, mam zaszczyt objawić, że bawiący obecnie zagranicą syn

mój, Wilhelm, wstępuje w związki małżeńskie z panną Delicyą Kings.

Umilkł i wszyscy milczeli. Hrabia Mściśław rzucił się wprawdzie na swym szezlongu, ale nic nie rzekł; hrabia Światosław patrzył na brata lodowatemi, nie niemówiącemi oczyma, i tylko hrabina Wiktorya, po kilku sekundach milczenia, słodkim, stłumionym głosem, w kształcie zapytania, wyrzekła:

— *M-elle Kniks?*

— *Pardonnez moi, Comtesse* — odparł hrabia August z podniesioną głową i z zupełną pewnością siebie — *M-elle Kings...*

— *Oui, M-elle Kings* — powtórzył — jest to rodzina pochodzenia angielskiego... emigrowała do Polski w czasie... prześladowań religijnych... za czasów panowania w Anglii królowej... królowej... *chose... enfin* emigrowała do Polski, gdzie nadane jej zostały przez króla... króla... *chose... enfin*, nadane jej zostały dobra Białowzgórze...

Umilkł i wszyscy milczeli znowu. Po chwili mówił jeszcze:

— Syn mój, Wilhelm, wraz z narzeczoną swą i jej rodziną znajduje się obecnie w Dreźnie... dokąd i ja także, spełniając... *chose*... obowiązki ojca, udam się za parę dni także, *avec quelques amis*... z małą liczbą przyjaciół... *au nombre desquels sera le prince Amadée, le Comte Gustave, le Baron Glogau*... Z Dreznia orszak weselny uda się do Rzymu... *oui, à Rome*...

Tym razem na kanapie żywo zaszeleściła jedwabna suknia.

— *A Rome!* — zawołała hrabina i splotła ręce. W głosie jej i giescie objawiło się tyle najróżnorodniejszych uczuć, dźwiękiem jednego tylko, magicznego tego wyrazu w niej wzbudzonych, iż dziwić się nie było można, że pohamować objawu ich nie zdołała.

— *Oui à Rome!* — nie mogąc też taić uczucia tryumfu, powtórzył hrabia August — *le jeune couple...* młoda para otrzyma tam błogosławieństwo Ojca Świętego, *après quoi* uda się w podróż do południowej Francji, gdzie zwiedzi cudami słynne miejsce *de Notre Dame de Lourdes...*

— *Lourdes!* — powtórzyła hrabina ciszéj nieco niż wprzód.

— *Oui! Lourdes* — powtórzył jeszcze hrabia August — *après quoi*, młoda para... *le jeune couple*, uda się do Paryża, gdzie koniec zimy przepędzi i w jesieni dopiero, zwiedziwszy Londyn, Ostendę, Strasburg i Monachium, przez Wiedeń do rodzinnego kraju powróci... *Ce sera un petit tour du monde tout à fait amusant...*

— *Mais, mon oncle* — znudzonym głosem i ze znudzoną twarzą wtrącił hrabia Mścisław — admiruję ochotę hrabiego Wilhelma do tak nieustannego oglądania ze wszystkich punktów naszej nudnej planety!

— *M elle Kni... pardon... Kings* — ozwała się hra-

bina — posiadać musi zdrowie *vraiment robuste...* prawdziwie... wiejskie... jeżeli ośmiela się przedsiębrać tak długie i męczące wojaże...

Hrabia August nie zdawał się uważać za uszczypliwe wtrącania się synowca i bratowej. Zwrócił się do starszego brata i rzekł:

— *Et maintenant*, zechcesz może, *cher comte*, aby pan Cegielski przeczytał nam kopią ostatniej woli nieodżałowanej kuzyny naszej...

Być może, że różowy błysk tlejącego na kominie żaru przejrzał się w tej chwili w lodowatej źrenicy tej, drgnęła w niej bowiem ciemna jakaś, smutna iskra.

— Panie Cegielski — rzekł gospodarz domu, powoli i obojętnie zwracając się do prawnika — chciałbym pan przeczytać głośno treść tego pisma.

W ręku prawnika zaszeleścił papier. Powoli i bardzo wyraźnie, acz głosem nieco niższym i uroczysto nastrojonym, czytać on zaczął testament Generałowej. Było to pismo, które, prócz koniecznego formalnego wstępu, dzieliło się na punktów kilka. W pierwszym z nich Generałowa pisała:

„Dóbr Odrzynieckich, ze wszystkimi do nich należącymi folwarkami, fabrykami i lasami nie myślę wcale zapisywać i przekazywać komukolwiek. Wszystko mi jedno kto je weźmie. Niech je sobie zresztą biorą sukcesorowie nieboszczyka generała Orczyńskiego, męża mego, który mi te dobra przed śmiercią zapisał. Kto prawa swe do sukcesji po nieboszczy-

ku Generale udowodni, niech sobie te wielkie szmaty ziemi zabiera. Najpewniejszymi sukcesorami są, o ile wiem, panowie Tutunfowiczowie i Kobylkowscy. Niech tedy zabierają sobie, na co od dawna już oczy swoje szeroko wytrzeszczali. Prawdę mówiąc, nie warci oni tego bogactwa, bo utracąysze są i półgłówki. Ale żyjąc tak długo na tym świecie, nieraz już widziałam, że aniołowie pijanych na rękach swych noszą, a Pan Bóg głupcom sprzyja. Co mi tam do tego? Niech już sobie Opatrzność osobliwszego porządku tego dopilnowywa, a ja łamać sobie nie myślę starą moją głowę, i bogactwa te stryjeczno-stryjecznego dziadka ich oddaję im! oddaję! oddaję!!!”

„Co do kapitałów i kosztowności które posiadam — pisała dalej Generałowa — inna to rzecz i mam na nie różne projekta, które sobie dawno już w mojej głowie ułożyłam.”

Tu następowało bardzo szczegółowe wyliczenie ilości i jakości posiadanych przez testatorkę bogactw. Pierwszy zaś z punktów, bogactwami temi rozporządzających, opiewał:

„Summę rubli srebrem sto tysięcy zapisuję Imci Panu Józefowi Worylle, chcąc wynagrodzić mu za to, że mu w domu moim ręce od zimna kostniały i że mu obiady moje nie smakowały. Ile razy, będąc umnie, zatrzęsł się od zimna i skrzywił się na pieczone kartofle, tyle razy zrobił mi tém prawdziwą przy-

jemność i rozrywkę. Niech-że teraz ma za to sto tysięcy rubli, z tém jednak, że pieniądze te ulokuje gdziekolwiek na imię syna swego; gdyby bowiem kapitał ten zostawał w jego własnych rękach, marnowałaby go, jakby sama chciała, żona jego, Sylwia, co nie powinno nastąpić, gdyż Imci Pani Sylwii ciepło było zawsze w domu moim jak w niebie, a moje kartofle pieczone i koguty żyłowe zawsze jej bardzo smakowały.”

— Szczególna to była kobieta! — nie mógł od wykrzyknika powstrzymać się prawnik.

Hrabina uśmiechnęła się wzgardliwie nieco, hrabiego Mściława oryginalny testament ten zdawał się nieco zajmować i bawić, hrabia August z widoczną niecierpliwością oczekiwał dalszego jego ciągu, i jeden tylko błąd, nieruchomy starzec, u komina siedzący, żadnego nie objawiał uczucia. Powieki miał spuszczone, wargi ściśle zamknięte. Chuda, ściągnęła twarz jego wydawała się prawie martwą.

Prawn timerztał dalej:

„Stryjeczno-ciotechno-wujecznęj siostrzenicy mojej Imci Pani *Żuliecie* Kniksowej zapisuję dwie broszki i cztery kolce brylantowe, z których lubiłam układać pajaka z długimi nogami. Uważałam nieraz, że Imci Pani Kniksowa przypatrywała się temu pajakowi z nadzwyczajną przyjemnością. Niech-że tedy cacka te służą jej po mojej śmierci i niech je sobie w pajaki

czy tam w gwiazdy układa od rana choć-by do wieczora.”

„Najmłodszą córkę JPani Kniksowej, pannie Delicyi Kniksównie, a przyszłej podobno hrabinie Pompalińskiej...

Tu pomiędzy słuchaczami zrobił się ruch pewien, jedwabna suknia hrabiny zaszeleściła niespokojnie, hrabia Mściśław szepnął na swym szeszlągu, *voyons! voyons!* a hrabia August tak dalece usiłował przyoblec twarz swą wyrazem najwyższej obojętności, że aż oblała się ona szkarłatem najwyższego niepokoju. Prawnik czytał dalej:

„Przyszłej podobno hrabinie Pompalińskiej zapisuję gorset swój, który niedawno sprowadziłam z Warszawy, a którego znosić, zdaje się, że nie będę już miała dość czasu. Wyborny gorset! Giętki jak wosk i atlasem podszyty. Imci Panna Delicya, która i tak jest bardzo zgrabną dziewczyną, będzie w nim jeszcze zgrabniejszą hrabiną.”

Po odczytaniu punktu powyższego, prawnik umilknąć musiał na chwilę dla powstrzymania gwałtownego śmiechu, który go porywał.

Wśród ciszy, która w czasie pauzy tej zapanała, dał się słyszeć naprzód leciuchny wykrzyk hrabiny:

— Ależ to nieprzyzwoite! *c'est de la dernière inconvenance!*

Hrabia Mściśław głośniej nieco zawołał:

— *Mais c'est impardonnable!* Ta pani żartowała sobie widocznie z rodziny naszej! Pocóż tu było do absurdów tych i nieprzystojności mieszać nasze nazwisko!..

— W całym testamencie tym — westchnął z cicha l'abbé — nie widzę, niestety, ducha miłości i pokory chrześcijańskiej.

Hrabia August nie z razu nie mówił. Dusza jego przechodziła w tej chwili całą gamę uczuć, które z kolei wybijały się mu i na twarz. Ostatnim jednak tonem tej gamy było uczucie dumy i godności osobistej.

— Pani Generałowa — rzekł, prostując się — w sposób niewłaściwy zupełnie zażartowała z panny Kings, przyszłej mojej... synowej. Co się tycze jednak tego, że nie obarczyła jej ona żadnym zapisem na seryo, ciesząc się... bardzo ciesząc się z tego. Syn mój posiada sam dość środków majątkowych, aby móż zapewnić swjej żonie stanowisko odpowiednie... a panna Kings wnosi w dom nasz najpiękniejszy z posagów, bo młodość, wdzięki — talenta... i *chose...* cnotę...

— Jakie wspaniałomyślne uczucia! — zawołała hrabina.

W głosie jej było uniesienie, w oczach pokorne uniżenie się przed tyłu ujrzaniami cnotami, a na ustach błędził kołący, szczypiący uśmieszek.

— Nie wiedziałem, *mon oncle*, że posiadasz tak

wiele ducha rycerskiego! *mais nous sommes en pleine cour d'amour!* — sarknął z szezlonga Mścisław.

— Rezygnacya pana hrabiego — szepnął l'abbé — godną jest prawdziwie chwały i podziwu!

Zdaje się, że hrabia August sam najbardziej w tej chwili czuł się podziwu godnym. Z powagą nadzwyczajną skłonił się dokoła, jakby dziękując za otrzymane komplementa i z nieodegnaną jednak, dziwnie natrętą chmurą na czole, prosił prawnika, aby chciał czytać dalej.

Punkta dalsze testamentu Generałowej brzmiały, jak następuje:

„Dalekiemu krewnemu memu, a wychowawcowi hrabiego Jarosława Pompalińskiego, Imci panu Pawłowi Pompalińskiemu, darowuję niniejszém sumę rubli srebrem dziesięć tysięcy, z warunkiem, aby, wyuczywszy się czego należy, został rzemieślnikiem, a lepiej jeszcze kupcem bławatnych lub kolonialnych towarów, i ażeby zakład swój rzemieślniczy lub kupiecki, umieściwszy w którymkolwiek z miast kraju tutejszego, zawiesił nad nim tablicę z wyraźnie wypisaném nazwiskiem. Jeżeli-by Imci Pan Paweł którykolwiek z warunków powyższych nie wypełnił, zapis niniejszy ma być uważanym za nieistniejący; spodziewam się jednak, że je wypełni, a hrabiowie Pompalińscy będą mi wdzięczni za to, że ich wychowawca ze ślamazarnika i darmozjada przerobiła na pracowitego i niezależnego człowieka.”

— *Quel tas des absurdités!* — wykrzyknął, zaczynający już gniewać się na dobre, hrabia Mścisław.

— Zdaje mi się, że następuje tu punkt dziwniejszej jeszcze treści — zauważył prawnik, przebiegając oczyma dalszy ciąg pisma.

— Nie wiem doprawdy, co mam czynić: pozostać do końca czytania tego, lub téż wyjść ztąd, — z wyniosłą obrazą szepnęła hrabina.

— Cierpliwości, pani hrabino, cierpliwości! pokory... mężstwa i rezygnacyi! — szepnął l'abbé.

Prawnika czytał dalej:

„Sumę pięćset tysięcy rubli srebrem...”

— Oh! — wykrzyknęli z lekka wszyscy prawie obecni.

„Sumę pięćset tysięcy rubli zapisuję niniejszém Imci Pannie Leokadyi Pompalińskiej, pannie do towarzystwa, której płaciłam rocznej pensyi czterysta rubli i dawałam jedną jedwabną suknię na rok...”

— Któż to taki?

— *Qui est cette demoiselle?*

— Zkąd-że tak wielki fawor! — rozeszły się po pokoju stłumione szmery. Umilkły jednak szybko przed dalszemi słowami pisma.

„Zapis ten dla Imci Panny Leokadyi czynię z warunkiem, ażeby oddała ona swą rękę jednemu z dwóch hrabiów Pompalińskich, Światosławowi lub Augustowi i połączyła się z którymkolwiek z wyżej rzeczonych hrabiów dozgonnym ślubem. Jeżeli połą-

czeniu takowemu stanie na przeszkodzie wola, bądź to Imci Panny Leokadyi, bądź drugiej interesowanej w tém osoby, zapis swój cofam. Suma wymieniona obróconą zostanie na użytek, który wskaże poniżej, a Imci Pannie Leokadyi wypłacone być mają dzieś tysięcy rubli, z któremi niech sobierobi, co sama chce."

Tym razem nie ozwał się w pokoju szmer, ani wykrzyk żaden najłżejszy! Wszyscy obecni skamienieli zda się ze zdziwienia i oburzenia, z wyjątkiem hrabiego Augusta, na którego chmurną fizyognomią wybijając się zaczęły wyraźne oznaki usilnie pracującej i niezupełnie przykrój myśli jakiegś, i hrabiego Światosława, którego zapadłe policzki zabarwiły się nagle dwiema plamkami bladych rumieńców.

"Punkt VII — przeczytał prawnik. — Dość blizkiemu krewnemu memu, hrabiemu Światosławowi Pompalińskiemu, przesyłam w pośmiertnym darze wszystkie obrazy, które w sypialni mojej, od lat nie wiem już ilu, wisiały, i którym przypatrywałam się bardzo często. O tymże krewnym moim pamiętałam zawsze i czyniłam zawsze, co mogłam, aby on także mógł mnie nie zapomnieć. Darowuję jemu i teraz bazgraniny te, z których niech wyczytuje to, com ja z nich wyczytywała, a doświadczy takich samych uczuć, jakich ja doświadczałam, i do końca życia swego nie zapomni już pewno o dawniej przyjaciółce swojej młodości."

— Zdaje mi się — przerywając czytanie, rzekł prawnik, — że, przybywając do pałacu, widziałem właśnie przesyłane z kolei, a obrazy te zawierające, paki. Spodziewać się, najpewniej spodziewać się trzeba istotnych i cennych arcydzieł...

— *Vous êtes vraiment privilégié, cher comte* — z uśmiechem ozwała się hrabina — jedyny to punkt w całym tém piśmie rozsądny!

— I trafiający właśnie do artystycznych usposobień pana hrabiego — dorzucił l'abbé.

Tak bardzo uprzywilejowany w testamencie Generałowej, dawny przyjaciel jej młodości, nie rzekł ani słowa, najłżejszego nie uczynił ruchu. Siedział wciąż w fotelu swym zagłębiony, ze spuszczonemi powiekami i zaciśniętymi usty, a tylko różowe plamki, które przed chwilą wybiły się mu na policzki, wzrastały coraz.

— Chciój pan kończyć to czytanie — zwróciła się do prawnika hrabina — koniec końcem, testament jest utworem bardzo oryginalnym i ciekawam, co się w nim jeszcze znajdować może!

Prawnika czytanie testamentu kończył:

"Punkt VIII. Wszelkie pozostałe od powyższych zapisów sumy i wartości, z jakichkolwiek źródeł pochodzące i jakiegokolwiek będące natury, zapisuję poetom i malarzom, tak tym, którzy już teraz wiersze piszą i obrazy malują, jak tym, którzy do pisania i malowania wyraźne okazują zdolności i tychże sztuk

pięknych uczyć się pragną. Niech tam już sobie exekutorowie testamentu mego łamią głowy nad tém, jakim sposobem rzecz ta ma być urządzoną. Życzyłabym tylko sobie, ażeby za pomocą tego wielkiego zapisu mego, jak największa ilość pięknych wierszy napisaną i obrazów wymalowaną została. Wszyscy bowiem ludzie na świecie są obłudnikami i kłamcami. Ale tylko poeci i malarze umieją pięknie kłamać. Niech-że z pomocą moją kłamią jak najwięcej i jak najpiękniej, aby ludzie, którzy dobrze widzą siebie samych i bliźnich swoich, słuchając kłamstw ich, czasem wstydzieli się, a czasem wyobrażali sobie, że żyją na jakimś lepszym świecie, niżli ten padół głupoty i podłości."

Tu następowało już zakończenie testamentu krótkie, bo w takich tylko słowach zawarte.

"Umieram, jak żyłam — w niezgodzie z ludźmi i z całym życiem mojem, które od dawna już wydało mi się wielką jakąś niedorzecznością, a większém jeszcze okrucieństwem, nade mną dopełnioném. Dwa razy złamano mię. Raz, kiedy po szczęśliwém dzieciństwie, w ubogiej chacie ojca mego spędzoném, dostałam się do pałacu wielce możnych i łaskawych krewnych Pompalińskich; drugi raz w dniu, w którym znaleziono mię zemdłą w parku. Mniejszych łamanin było potem bez liku. Nie proszę przecież nikogo, aby litował się nade mną po śmierci, jak nigdy nie prosiłam za życia, aby mię kochał. Nikogo

tóż za nic nie przepraszam, nie dlatego abym samę siebie miała za niewinną duszę bez zmazy, ale że jestem pewną, iż ludzie daleko więcej złego mi zrobili niż ja im."

"Jednego chyba Pana Boga przeprosić-bym chciała, ale zdaje mi się, że to zbyt wielki i zbyt wysoko mieszkający Pan, aby widzieć i słyszeć chciał tak mizerną, jak ja, osobkę. Jeżeli jednak prawdą jest, co mówią księża, iż Bóg, przez miłosierdzie swe, patrzeć niekiedy raczy na ten padół głupoty i podłości, o nic Go więc nie proszę, jak o to, aby, gdyśdzić mię będzie, na jednej szali złożył wszystkie błędy moje, grzechy, kaprysy i dziwactwa, a na drugiej wszystko to, co przecierpiałam. Jestem pewną, że druga szala przeważy, i że mię Lucyper do piekła nie zabierze. Amen."

Prawnik skończył czytanie, a w pokoju głęboka zapanowała cisza. Zdawało się, że ostatnie słowa testamentu Generałowej wywarły pewne, dość uroczyste wrażenie, na hrabinie nawet i hrabi Auguście. Co się tyczy młodego hrabiego Mściława, milczał on dlatego po prostu, że zazwyczaj, jeżeli nie czuł się ani obrażonym, ani rozgniewanym, przekładał o wiele milczenie nad mówienie.

Nie było tu zresztą czasu na rozmowy i uwagi, gdyż, w kilka sekund po wygłoszeniu przez prawnika ostatniego słowa testamentu, kamerdyner stanąwszy we drzwiach, oznajmił hrabiego Cezarego

Pompalińskiego i państwo Pawła i Leokadya Pompalińskich.

Na zaledwie dostrzegalny przyzwalający znak gospodarza domu, Bartholomész szeroko roztworzył drzwi, przez które, wsparta na ramieniu brata, weszła panna do towarzystwa Generałowej. Za przyjaciółmi swymi wszedł Cezary; pełen uszanowania, lecz poważny zarazem, uklon, oddał wszystkim obecnym i stanął na stronie nieco, pierwszeństwa, w mającej być stoczoną rozmowie, ustępując siostrze przyjaciela, posłance zmarłej Generałowej do tego bladego, sztywnego starca, który, bardzo powoli i z bardzo zimną twarzą, podnosząc się nieco na swym fotelu, lodowatym głosem wymówił:

— Przepraszam panią, że na powitanie jęj powstać nie mogę.

Poczęm usiadł znowu, nieruchomy jak zwykle, a tylko przezroczyście, zimnym blaskiem lodu świecące oczy, utkwiał w twarzy przybyłej kobiety z wyrazem chłodnego, dumnego nieco, pytania.

Wejście zresztą Leokadyi wywarło na wszystkich obecnych dość silne wrażenie ciekawości. Z wyjątkiem prawnika Cegielskiego, który, spełniwszy swe zadanie, a widząc, iż zanosi się tu na niepospolitą jakąś scenę rodzinną, dyskretnie i cicho wysunął się z pokoju, wszyscy zwrócili wzrok na tę nowo zjawiającą się, nieznaną dotąd, postać kobietę. Hrabina drgnęła z razu lekko, w chwili gdy kamerdy-

ner wymówił imię jęj syna, ale potęm, wyjąwszy wieszającą u pasa, w złoto oprawną lornetkę, uzbroiła nią oczy swoje, aby lepiej móżd przyjrzyć się tęg jakięjs... *demoiselle de compagnie*... która pobierała rocznie od dobrodziejki swęj czterysta rubli pensyi i jednę suknię jedwabną, a którą też dobrodziejka w tak dziwny sposób swatała jednemu z sędziwych hrabiów. Jakby dla lepszego przypomnienia, kim była dotąd, Leokadya miała na sobie czarną jedwabną suknię, tę samę zapewne, którą, jako dodatek do ostatniej raty sobie wypłaconęj, otrzymała była od zmarłej swęj dobrodziejki. Suknia ta zresztą, jakkolwiek jedwabna, tak prostą była i skromną, że dziwnie odbijać musiała od zbytkiem i wykwintem lśniącego otoczenia, w którym się obecnie znalazła... Pomimo to, Leokadya z wysoką swą kibicią, z pięknymi acz siwiejącymi włosami, z purytańską surowością zaczesauemi, z zimnē swē, dumnē trochę, a bardzo pięknē czarnē okiem, z prawidłowemi acz nieco przywiedłemi rysami, obleczonei cerą delikatną i bladawą, wyglądała, jak o tēm hrabina z cicha szepnęła l'abbemu, wcale dystyngowanie, i jak to hrabia August we własnej myśli swęj zauważył — wcale nie-szpetnie.

Hrabia Światosław za to zdawał się niczemu wcale nie przypatrywać i najlżejszych nad niczēm nie robić uwag.

— Przebaczy pani... — zaczął bardzo powoli

i nadzwyczaj chłodno,—że, przed kilku dniami, otrzymawszy bilecik, oznajmujący mi ję bytność, dziś dopiero widzieć się z nią mogę... Byłem słaby i niepodobna mi było przyjąć zlecenia, przesłanego mi za łaskawém pośrednictwem pani przez ś. p. kuchnię moję, panią Generałową. Dziś... jestem do ję usług i... słucham.

Leokadya skłoniła się lekko, a wyjmując z kieszeni pudełko małych rozmiarów i zbliżając się do stoliczka, przed gospodarzem domu umieszczonego, rzekła:

— Byłam jedyną osobą, która dniem i nocą towarzyszyła ostatnim chwilom pani Generałowej. Innych osób, prócz mnie, pani Generałowa przypuszczać do śmiertelnego łóża nie chciała i drzwi ję, z wyjątkiem lekarzy, były dla wszystkich tak domowych, jak odwiedzających, ściśle strzeżone. Ta-to zapewne okoliczność sprawiła, że pani Generałowa uczyniła mię powiernicą ostatnich myśli swych i życzeń... Życzeniem ję ostatniem, w chwili skonańa prawie wyrażoném, było, abym osobiście i jak najprędzej po zejściu ję doręczyła panu, panie hrabio, dwa te przedmioty...

Tu Leokadya z pudełeczka wyjęła i na mozaikowanej powierzchni stojącego przed hrabią stoliczka, złożyła: pierścioneł z brylantem, w czarną obwódkę ujętym, i kilka uschłych, bezbarwnych już i bez-

kształtnych, gałązek jakichś, a raczej łodyżek, żółkłą od starości wstążeczką związanych.

— Pani Generałowa — kończyła Leokadya — życzyła sobie, abym, oddając przedmioty te panu, panie hrabio, uwiadomiła go od nię, że pierścioneł tego nie zdjęła ona z ręki swęj przez całe swe życie ani na jedną sekundę, i że żadnych innych pierścioneł, prócz tego jednego, nigdy nie nosiła, jako też, że kwiaty te uschłe pochodzą z łączki małej, która znajduje się kędyś w bliskości pompalińskiego pałacu, a którą pan hrabia przypomni sobie może, i że od dnia, w którym ona kwiaty te otrzymała, spoczywały one w ję szkatułce, nie w tēj, w której chroniła brylanty swe i kosztowności, lecz w innę, w której nic wcale, prócz tēj garstki spróchniałych roślin, nie było...

Leokadya wypowiedziała to wszystko z zupełną prostotą, tonem zbytecznie nawet może chłodnym i powszednim. Spełniała obowiązek, włożony na nią przez umierającą kobietę, i nic więcej. Ani twarz ję, ani dźwięk głosu, nie dodały doń komentarza najlżejszego. A jednak przy słowach ję, tak nieruchoma zwykle, tak lodowato na wszystko obojętna, twarz starego pana zmieniła się bardzo. Przezroczyste źrenice jego, nieruchomo dotąd w twarz mówiącej utkwione, zmąciły się i ukryły za powoli i jakby z ciężkością spuszczaćcami się powiekami. Liczne na czole jego a głębokie bruzdy, głębszemi stały się i liczniejszymi. Milczał i z nieprzepartą, zda się, zadumą

patrzył w ziemię. Po bardzo krótkiej jednak chwili, nie podnosząc oczu, zapytał:

— Czy słowa, które raczyłaś mi pani powtórzyć, były ostatnimi słowami pani Generałowej?

Wymówił to powoli, głosem miększym trochę i trochę cieplejszym, niż był zwykły głos jego.

— Tak, panie hrabio, w minutę po daniu mi zlecenia, z którym tu przybyłam, pani Generałowa już nie żyła. Była to ostatnia myśl i były to ostatnie słowa w jej życiu.

Hrabia Światosław oderwał wzrok od ziemi. Usta jego drgnęły i otworzyły się parę razy, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, lub o coś zapytać, w kilka przecież sekund zaledwie wymówił:

— Chciéj pani przyjąć podziękowanie moje za trud, który podjąć raczyłaś...

Podziękowanie to było wyraźnie pożegnaniem. W téjże jednak chwili, hrabia August żywo opuścił miejsce, na którym dotąd stał, jak przykuty i, zbliżając się ku Leokadyi, posunął ku niej jeden ze stojących w pobliżu foteli.

— Raczej pani zająć miejsce — rzekł z głębokim ukłonem; — nie mam zapewne szczęścia być poznanym przez panią, a jednak rysy jej tak mi wydają się znanymi, że przysiągł-bym doprawdy, że... kiedyś... gdzieś... spotykać panią musiałem...

Dziwny jakiś, smutny trochę, uśmiech przebiegł po spokojnych, bladawych wargach Leokadyi.

— Domyślam się — odparła, nie zajmując ofiarowanego sobie miejsca, i tylko rękę swą kształtną i delikatną o poręcz fotelu opierając — domyślam się, że mam przyjemność rozmawiać z hrabią Augustem Pompalińskim. Czy jednak spotykałam pana kiedykolwiek w mém życiu, zupełnie nie pamiętam.

— *Helas!* — z uśmiechem i ukłonem pełnym galanteryi, westchnął hrabia — obrazy życia przesuwają się przed oczyma naszymi, jak... jak panorama... Raz nawet przyszło mi na myśl porównanie szczególne... trochę może zbyt poetyczne... *mais on devient un peu sentimental en vieillissant...* porównanie... *chose...* że pamięć nasza podobna jest do... zwierciadła. Dziś widzimy w niém jedne przedmioty, a jutro... *eh bien!* jutro ujrzyć możemy zupełnie inne! *n'est ce pas?*

Mówiąc to, hrabia August, przelotnie i mimo woli jakby, spoglądał na śniadą nieco, lecz bardzo piękną rękę kobiecą, o poręcz fotelu opartą. Leokadya zaś patrzyła prosto w twarz przemawiającego do niej człowieka, piękném swém czarném okiem, w którym zresztą nie objawiło się ani zdziwienie, ani ciekawość, ani żadne inne jakiegokolwiek uczucie. Zdawała się tylko cierpliwie i obojętnie czekać na koniec zwróconej ku niej przemowy hrabiego. Przemowę jednak hrabia skończył zapytaniem:

— Mogę zapytać, czy treść testamentu nieodża-

łowanój kuzyny naszój, pani Generałowój, jest pani znana?

— Tak — obojętnie bardzo odparła Leokadya — byłam obecną przy głośném i urzędowém odczytywaniu testamentu tego, które odbyło się nazajutrz po pogrzebie zmarłój.

— W takim razie — ciszej nieco wymówił hrabia August — nie może być pani nieznaną wola zmarłój, która w jednym z punktów testamentu połączyła imię pani z imieniem brata mego, lub mojem!...

— *Auguste!* — ozwał się przy kominku zniżony, nieco gniewnie, czy wzgardliwie może, brzmiały, głos gospodarza domu — proszę cię, *Auguste*, abyś nie czynił krzywdy mnie i pani, wspominaniem imienia mego w okoliczności obecnej.

Odezwanie się to zbiło nieco z toru krasomówstwo hrabiego, ale na krótką tylko chwilę, poczem złożył on przed Leokadyą ukłon nowy, uszanowaniem głębokiém i galanterią pełną gracyi nacechowany, a białą rękę swą posunawszy powoli po gęstych i dnia tego jak noc czarnych, faworytach swych, zaczął wte słowy:

— *Mademoiselle!* Cześć oddawana umarłym była zwykle zaszczytną cechą, odznaczającą ludzi i... narody... które stały na wysokim stopniu religijności i... *chose...* wszechstronnój oświaty. Starożytni Grecy i Rzymianie składali hołd należny woli i pamięci

tych, którzy... unieśli się z téj ziemi... w... *chose...* sfery wyższe! Ja sam, *malgré — malgré*, że prozaiczne i demokratyczne czasy nasze wyraźną wzgardę okazują dla rzeczy uświęconych wiekami... otwarcie wyznaję, *et je m'en vante...* iż jednym z przedmiotów mojej czci najgłębszej jest poszanowanie woli i pamięci zmarłych... *car avouons le... il faut faire quelque chose...* należy nam coś uczynić dla tych, którzy mieli nie-szczęście... mieli wielkie nieszczęście — umrzeć! *Mademoiselle!* był-bym zuchwałym i niedelikatnym, gdy-bym teraz śmiał upominać się u pani o zgodzenie się z tak jasno wyrażoną wolą nieodżałowanój naszój — a tak wcześniej zgaśłój, kuzyny.. Niech mi jednak wol, no będzie żywić... *chose...* nadzieję... iż pani nie odmówi mi pozwolenia, abym zaprezentował się jój w jój własnym domu, i powierzył czasowi i bliższej znajomości sprawę... sprawę poszanowania dla tak jasno wyrażonój, a dla mnie... *croyez moi mademoiselle*, bardzo miłej woli, naszój nieodżałowanój kuzyny, pani Generałowój z Pompalińskich Orczyńskich!

Na zupełnie obojętne i nieruchome wargi Leokadyi wrócił znowu ten sam, co wprzód, smutny trochę uśmiech.

— Panie hrabio — odrzekła bez chwili wahania — wola zmarłój, jakkolwiek szanować-bym ją chciała, jest dla mnie o tyle niezrozumiałą w pobudkach swoich, o ile zupełnie do spełnienia niepodobną. Ży-

cie moje światowe ukończoném zostało, a raczój nie zaczynałam i nie zaznałam go nigdy. Nie czuję się powołaną, ani zdolną do zajmowania śród wielkiego świata żadnych wysokich i widnych stanowisk. Próbkę świata tego, które w domu pani Generałowej widywałam, nie zachęciły mnie do czynienia z nim bliższej znajomości. Wychowana w cichój, ustronnej wiosce, do niej teraz wróć. Korzystając z daru pani Generałowej, którego odrzucać nie mam potrzeby ani prawa, starać się będę rozszerzyć, przyozdobić wioskę tę, z którą wiązą mnie najlepsze wspomnienia życia i w której mieszkają trzy stare kobiety, opiekunki niegdyś moje, a dziś nawzajem opieki i starań troskliwych ode mnie potrzebujące. Takim jest plan przyszłości, jedynie możebny dla mnie, skromny bardzo, ale odpowiadający zupełnie i siłom moim, które trochę są już zmęczone, i ambicyi mojej, która wysoce patrzeć nie umię.

Niepodobna opisać wrażeń, wywartych przez słowa Leokadyi na wszystkich obecnych. Hrabina zdawała się walczyć ze spazmami, napadającemi ją, a spowodowanemi częścią przez radość złośliwą, częścią przez dotkliwe upokorzenie.

— *Voilà l'oncle de mon fils!* — szepnęła bardzo cicho do l'abbého — narażać się na *mezawanturę* podobną! Otrzymać rekuzę od jakiejś *demoiselle de compagnie!* *mais c'est inconcevable, vraiment!* to, doprawdy, rzecz niepojęta!

— Mój stryj skompromitował nas wszystkich! — również cicho sarknął do matki hrabia Mścisław, z błyskającemi od gniewu oczyma i, zwracając się do Pawełka, rzekł szyderczo:

— *Et toi, Paul!* spodziewam się, że nie zechcesz także spełniać niepojętej téż względem ciebie woli Generałowej? *C'est une absurdité! tu le comprends bien, n'est ce pas?*

— I owszem, panie hrabio — ze swobodą, niewyłączającą pewnej powagi, odparł Pawełek — z daru pani Generałowej korzystać muszę i będę, a korzystając z niego, spełnię naturalnie przywiązane do niego warunki!

— *Paul!* — jęknęła hrabina.

— *Paul!* — krzyknął Mścisław.

— *Mr Paul!* — jedwabisto powtórzył l'abbé.

Hrabia August, który, od chwili wymówienia słów powyższych przez Leokadyą, stał niemy i nieruchomy, z ustami otwartemi nieco, z oczyma wlepionemi z osłupieniem w twarz Leokadyi, szerzej jeszcze rozwinął oczy, i automatycznie niemal zwrócił je na twarz Pawełka.

— Bolesnie mi, bardzo bolesnie jest — ze smutkiem i uszanowaniem w głosie, mówił dalej Pawełek — że źle może wywdzięczę się za dobrodziejstwa, od krewnych moich doznane, i wbrew woli ich postąpię. Ale z powodu imienia, którem traf mnie obdarzył, nie mogę dłużej nosić na czole mém i sumieniu cię-

żaru wstydu i wyrzutów, który je dotąd obarczał. Wstyd ten i te wyrzuty od bardzo dawna czuć już zacząłem. Ale bez żadnego specjalnego wykształcenia, bez najmniejszych materyalnych środków, cóż począć mogłem? Możem zresztą i przywykł był trochę do zbytku i próżnowania, może i trudno mi było samodzielnie dźwignąć się ku twardemu życiu pracy i mierności. Kilka razy prosiłem panią hrabinę, aby wyznaczyć mi raczyła stałe jakiś i poważne zatrudnienie, którym mógł-bym się stać użytecznym sobie i dobroczyńcom moim; kilka razy też nadmieniałem o tém hrabiemu Mścisławowi. Nie zostałem zrozumianym i wysłuchanym, domagać się nie śmiałem i nie posiadałem prawa żadnego. Teraz jednak przyszedłem do wieku, w którym każdy na świecie człowiek silnie uczuwa potrzebę stanowiska jakiegokolwiek, celu życia dobrze określonego, rodziny własnej nakoniec. Mam lat trzydzieści blisko, nie mogę dłużej być dzieckiem. Przysięgam i słowem uczciwego człowieka zobowiązuję się nie splamić imienia, które wspólnie z dobroczyńcami mymi noszę, żadnym złym i hańbiącym postępkiem. Ale pracować, stanąć w świecie o własnych siłach i stać się użytecznym dla siebie i innych — muszę.

Kilka razy już hrabia Mścisław przerwać usiłował mówiącemu, ale, gdy ten przerwać sobie nie dozwolił, teraz dopiero zawołał:

— *Paul! eh bien, Paul! fou que tu es*, cóż uczynić zamierzasz? bo ja dotąd nic nie rozumiem...

— Panie hrabio! — odparł Pawełek — zamierzam teraz udać się na naukę buchhalteryi i innych potrzebnych do handlu wiadomości, poczem, dzięki darowi pani Generałowej, będę mógł w którémkolwiek mieście założyć sklep...

— Zostaniesz więc szachrajem! — krzyknął hrabia Mścisław.

— Nie, panie hrabio, zostanę uczciwym kupcem...

— Zostaniesz żydem!...

— Nie, panie hrabio! Mogę pana zapewnić, że do końca życia pozostanę w religii przodków moich.

— On jeszcze żartuje sobie! — ostatecznie wybuchnął już młody hrabia. — *Maman!* — zwrócił się do matki — wychowaliśmy w domu naszym — zmiję!

— *Grand Dieu!* — splatając ręce, jęknęła hrabina — jakże ten świat niewdzięczny jest... samolubny... nikczemny!...

— Cierpliwości, pani hrabino — szepnął l'abbé — cierpliwości i... przebaczenia!

— Za pozwoleniem! — wykrzyknął nagle niemy dotąd i osłupiały hrabia August — *dis moi Paul!* i tę... tę tablicę... wiesz? z nazwiskiem... o której pisze w testamencie... nad sklepem swoim zawieszisz?

— Panie hrabio! — odparł Pawełek — mogę nie spełnić jakiegokolwiek warunku, przywiązanego do daru, z którego będę korzystał?

— *Quoi?* co? zawieszysz szyld i napiszesz na nim tak... *en toutes lettres*: Pompaliński! *Non!* jakkolwiek zuchwałym jesteś, myślę, że nie ośmielisz się uczynić tego!

Ostatnie słowa niby z wulkanu wybuchnęły z ust hrabiego Mściśława.

— I owszem, panie hrabio, uczynię to z pewnością — brzmiała odpowiedź Pawełka.

Wtedy hrabia August drżącymi rękoma rozpinając począł złocone guzy uczonego munduru, a osłupiałych oczu swych nie spuszczał z Pawełka, przez sen jakby wymówił:

— *Voilà, ce qui fera diablement mousser le nom?*

— Panie hrabio — zwróciła się do gospodarza domu hrabina — *pourquoi cet insolent ne s'en va-t-il pas?* dlaczego ten zuchwalec ztąd nie wychodzi?

— *Paul* — wyrzekł uroczyście Mściśław — w imieniu stryja mego, mam zaszczyt oświadczyć ci, że drzwi są otwarte.

— Przepraszam cię, Mściśławie, ja i Pawełek wyjdziemy ztąd razem! — ozwał się obok Pawełka głos Cezarego, przyciem dłoń jego z gościem przyjacielskim i opiekuńczym spoczęła na ramieniu wypędzanego zuchwalca. — Ja także — mówił dalej Cezary — przyszedłem tu, aby pożegnać rodzinę moję. Dziś

w wieczór opuszczam Warszawę — wyjeżdżam na wieś.

W głosie jego, łagodnym i trochę zniżonym, była przecież powaga świadomej siebie myśli, brzmiał wielki spokój stanowczo powziętych męskich postanowień.

Hrabina, która, jak z postawy jej domyślać się było można, według pierwotnie i naprędce ułożonego planu, owinąć się miała wyniosłą obojętnością i pełnem macierzyńskiej obrazy milczeniem, na tak stanowcze oświadczenie syna, a bardziej jeszcze na dźwięk głosu jego, zupełnie jej przedtém nieznany, podniosła głowę i utkwiała w twarzy mówiącego zdziwione spójrzenie.

Mściśław, w skamieniałej téż i wyraźnie przerażającego wypadku jakiegoś oczekującej postawie, stanął pośrodku pokoju. Lecz dziwniejszém nad to wszystko było poruszenie nagłe, acz zawsze dość powolne, które na fotelu swym uczynił gospodarz domu. Od chwili, w której ukończył rozmowę swą z Leokadyą, obcy zda się wszystkiemu, co go otaczało, głuchy zda się i niemy, z nieodegnalną, ołowianą na czole zadumą, ze wzrokiem szklisto wpatrzonym w przestrzeń, siedział on wśród gwaru rozmów i sporów, podobny do posągu, którego wewnątrz targać zaczyna dłoń jakaś niewidoma a sroga. Teraz jednak powoli bardzo zwrócił się ku najmłodszemu z synowców swych,

i wpatrywać się w niego zaczął z rozbudzoną nagle, chłodną wprawdzie, lecz baczną uwagą.

— Mnie także, tak, jak i przyjacielowi memu — mówił dalej Cezary — boleśnie jest bardzo widzieć się w roli zbuntowanego członka rodziny. W istocie jednak zbuntowanym nie czuję się wcale. Owszem, pragnął-bym szczere należne uszanowanie i przywiązanie zachować dla osób, z którymi łączą mnie węzły pokrewieństwa i obowiązku. Tylko — jam inną drogę ujrzał przed sobą, niż ta, którą-bym tu, pośród rodziny swój zostając, postępować musiał. Nie czuję się bynajmniej stworzonym do życia wielkiego świata. Oddawna już myślałem, że wiele rzeczy, które w świecie tym uchodzą za prawdziwe i dobre, są nie prawdziwe i niedobre; że wiele rzeczy także, któremi świat ten pogardza, mogą stanowić przedmiot szacunku i miłości — przynajmniej dla mnie. Bardzo długo myśli te poczytywałem za niedorzeczności, wyległe w upośledzonej głowie mojej, i nie śmiałem sam zastanawiać się nad niemi. Teraz jednak zastanowiłem się i uznałem, że zdolny jestem myśleć i że postępować według myśli i pragnień własnych mam prawo zupełne.

Umilkł na chwilę. Im dłużej mówił, tém więcej głos jego pozbywał się cechujących go z razu miękkich a znizonych dźwięków, tém więcej było w nim spokojnej i pewnej siebie mężkości i siły.

— Wyjeżdżam na wieś — mówił dalej — bo znaj-

duję, że tam właśnie, na ziemi, po ojcu moim odziedziczonej, wśród bogactw, którymi rozporządzam, najwłaściwsze jest dla mnie miejsce na świecie. Tu — nie miał-bym nic do czynienia. Błyszcząc w salonach nie umiem i nie chcę, talentów i ambicyi nie posiadam żadnych. Tam, w kraju ubogim i zapadłym, pośród ludzi ubogich też i ciemnych, ze środkami memi i gorącemi chęciami, wiele uczynić mogę. Wprawdzie sam nie wiem jeszcze dobrze, co i jak czynić będę; ale młodym jestem, uczyć się chcę, znajdę książki, które mnie oświecą, i przyjaciół, którzy mi wskazówek doświadczenia udzielą; znajdę też zapewne kiedyś zapomnienie tego, co mnie dziś boli... Oto wszystko, co powiedzieć chciałem. Zamiary moje proste bardzo i nie potrzebuję o nich mówić długo.

Postąpił kilka kroków ku matce i nieco miększym głosem zapytał:

— Czy pozwolisz mi pożegnać cię, moja matko?

Hrabina z ramionami ściśle na piersi skrzyżowanymi, z bladą twarzą i drgającymi ustami, żywem a zarazem wyniosłym poruszeniem, uchyliła się w głębi kanapy.

— *Allons, mon pauvre César* — rzekła drżącym głosem — pocóż to pożegnanie? Nie wyjeżdżasz przecież do Ameryki... rozexaltowałeś się tylko, nie wiem już czém, doprawdy, i ułożyłeś sobie w głowie sielską jakąś idyllę... Mam nadzieję jednak, że gdy znudzisz

się wśród tych łąnów ojczystych i tych wiejskich przyjaciół, którzy cię oświecać mają, wrócisz do rozsądku i — do nas.

Cezary, którego długoletnie przyzwyczajenie, jak i wrodzone ciepło serdeczne, wiodły do uniżenia się przed matką, na słowa te, przez hrabinę wymówione, wyprostował się i ręką z wolna powiodł po czole. Ogarnęło go niepoohamowane uniesienie bólu i obrazu, bo, z czołem dumnie podniesioném i z iskrą zapалу w oku, rzekł:

— Nie, moja matko! Jeżeli gardzenie i pomiatanie tysiącami, milionami ludzi, obojętność zupełna na potrzeby i cierpienia ludzkie, zamknięcie się w pozłoconych ścianach kilku salonów i współubieganie się o to, kto w salonach tych bogatszym jest, piękniejszym i wyżej urodzonym, nazywa się rozsądkiem i stanowi wszystkie już uczucia, wszystkie pojęcia, jakie znaleźć mogę w gronie méj rodziny; nie wrócę z pewnością nigdy ani do rozsądku takiego, ani — do was!...

— Panie hrabio! — powstając z fotelu tak, jakby piersią własną gotował się bronić pokrzywdzonej penitentki swéj, ozwał się *l'abbé* — panie hrabio! Na górze Synai powiedzianém zostało: czcij ojca twego i matkę twoję!

— Co się tu dzieje? co się tu dzieje? — w osłupieniu pogrążony, mówił hrabia Mścisław.

— *Et je vous dis* — zawołał najniespodzianiej

w świecie hrabia August — *et je vous dis*, że hrabia Cezary ma rację! *Notre pauvre César* zna się na rzeczy lepiej, niż ja sam spodziewać się mogłem. Zaprowadzi on w dobrach swoich postępowe gospodarstwo, będzie zakładał fabryki i oświecał chłopków. Wszystko to zrobi z niego sławnego nowatora i filantropa, *et je vous le dis! celui-ci fera le mieux mousser le nom!*

Cezary, najmniejszej zda się nie zwracając uwagi na krzyżujące się wkoło niego wykrzykniki, wszystkich dokoła pożegnał ukłonem i zmierzał ku drzwiom, gdy powstrzymał go głos, z cicha odzywający się u kominika.

— *César!*

Kryształowe źrenice hrabiego Światosława, utkwione ciągle w twarz synowca, migotały na dnie ciepłą jakąś iskrą.

— *César!* — powtórzył stary hrabia.

— Mój stryju! — zatrzymując się przed starcem w pełnej uszanowania postawie, zapytał Cezary.

Usta hrabiego poruszyły się parę razy, i biała ręka jego, spoczywająca na aksamitnej poręczu fotelu, drgnęła. Przez chwilę zdawać się mogło, że z ust tych wyjdzie żywe, serdeczne słowo jakiś i że ręka ta ruchem przyjaznym wyciągnie się ku stojącemu o parę kroków młodzieńcowi. Nic jednak z tego nie nastąpiło. Iskra, która zapaliła się była na dnie źre-

nie starca, zagasła szybko, kąty warg jego opuściły się w dół, i zarysowały uśmiech pełen zmęczenia i zniechęcenia.

— *Bonjour, César, et... bon voyage!* — zwykłym sobie, lodowatym głosem, wymówił hrabia.

W parę sekund potem, Cezarego i dwojga jego przyjaciół nie było już w pokoju. Hrabina, z batystową chusteczką przy twarzy, tłumila porywające ją spazmatyczne łkania, i daremnie tym razem aniół stróż i przewodnik sumienia jej nad znękaną jej głową wywoływał jedwabistym swym szeptem wszystkie, co do jednej, cnoty kardynalne i inne.

— *Mon Dieu! oh! mon Dieu!* — wyrzekła z cicha pokorna, cierpliwa i rezygnacyi pełna niewiasta — tyle obelg, tyle upokorzeń, tyle ciosów na raz! Słabe siły moje uginają się pod ciężkimi krzyżami, które na barki me wkładasz, o Panie! ale niech stanie się wola Twoja święta...

— Amen, pani hrabino, Amen! — dokończył *l'abbé*.

Innemi wcale sposoby uczucia, miotające nim srode, objawiał hrabia Mściśław. On także wołał:

— Tyle obelg, tyle afrontów na raz! *quel esclandre!* jaki *schoking!* *quel scandal!*

Po chwili jednak, stanął na środku pokoju z czołem podniesioném wysoko, z błyskawicą oburzenia i wzgardy w oczach. Przez godzinę całą doświadczane gniewne wzruszenia wstrząsnęły do głębi drze-

miącą istotę jego i obudziły do życia wszystko, cokolwiek jeszcze obudzić się i życiem zawrzeć w niej mogło. Patrząc na niego w tej chwili, można-by rzec w istocie, iż był to młodzieniec, zdolny do najbardziej rycerskich zapałów i energicznych czynów.

— Smutne przebywamy dziś czasy — zawołał głosem zaledwie uroczystym — idee wieku... te sławne idee wieku, przez demagogów i *sankiulotów* wymysłone, nurtują do dna społeczeństwo nasze i wnikają tam nawet, gdzie-by dla nich miejsca być nie powinno: w rodziny, które, jak nasza, umiały dotąd utrzymać się niewzruszenie na zbudowanym wiekami swym piedestale! Ja jednak... *moi...* nie pogodzę się nigdy z ideami temi... dla mnie nie istnieją one; a raczej istnieją o tyle tylko, o ile krzywdzą imię, które noszę... i o ile gardzę niemi.

— Tak — ciągnął po chwili — gardzę niemi... a jednak za sprawą zaszłych niedawno... rozmaitych okoliczności, imię, które noszę, poniżoném zostało srode, i oddaném na łup plotek i pośmiewiska gawiedzi... Mezalianse, renegacye i demagogia, wkraśli się w ród nasz... z młodego pokolenia jam jeden pozostał, który hańbę tę zmyć z imienia naszego i wstyd, którym nas okryto, pomścić jestem zdolny...

Z-za chusteczki, którą hrabina twarz sobie przyślaniała, wypłynął głos tkliwy i rzewny.

— *Oui, mon enfant chéri, toi seul! oui! il n'y a que toi....*

Hrabiemu Mścislawowi żywić jeszcze oko zaświeciło.

— *Oui, il n'y a que moi* — powtórzył — ale i cóż uczynię! Gdybyśmy żyli winnym, nie w tym naszym prozaicznym i głupio demokratycznym wieku, wzięłbym na siebie pancerz i zbroję, i z rycerzami Krzyża szedłbym walczyć o ziemię świętą... albo... albo na jakim dworze królewskim dobijałbym się najwyższych zaszczytów, które-by płamę, jaka na rodzimym powstała, purpurą swą osłoniły... Ale teraz... *mais maintenant...* cóż my, pozostali obrońcy i przedstawiciele wieków dawnych, uczynić możemy? Jesteśmy tak, jakbyśmy byli na ziemi wygnania...

Teraz hrabina odjęła chusteczkę od twarzy zbolalej i splakanjej.

— Mścislawie! — szepnęła, patrząc na syna, jak w tęczę... — gdybyś jednak chciał... mógłbyś...

Hrabia Mścislaw umilkł, popatrzył na matkę, i oczy utkwił w ziemi. Po twarzy jego tak ożywionej, że aż prawie pięknej przed chwilą, przebiegł znowu wyraz nieprzewycięzonego, do utajenia niepodobnego niesmaku. Krótko to jednak trwało.

— *Eh bien!* — rzekł, podnosząc znowu głowę — *oui ma mère!* Jest to jedyny sposób... którym mogę oddać ważną przysługę rodzinie naszej i zasłonić

przed oczyma ludzi te skazy, na imieniu naszym powstałe.

— *Oui, maman* — powtórzył, wyżej jeszcze podnosząc głowę i z żywić jeszcze błyszczemi oczyma — w tych ważnych a bolesnych okolicznościach, które nas tak niespodzianie zaskoczyły... ja... *moi...* poświęcam się dla rodziny mojej, *et je vais de ce pas* oświadczyć się o rękę księżniczki Stefani!...

Z piersi hrabiny wydarł się jeden przeciągły, niebiańsko zachwycony, wykrzyk. Powaga jej i dystygowane ukrywanie się z uczuciami własnymi, utonęły w nadmiarze doświadczonej radości i tklivości. Dwie sekundy nie upłynęły, gdy obu ramionami otaczała już ona szyję ulubionego syna swego, i twarz jego okrywając pocałunkami, przerywanym głosem szepiała:

— *Oui!... toi seul! toi seul! il n'y a que toi!* moje ty drogie, śliczne, ukochane dziecko! mój synu — jedyny!

* * *

Nakoniec — odeszli wszyscy.

W tak pełnym ludzi i gwarnym przed chwilą pokoju cicho stało się i pusto.

Przed marmurowym kominem, na którym czerwono żarzyły się węgle, sam jeden tylko pozostał, blade, w ciężkiej zadumie jakby skamieniały, starzec.

Na przeciwną ścianę wiszący i w złote ramy oprawny, mały portret kobiety, wywierać zdawał się na szkliste źrenice jego czarodziejską moc przyciągania. Widać było, jak stary hrabia z mocą tą walczył i spójrzenie spuszczał ku ziemi, lub zatapiał w dogorywające na kominku węgle, daremnie! Moc ta dziwna, nieprzeparta, moc, we wnętrzu jego z potęgą jakąś ogromną zbudzona, ciągnęła oczy jego ku temu małemu punkcikowi ściany, kędy pod szkarłatnym promieniem zachodzącego słońca rumieniły się blade lica i gorzéc zdawały się szafirowe oczy, przedstawioną na dagierotypie dziewczynę.

Na stolczku zaś, wśród różnobarwnej mozaiki, powierzchnią jego okrywającą, niby łaźnia wielka a smutna, błyszczał brylant w żałobnej obwódce i żółciał zeschły, bezkształtny trup barwnego niegdyś pełnego kwiecia.

Rój wspomnień odległych, niby widm, z razu mglistych, lecz coraz wyraźniejszych potem i promienistych, otoczył wielkiem kołem ciężko zadumanego starca.

Tak! były kiedyś dnie letnie, słoneczne i ciepłe... była kędyś łąka zielona, dyamentami kwiecia przybrana, rozśpiewana szczebiotem wesołych ptaków... i był niegdyś młodzieńiec, pełen sił świeżych a gorących, który, w dzień ów jasny, wśród łąki kwiecistej, wkładał na rękę ukochanej dziewczyny ów pierścień ze łąką brylantową...

O! było to uczucie gorące i szczere, jak jedyna w życiu miłość prawdziwa! I była to sielanka prosta a poetyczna, pełna silnych uderzeń dwojga serc rozkochanych, pełna marzeń rozkosznych o szczęściu i enocie!

Uczucie to utonęło w ogromnym morzu pychy niepojętej i namiętnych ambicji młodzieńca! Z wiosenną tą sielanką swój uśmiechał się potem nieraz szydersko — człowiek dojrzały!

Lecz od ust starca, zadumanego teraz nad zgasłymi dawno dziejami młodości, uciekły w dal niedoścignioną uśmiechy wszelkie.

Więc ona pierścień ten, przez długie te, nieskończenie zda się długie, lat kilkadziesiąt, na palcu swym nosiła, a kwiaty te, jedyną pamiątkę szczęścia i poezyi dni młodych, chroniła jak relikwie w schowaniu samotnym i jej tylko oku dostępnym!

Więc, gdy on myślał, że w piersi jej nienawiść i zemsty pragnienie zrodziły się na miejscu dawnej miłości, ona całym sercem swym, zgorzkniałym i zwichniętym, całą myślą swą, do obłąkania niemal zmąconą, całą swą duszą, jadłem głuchych gniewów i wzgard przejętą, kochała go aż do ostatniej chwili skonania!

Białe i chude, drżące nieco w tej chwili, ręce hrabiego, spłotły się mimo woli; spójrzenie jego, w portret pięknej dziewczyny utkwione, nabrzmiało głębokim, pokornym niemal żalem; a na bladych wargach

drgnął szept, do ciężkiego westchnienia podobny: —
Przebacz, Cecyliu!

W tej chwili roztworzyły się szeroko podwoje komnaty i, spełniając wydany im przedtém rozkaz swego pana, dwaj lokaje wnieśli i dokoła kominka, na adamaszkim okrytych sprzętach, rozstawili kilka obrazów większej i mniejszej artystycznej wartości, lecz w jednostajne i bardzo kosztowne ramy oprawionych, ostatni dar zmarłej kobiety. Uczyniwszy to, niby posłuszne a ciche automaty, lokaje wyszli i drzwi za sobą bez szelestu zamknęli, a w obszernym pokoju zapanowała znowu cisza głucha, i blady starzec, u kominka siedzący, pozostał sam-na-sam z owemi malowanymi scenami, na które zmarła kochanka młodoci jego patrzeć mu kazała i patrząc snuć myśli te, które na widok ich snuła jej własna, wiecznie wrząca i na poły obłąkana, głowa.

I przyłgnęły oczy jego do największego najpierw z obrazów, do tego naprzód, który przedstawiał dwoje szczęśliwych starców, wśród grona kochającej się rodziny, po trudach życia spoczywających. Jakże spokojnie i gwarno było zarazem wśród tego ludku istot, spojonych ze sobą węzłami wdzięczności i miłości tak ściśle, jak ściśle szczęście wywija się z cnoty, a starość promienna z życia — czystego! Co za łagodne a zarazem jasne światło! jakie ciche, wesołe! co za błoga ufność wzajemna!

Stary hrabia uśmiechnął się znowu szydersko.

— Ideały niedoścignione! — szepnął — marne marzenia!

Ale uśmiech jego stopniał wnet w westchnieniu, które mu pierś zapadła wysoko podniosło, a oczy jego, z trudnością odrywając się od obrazu, powolnym, spójrzaniem obieży dokoła pustą, głucho milczącą, posępną, acz tak wspaniałe przybraną, komnatę.

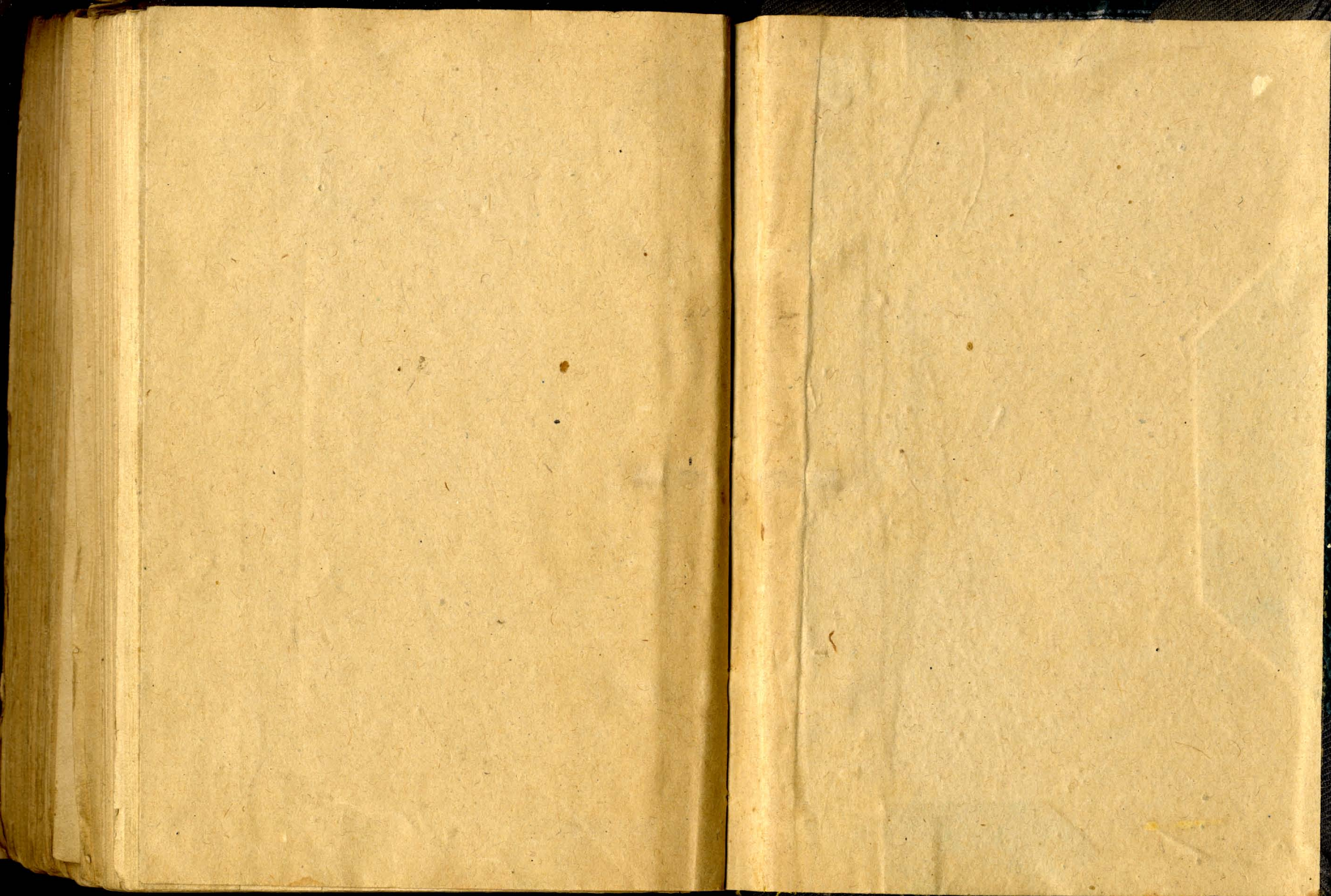
Kędyś, na dalekim i miejskim murami zasłoniętym krańcu zimowego nieba, zagasła już czerwona tarcza słoneczna. Szkarłatny promień, który, wnika-
jąc przez ogromne pałacowe okno, odbłyskiem życia niby rozpalał bladą twarz dziewczę, z małego dagerotypu patrzącą; zniknął, a posępną wielką komnatę nappełniło białe, jak całun jednolite, szare mroki wieczoru wyprzedzające, światło.

Ale i białe owo ostatnie światło dzienne zagasło także z wolna. Wielki ficus, w marmurowym wazonie wzrastający, rozpościł po ścianach i suficie komnaty szerokie, cieniste swe gałęzie. Szary zmrok coraz ciemniejszą falą napływał przez wielkie okna i smutną zasłonę zdawał się opuszczać na wszystkie w komnacie zawarte wytworne i cenne przedmioty. Wyraźnie uwidatniała się ciemna wśród szarzej przestrzeni postać starca, przed kominkiem siedzącego, z postawą znękaną, z głową nisko na pierś pochyloną, z martwo obwisłemi rękoma. A przed posępną postacią tą, w powietrzu jakby zawieszony, połyskiwał brylant złożonego na stoliczku pierścienia. Mo-

zna-by rzec, iż było to smutne, błyszczące oko, które,
wychylając się z cieniów, nieruchomo patrzyło
w twarz człowieka, przebijającego teraz w grobowym
milczeniu wszystkie długie, liczne dnie nędznie zmar-
nowanego żywota swego.

KONIEC.





884-3

Orzeszkowa Rompaliński